

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 25 (1473) ROK XXIX

21 CZERWCA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

■ „Dlaczego Jerzy Urban został rzecznikiem rządu”? – str. 4

■ Co się wydarzyło na Stadionie Olimpijskim we Wrocławiu – str. 7

■ Nie tłumaczone dotychczas opowiadanie A. Christie – str. 14

Ulewa – patrz strona 7

Skąd się biorą wypaczenia?

MARIAN PODLASZEWSKI

I.

Najbardziej doniosłym zagadnieniem rewolucyjnym jest problem następujący: czy ludzie ukształtowani w danym systemie społeczno-kulturalnym mogą świadomie stworzyć jakościowo inny i wyższy typ społeczeństwa? Pozytywnie zorientowana socjologia odpowiadała, że nie można urzeczywistnić instytucji doskonałych od ludzi. Herbert Spencer utrzymywał, że jeśli nawet uda się wprowadzić instytucje wyprzedzającą epokę, to tylko siłą i terrorem; wkrótce jednak okaże się, że nie funkcjonuje ona według przyjętych założeń, lecz zgodnie z cechami charakterologicznymi ludzi. Najczęściej zakładano, że radykalnie nowy system może się pojawić dopiero w następstwie gruntownych przemian w świadomości i podstawach jednostek. W związku z tym August Comte twierdził, że przebudowę społeczną należy rozpocząć od rewolucji oświatowo-wychowawczej.

Podobne stanowisko zajmował u nas Edward Abramowski. Uważał on, że powstanie formacji komunistycznej musi poprzedzić pojawienie się odpowiedniego typu osobowości. „Przypuszczenie zatem – podkreślał – że może się zjawiać nowy ustrój społeczny bez rewolucji moralnej, jest absurdem socjologicznym i nikt chyba w tej postaci nie upierałby się przy nim”.

Zaprezentowany pogląd na pierwszy rzut oka wydaje się logiczny i przekonujący. Lecz po głębszym zastanowieniu wyłania się pytanie: w jaki sposób może powstać osobowość na miarę przyszłego ustroju, skoro człowiek jest wytworem istniejących warunków? Mamy więc błędne koło. Ustrój bardziej postępowy mogą stworzyć tylko ludzie o lepszych cechach, lecz nie mogą oni stać się lepsi w danych warunkach ustrojowych.

II.

Interesująca, choć utopijna wyjście z tego dylematu znalazł Florian Znaniecki. W książce „Ludzie teraźniejsi a cywilizacja przyszłości” zwrócił uwagę na dwa fakty: po pierwsze, że załóżki nowej cywilizacji powstają w ramach istniejącej, oraz po drugie, że nowa cywilizacja nie od razu musi powstać w całości i nie od razu w doskonałej formie. Najpierw pojawi się tylko jakiś fragment przyszłej konstrukcji, który stopniowo będzie rozszerzał się i rozszerzał.

Ale kto stworzy załóżki nowego świata i będzie działał na rzecz jego rozwoju? Odpowiedź Floriana Znanieckiego jest prosta. W każdym społeczeństwie jest przecież pewna liczba takich ludzi, którzy wyrastają ponad przeciętność. Są to – jak ich nazywa – ludzie „mądrzy a dobrzy”. To oni właśnie dają zawsze do realizacji tego, co już możliwe. Zeby jednak wysiłki ich były skuteczne, powinni zorganizować się w skali ogólnosiwiatowej i nakreślić cele działania dla innych.

Podobnym wyjściem z błędnego koła – ludzie tworzą warunki, a warunki tworzą ludzi – jest leninowska koncepcja kierowniczej roli partii. Zorganizowana w skali międzynarodowej grupa ludzi – jak powie-

działby Florian Znaniecki – „mądrych a dobrych” miała być Międzynarodówka Komunistyczna. Partia robotnicza nowego typu winna stanowić awangardę intelektualną i moralną społeczeństwa. W listopadzie 1917 r. Włodzimierz Lenin wyjaśniał: „Partia – to awangarda klasy i zadanie jej nie polega bynajmniej na tym, aby odzwierciedlać przeciętną masę, lecz na tym, aby prowadzić masę za sobą”.

W odróżnieniu od Floriana Znanieckiego, Lenin był realistą i rozumiał, że nawet grupa ludzi najlepszych nie zdoła zmienić ustroju bez zdobycia władzy politycznej. Podkreślał on, że minęły czasy utopijnej, inteligentnego socjalizmu, kiedy to wyobrażano sobie, że wystarczy piękny ideał i siła perswazji. W rzeczywistości zaś trzeba walczyć, gdyż klasy panujące dobrowolnie nie ustępują. A następnie należy liczyć się z tym, że w toku budowy nowego ustroju nie obejdzie się bez błędnych decyzji i działań.

III.

W leninowskim modelu politycznym trzy instytucje są najważniejsze: partia, państwo i związki zawodowe. Pierwsza z nich stanowi bezpośrednio rządzącą awangardę, siłą kierowniczą. Włodzimierz Lenin był stanowczo przeciwny oddaniu władzy przez partię zwiazkom zawodowym. Na początku 1921 r. mówił: „Jeżeli powiemy, że nie partia przeprowadza kandydatury i rządzi, lecz związki zawodowe same, to będzie to bremienną nader demokratycznie można tym zapewne pozyskać głosy, ale nie na długo. To gubi dyktaturę proletariatu”.

Lenin ponadto był zwolennikiem ścisłego rozgraniczenia działalności partii i państwa. Partia powinna ustalać ogólny kierunek rozwoju, a państwo je konkretyzować w formie odpowiednich ustaw i norm prawnych. W uchwale XI Zjazdu RKP (b) zwrócono uwagę – z inicjatywy Lenina – że brak rozgraniczenia między partią a państwem może doprowadzić do złych skutków gospodarczych, a poza tym: zwiększa biurokrację, dezorganizuje pracę i nie sprzyja określeniu odpowiedzialności. Uchwala zobowiązuje organizację partyjną, aby nie ingerowała w codzienną pracę biurokracji i nie wydawały „rozporządzeń administracyjnych w dziedzinie należącej do zakresu działalności Rad”.

Kwestia rozgraniczenia działalności partii i państwa została wyraźnie sformułowana już w rezolucji VIII Zjazdu RKP (b) z 1919 roku. Stawiano ona, że partia urzeczywistnia swoje cele poprzez organa państwowe i – co bardzo ważne – w ramach porządku konstytucyjnego. Koncepcja leninowska jest prosta i sensowna. Toteż została wpisana do programów i statutów partii komunistycznych. Ale z realizacją jej, jak wiadomo, bywało i bywa różnie. Zbyt często, niestety, łamano przyjęte zasady i pojawiały się tzw. błędy i wypaczenia. Dlaczego? Otóż złożyły się na to zarówno przyczyny subiektywne jak i obiektywne. Na niektóre z nich pragnę tutaj zwrócić uwagę.



Foto: Grzegorz Gałasiński

Tam, gdzie kiedyś wydobywano węgiel

WITOLD WERNER

Stoki i Sikawa – północno-wschodnie części Widzewa zawsze były oddalone od miasta. Od wieków żyły swoim własnym życiem: ni to miejskim, ni to wiejskim. Ot, bardzo dalekie łódzkie przedmieście. Do dziś wycieczka na Stoki – dla niejednego łódzianina – to prawie cała wyprawa. Są i tacy, którzy nigdy w życiu tu nie byli. A szkoda.

TOPOGRAFIA

Są to najwyżej położone dzielnice miasta: tu znajduje się najwyższe wzniesienie na tzw. Wyżynie Łódzkiej sięgające 276 m nad poziomem morza. Dawniej teren ten obfitował w liczne źródła, dające początek licznym rzeczkom i strumieniom. Stanisław Staszic, który w roku 1825 przebywał w Łodzi przy okazji dokonywania lustracji polskich ośrodków przemysłowych napisał: „Łódź znajduje się z całą swoją rozległą okolicą pod obszernym i wyniosłym wzgórzem, z którego niezliczone tryszcą źródła. Źródła owe zasilały również zamienioną dziś w ściek rzeczkę – Łódkę”.

Na owych wzniesieniach rozłożyły się dwie wsie szlacheckie: Stoki i Sikawa. Gęsta ich nazwa nie jest znana; przypuszczalnie wiąże się ze specyficznym ukształtowaniem terenu oraz źródłami „sikajęcymi” w pobliżu wsi.

Dawna wieś Stoki leżała prawdopodobnie wzdłuż dzisiejszej ulicy Telefontycznej, natomiast folwark – na dzisiejszym osiedlu Stoki; Sikawa zaś położona była przy dawnym trakcie wiodącym z Łodzi do Brzezin czyli obecnej ulicy Brzezińskiej.

HISTORIA

Nie jest znana dokładna data założenia obu wsi. Stoki były już wymieniane w wieku XIV jako jedno z siół przynależnych do parafii w Miłoszynie. Sikawa pojawia się dopiero pod koniec wieku XV; warto dodać, że wieś ta zwana także była Wola Miecznikowa – prawdopodobnie dlatego, że jej mieszkańcy byli zwolnieni z danin na rzecz właściciela posiadającego tytuł miecznika.

Właścicielem Stoków od końca XVI wieku był Stanisław Stokowski. W swych włościach posiadał folwark, karcznię i 15 włościńskich zagrod. Pod koniec XVII wieku – po „potopie” – dobra stokowsko-sikawskie mocno zubożały: Stoki miały wówczas 8 zagrod, dwór z zabudowaniami folwarcznymi i niewielki browar, Sikawa – zaledwie „3 dymy”.

Po rozbiorach Polski na terenie Stoków i Sikawy założono kil-

ka kolonii niemieckich. Do większych z nich należały Antoniew-Sikawa i Antoniew-Stoki. O bujnie rozwijającym się na tym terenie osadnictwie niemieckim pisał w roku 1851 ówczesny prezydent miasta Franciszek Treager: „Prywatni właściciele dóbr Stoki (...), idąc za danym przez rząd przykładem, w miarę zgłaszania się Niemców, odstępowali im w dobrach swoich grunta lasem odwiecznym zarosłe, za nader umiarkowanym okupem, poprzestając na więcej jeszcze skromnej opłacie czynszu”.

W roku 1847 Stoki liczyły już około 600 mieszkańców; nieco mniejsza była Sikawa. Ale obie wsie posiadały znaczny procent ludności niemieckiej.

W początkach ubiegłego wieku obie wsie należały do Wincenego Stokowskiego, a następnie do Ignacego, Kwiryna i Stefana Stokowskich. Ich hulaszczy tryb życia nie przyczynił się niestety do rozwoju obu wsi.

„Rozrywkowy” charakter właścicieli Stoków był chyba cechą dziedziczną, gdyż już 18 sierpnia 1591 roku ich ówczesny właściciel miał do czynienia z wymiarem sprawiedliwości. Osądzono go surowo za to, że porywał co piękniejsze żony i córki łódzkim mieszczanom i w swoim dworku wyprawiał „orgie bezczelne”. Był on również tym, który przywiózł z Francji do Łodzi chorobę zwaną wówczas „francuską” – niemożliwą wówczas do wyleczenia. Owa choroba poczyniła w Łodzi niemałe spustoszenie, za co „dom rozpusty” Stokowskiego zrównano z ziemią i założono na tym miejscu wysypisko śmieci zwaną górą gnojową.

Panowanie Stokowskich ostatecznie zakończyło się pod koniec XIX wieku, gdy ostatni z rodu – Artur – za udział w powstaniu styczniowym został zesłany na Sybir.

W roku 1871 Stoki wystawiono na licytację. Nabył je krewny Stokowskich – Szymon Wojciechowski. Pan ów postawił około roku 1890 nową, murowaną siedzibę w miejsce dawnego drewnianego dworku.

Od tej właśnie chwili zaczęło się gospodarcze istnienie tej dzielnicy. Zima, na sztucznie utworzonym przez Wojciechowskiego stawie rabano lód i sprzedawano w pobliskiej Łodzi. Ponadto łódzcy przedsiębiorcy budowlani nabywali tutaj piasek i żwir do budowy domów. Tu także widzewski fabrykant Juliusz Kunitzer wybudował... kopalnię węgla brunatnego. Przedsięwzięcie to jednak nie przyniosło spodziewanych dochodów i ostatecznie eksploatacji zaniechano.

Ponieważ Stanisławowi Wojciechowskiemu – synowi nabywcy Stoków – folwark również nie przynosił spodziewanych zysków, ten postanowił go rozparcelować i za uzyskane ze sprzedaży pieniądze wybudować nowoczesną cegielnię, która korzystałaby z bogatych pokładów doskonałej gliny, ukrytych we wzgórzu pod Stokami. Cegielnia ta powstała ostatecznie tuż przed wybuchem pierwszej

NR 25 (1473), XXIX, 21 CZERWCA 1986 R.

W społeczeństwie budującym socjalizm partia marksistowska stanowi jeden z elementów systemu politycznego. Ponadto sama jest złożonym systemem społecznym. Stąd też nieuchronnie podlega określonym prawom obiektywnym, czyli w pewnym sensie niezależnym od woli i świadomości poszczególnych jednostek. Owe prawa i tendencje mogą — oprócz błędów subiektywnych — wypaczać przyjęty w ideologii sposób funkcjonowania partii i sprawowania przez nią kierowniczej roli. Sprawy te są na gruncie socjologii zrozumiałe i w zasadzie już opisane. Niemniej jednak warto ku przestrodze zebrać i przedstawić najważniejsze mechanizmy dysfunkcjonalne.

1. Jak każda wielka grupa celowa, partia musi posiadać w gronie funkcjonalnego ludźmi nie tylko ideowy, lecz również techniczny, który potrafią zapewnić efektywne jej funkcjonowanie. Specjaliści ci w dążeniu do jak największej sprawności działania zapominają jednak często o celach ideowych. Sprzyja temu stosowanie ilościowych wskaźników oceny ich pracy (liczba zebrań, wielkość organizacji, opłacalność składek itp.). Pracownicy aparatu mają w dodatku skłonność do pomijania w działalności zwykłych członków. Jeśli przy tym masy członkowskie nie posiadają odpowiedniego rozeznania i nie przejawiają większej aktywności — co nierazko ma miejsce — łatwo mogą stać się

przedmiotem manipulacji. W ten sposób zaczyna zwykłe działać mechanizm odrywający aparat od członków, a partię od mas. Zjawiska takie trudno w porę zauważyć, gdyż narastają stopniowo.

2. Na czele wszystkich dużych grup celowych stoją niewielkie i raczej zamknięte kręgi przywódczo-kierownicze. Mają one prawo wydawania poleceń pozostałym członkom. Grupa jest tym silniejsza, im bardziej dyscyplinowanych ma członków.

bilizacji aparatu funkcyjnego. Jest ona korzystna o tyle, że umożliwia gromadzenie doświadczeń i prowadzenie długofalowej, ustabilizowanej polityki. Ludzie długo pracujący w aparacie nawiązują osobiste kontakty z funkcjonariuszami innych organizacji, skupiają wokół siebie aktyw społeczny i utrzymują ciągłość działalności. Jednakże zbyt długotrwała stabilizacja i brak rotacji powodują — jak trafnie pisze Jan Szczępański — „rutynizację w załatwianiu spraw oraz zanik

tarzania wyuczonych działań i zachowań oraz tych, które umożliwiały w miarę spokojne i bezproblemowe życie. Ludzie przyzwyczajają się do pewnych form, obyczajów i wzorów działań. Wobec nowych zaś są tym bardziej nieufni, im poważniejszą ryzyko i więcej mają do stracenia. Z istniejącymi formami związane są w dodatku jakieś tradycje, symbole, ceremonie, uroczystości. Wszystko to czyni instytucje polityczne opornymi na zmiany i niejednokrotnie hamującymi rozwój.

kontroli społecznej nad organami kierowniczymi, ale paraliżuje działanie funkcji społecznych. Fikcja pod reflektorem krytyki i ironii topnieje jak śnieg. Właśnie w krajach pozbawionych wolności słowa uderza potęgą fikcji społecznych. Sprawa ona, że życie społeczne rozwija się jakby na scenie, kiedy ludzie udają, że wleżą we wszystko, co im się do wierzchnia poda — udają może nawet przed samymi sobą — i kiedy nie wiadomo dokładnie, gdzie się kończy życie na serio, a gdzie się zaczyna życie „na niby”. A fikcja, która rozszerza się na całą zbiorowość, może być dogodnym narzędziem uwarunkowania społeczeństwa”.

re trzeba samemu odpowiadać. Nasilają się one wszędzie tam, gdzie istnieją luki w przepisach lub nadmiar przepisów oraz w sytuacjach krzyżowania się kompetencji różnych osób i instytucji. Do asekurancji i wygodnictwa ludzie mają tym większą skłonność, im częściej w sposób radykalny zmieniają się kryteria ocen ich pracy. Wtedy bowiem najbezpieczniej jest nie zajmować wyraźnie określonej postawy i jednoznacznie stanowiska.

Wymienione wyżej przyczyny dysfunkcjonalności władzy i grup celowych mają przede wszystkim socjologiczny charakter. Mechanizmy tego rodzaju powodują wypaczanie instytucji i ludzi z nimi związanych — prowadzą przywódców do klęski osobistej i przekreślają nieraz dorobek całego ich życia. Od działania tych prawidłowości nie były i nie są też wolne, rzecz prosta, partie komunistyczne.

Do tego wszystkiego należy dodać, że partia — będąc jedną z wielu grup społeczeństwa — nie może uchronić się przed występującymi w tym społeczeństwie postawami negatywnymi, tym bardziej że jest organizacją masową. Zdawał sobie z tego sprawę Włodzimierz Lenin. Mówił on, że partia rządząca, będąc „partią masową, odzwierciedla po części pewne zjawiska zachodzące poza jej szeregami. Zrozumienie tego jest rzeczą bardzo a bardzo ważną”.

MARIAN PODLASZEWski

Skąd się biorą wypaczenia?

Ale centralizacja władzy i surowa dyscyplina nie wystarczą do skuteczności działania. Trzeba jeszcze światłego, dobrze poinformowanego i sprawnego organizacyjnie kierownictwa. Rzecz jednak w tym, że kierownictwo nie zawsze dysponuje adekwatnym obrazem sytuacji. Wszystkie instancje pośrednie, przez które przechodzą informacje z najniższych szczebli do centrali, dokonują selekcji i reglamentacji danych. Przywódcom nielato też bezpośrednio dotrzeć do prawdy, ponieważ z reguły stykają się z odwrotną stroną życia. Gościom nie pokazuje się własnych zaniedbań i nie wypada mówić im o przykrych sprawach.

3. W grupach celowych występuje silna tendencja do sta-

wyobraźni i zrozumienia dla nowych możliwości rozwoju. W przypadku rządzącej i kierowniczej partii jest to szczególnie groźne niebezpieczeństwo, ponieważ polityczno-programowe przywództwo wymaga nie tyle specjalistycznych umiejętności, co właśnie wyobraźni, zdolności wyboru optymalnego wariantu działania i odwagi w podejmowaniu decyzji.

4. Organizacje polityczne (nawet reformatorskie i rewolucyjne) z czasem ulegają biurokratyzacji, inercji i skostnieniu. Z funkcjonowaniem danych form związane są zawsze interesy określonych grup społecznych, a w tym osób sprawujących władzę. Poza tym istnieje naturalna skłonność do pow-

5. W systemach politycznych z reguły represjonuje się krytykę. Władcy, jak i zwykli ludzie, wolą słuchać pochlebów niż krytyków, optymistów niż pesymistów. Pod wpływem pochlebów rządcy utwierdzają się w przekonaniu, że postępują słusznie, a osobom krytykującym wcale nie chodzi o dobro sprawy, lecz kierują się podłymi intencjami. Jeśli pochlebcy stają się źródłem jałmi odzwierciedlonej przywódco- politycznych, co najczęściej ma miejsce, to przywódcy ci rychło tracą poczucie rzeczywistości. Jedynym antidotum na plagę pochlebów jest wolność krytyki. O znaczeniu krytyki w życiu społecznym bardzo interesująco pisał Stanisław Ossowski. „Swoboda krytyki — czytamy — nie tylko daje możność

6. Władza polityczna jest zawsze przedmiotem walki. Również w państwie socjalistycznym walka o władzę jest zjawiskiem nieuchronnym. Zaostrza się ona wówczas, gdy narastają konflikty interesów grupowych. Do ostrej walki może prowadzić istnienie konkurencyjnych rozwiązań spraw o niezwyklej doniosłości społecznej. Czynnikiem sprzyjającym walce bywa też nieprecyzyjnie określony podział władzy. A przede wszystkim do walki popycha sytuacja, w której władza umożliwia zdobycie innych ważnych wartości, trudnych do osiągnięcia innymi drogami. W każdym społeczeństwie są wreszcie ludzie, dla których sama władza stanowi najwyższą wartość; dla jej zdobycia i utrzymania zdolni są poświęcić niemal wszystko: moralność, ideologię.

7. W układach władzy pojawiają się zjawiska asekurancji i wygodnictwa, polegające na uchylaniu się od podejmowania takich działań, za któ-

1.

W Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej czas poprzedzający Zjazd jest zawsze szczególnie ważnym okresem — dyskutuje się projekty programów i dokumentów, które po ich przyjęciu będą podstawą działania partii przez kolejne lata oraz wyznacza kierunki rozwoju politycznego i ekonomicznego państwa. Rzeczą oczywistą jest przede wszystkim zorientowanie uwagi delegatów w przyszłość i ich troska o możliwie najlepsze zaprogramowanie tej przyszłości. Między innymi od decyzji, które zapadną na X Zjeździe PZPR będzie zależało, w jakiej kondycji gospodarczej, politycznej i kulturalnej staniami jako społeczeństwo, jako naród u progu XXI wieku. Dla nas wszystkich, partyjnych i bezpartyjnych, wierzących i niewierzących, robotników, chłopów i inteligentów oznacza to: w jakich warunkach będą żyć nasze dzieci i wnuki, jaką Polskę im pozostawimy i w jakim stanie. Czy nasze obecne starania i dążenia zyskają po latach ich aprobatę, zrozumienie, czy też spotkają się z surową krytyką.

Stara, powszechnie znana maksyma głosi, że historia jest nauczycielką życia, a zatem należy ełagie zachowywać i rzetelnie, z pełną powagą odnosić się do minionych doświadczeń. Nawet jeśli chcemy o nich zapomnieć jako zbyt bolesnych, przykrych i niemłych, a także wtedy, gdy upływający czas zaciera szczegóły dawnych zdarzeń. Bez świadomości minionego czasu i dramatów, które w przeszłości zaistniały nie można racjonalnie kształtować teraźniejszości i przyszłości. Grozi bowiem popełnienie starych błędów, których można i trzeba unikać. Dlatego też pozwalam sobie, w okresie trwającej jeszcze przedzjazdowej dyskusji, zwrócić się do Towarzyszy Delegatów, aby zechcieli w swych notatkach, obok bieżących spraw szczegółowych własnego środowiska, zakładu, regionu oraz problemów ogólnych, o których będzie mowa na Zjeździe, zaznaczyć także konieczność pamiętania o czasie minionym i naukach, jakie płyną z przeszłych doświadczeń.

2.

IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR obradował w okresie niezwykle dla Polski trudnym, gdy do kulminacji zbliżał się pustostaj naszego życia zbiorowego kryzysu, który objął wszystkie bez wyjątku dziedziny bytu społecznego. Wtedy to trzeba było dawać odpór matowiernym, którzy uwerzyli, że socjalizm nie da się tak kształtować, aby nie powodował on okresowych wstrząsów i protestów klasy robotniczej oraz tym, którzy głosili, iż jest to obcy Polakom ustrój narzucony im siłą, który należy zastąpić innym, lepszym. Jednocześnie padały pytania — jak możemy dojść do kryzysowej sytuacji, co trzeba zrobić, aby naturalnie w każdym społeczeństwie konflikty i sprzeczności nie przybierały postaci gwałtownych wybuchów niezadowolona społeczność prowadzących do poważnych zakłóceń mechanizmów regulacji i kontroli życia politycznego, społecznego, ekonomicznego itp. Co czynić, aby nie dochodziło do „czarnego czwartku” w Poznaniu z 1956 r., tragicznych wydarzeń grudniowych na Wybrzeżu z 1970 r. oraz obejmującego cały kraj kryzysu lat 1980—1981? Pytania te zachowują ważność i aktualność także i dziś.

Ostatni kryzys społeczno-polityczny obok wszystkich niszczących skutków przyniósł również i pewien rezultat godny baczonej uwagi — oto wytworzyła się możliwość powstania w partii i poza partią rozmaitych ocen i analiz

najnowszej historii Polski. Opracowaniem bez precedensu jest choćby „Sprawozdanie z prac Komisji KC PZPR powołanej dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej” przyjęte na XII Plenum KC w maju 1983 r. Przypomnieć w tym miejscu wypada, że po wydarzeniach w Poznaniu i na Wybrzeżu nie przeprowadzono żadnych analiz, ani nie zezwolono na badania psychosocjalnych i politycznych mechanizmów, które doprowadziły do tamtych kulminacji kryzysowych w 1956 i 1970 r. Dziś można powiedzieć, że nasza wiedza o kryzysach społeczno-politycznych jest na tyle wystarczająca, choć ciągle jeszcze fragmentaryczna i niedoskonała, aby pokusić się o wskazanie przyczyn powtarzających się kryzysów w Polsce Ludowej.

3.

Według obecnego stanu refleksji teoretycznej, wolnej od bezpośredniego uwikłania w walkę polityczną a także od instrumentalnej apologetyki, jako najważniejsze przyczyny prowadzące do kryzysów należy uznać:

- sposób sprawowania władzy;
- głębokość i zasięg reform postulowanych w fazie kulminacji i wychodzenia z kryzysu oraz ich ograniczone przeprowadzenie i stosowanie (szybka „recydywa starego”);
- brak w miarę pełnego, teoretycznie dopracowanego programu budowy socjalizmu w Polsce, to znaczy, co w budowanym w Polsce socjalizmie musi być uniwersalne, a co partykularne, uwzględniające specyfikę rozwojową narodu, czyli inaczej mówiąc problem polskiej drogi do socjalizmu.

Korzeni głównych przyczyn kolejnych procesów kryzysowych w najnowszych dziejach Polski Ludowej należy poszukiwać w latach 1948/49, kiedy to w wyniku wydarzeń wewnątrzpartyjnych (zarówno w PPR jak i PZPR) władza w partii, a tym samym w państwie przeszła do rąk działaczy o nastawieniu dogmatyczno-sekciarskim. Spowodowało to przyspieszoną dyfuzję radzieckiego modelu budownictwa socjalizmu obciążonego deformacjami stalinowskimi.

To właśnie w końcu lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych uznano możliwość i zasadność podejmowania subiektywnych decyzji gospodarczych, nie leżących się z realiami ekonomicznymi. W sprawowaniu władzy błędy i wypaczenia oznaczały rozpoznanie się sztywnego, biurokratycznego sposobu kierowania wzmacnianego często bezpodstawnym stosowaniem środków przymusu. Wtedy po raz pierwszy zaistniała sprzeczność między deklaracjami partii i władzy ludowej a jej realnymi postępowaniami. Nastąpiło oderwanie się organów władzy, a także instancji i aparatu partyjnego od klasy robotniczej i społeczeństwa.

Charakterystyczne dla tego okresu są: nadużycia władzy, deformacje polityki wobec wsi i rolnictwa, brutalne naruszanie zasad demokracji, ignorowanie prawidłowości rozwoju z jednoczesnym powierzchownym, dogmatycznym posługiwaniem się terminologią marksistowską, wytworzenie szczególnego stylu życia elit władzy i ich rodzin.

Godzi się przypomnieć, że „Sprawozdanie z prac Komisji KC...” zwraca uwagę, że sposób i zakres wypełniania kierowniczej roli przez partię stał się coraz bardziej instytucjonalny. „Budowa aparatu partyjnego była ściśle dostosowywana do struktury państwowego systemu zarządzania i administrowania. Sprzyjało to ukształtowaniu się praktyki bezpośredniego ingerowania i zastępowania organów państwowych przez instancje i aparat partyjny, rozstrzyganie przezeń problemów szczegółowych”.

Tendencjom do zastępowania przez aparat partyjny organów kolegialnych partii towarzyszył jednostronny wzrost centralizmu przy równoczesnym ograniczaniu demokratyzmu w funkcjonowaniu partii, a zwłaszcza kolegialności i prawa do dyskusji. Skutkiem tego była ceremonialność i fasadowość godna dworu feudalnego władcy. Nagminne było łączenie funkcji partyjnych i państwowych.

Wspomniane już „Sprawozdanie z prac Komisji KC...” zwraca uwagę, że „silna obecność

z jednoczesnym lekceważeniem i zaniedbywaniem jej interesów, a wreszcie brak wniosków, opartych na faktach analiz i wniosków z poprzednich kryzysów.

Dodajmy, że główną przyczyną ostatniego i najbardziej dramatycznego kryzysu 1980—1981 r. była sprzeczność między nie zreformowanymi strukturami politycznymi i gospodarczymi, a nowymi potrzebami i aspiracjami klasy robotniczej i całego polskiego społeczeństwa. Brak reformy gospodarczej i brak zmian w systemie sprawowania władzy miał swe źródła w pokutujących wciąż obciążeniach dogmatycznych oraz autokratycznej niechęci do reform, które miałyby rozszerzyć zakres demokracji socjalistycznej i spowodować, że władze polityczne i gospodarce rzeczywiście, a nie tylko formalnie byłyby odpowiedzialne przed klasą robotniczą i narodem. Inaczej mówiąc zastąpił socjalizm biurokratyczny socjalizmem demokratycznym.

4.

Tyle przypomnienia przeszłości i nauk, jakie płyną z minionych kryzysów. Swoje uwagi skierowane do delegatów na X Zjazd PZPR chciałbym zakończyć życzeniem — niech Wam Towarzysze nie brakuje umiejętności przewidywania i dostrzegania tych wszystkich symptomów, które mogłyby się pojawić w naszym życiu zbiorowym, a które kiedyś poprzedzały wydarzenia z lat 1956, 1970 i 1980. Niech Wam nie zabraknie odwagi, aby je wskazać i napiętnować, a także niech Wam nie zabraknie wyobraźni, że należy mozołnie, z rozwagą i odpowiedzialnością przebudowywać w naszej Ojczyźnie to wszystko, co może mieć w sobie zarodki sytuacji kryzysowej.

Naszym obowiązkiem jako członków partii jest pamiętać o przeszłych doświadczeniach i dawać przykład całemu społeczeństwu, jak unikać doktrynerstwa, jak zabezpieczać władzę przed degeneracją, jak budować system kontroli społecznej i samorządności obywatelskiej oraz jak mądrze tworzyć instytucjonalne formy rozstrzygania konfliktów. Konflikty i sprzeczności interesów są oczywiście cechą życia każdej zbiorowości, a zatem jest niezbędne stworzenie odpowiednich możliwości ich łagodzenia i rozwiązywania, aby nie przybierały one niszczącej postaci kryzysów, kiedy naruszeniu ulega ciągłość rozwoju Polski Ludowej.

Ponad czterysta lat temu Jan Kochanowski w „Pieśni o spustoszeniu Podola” przypomniał rodakom wtedy już istniejące porzekadło, że Polak mądry po szkodzie i jednocześnie wyrażał obawę, aby nie musiało powstać nowe przysłowie, że Polak przed szkodą i po szkodzie głupi. Historia dowiodła, że niepokój poety był ze wszech miar uzasadniony. Nasi przodkowie, a przynajmniej ich większość, nie potrafili wyciągać wniosków z lekcji przeszłości. W końcu XVIII wieku przyniosło to zagładę państwa.

Pozwalam sobie wyrazić przekonanie, że tej jedynie w okrucinach przypomnianej wiedzy o naszych niedawnych doświadczeniach nie zabraknie delegatom na X Zjazd PZPR i że wiedza ta będzie im towarzyszyć w rozstrzyganiu przyszłych losów partii i narodu.

GRZEGORZ MATUSZAK

Delegatowi do notatnika

partii w strukturach państwowych i organizacjach społecznych nie była równoznaczna z rzeczywistą pozycją wśród społeczeństwa, a zwłaszcza klasy robotniczej, z rozwijaniem wzajemnego przepływu informacji i inspiracji, budowaniem obustronnego zrozumienia i zaufania. (...) W rezultacie zaczęła powstawać luka między partią, jej instancjami a klasą robotniczą i innymi środowiskami ludzi pracy, pojawiła się niewiara w słuszne hasła programowe”.

Brak instytucjonalnych reform w partii i w państwie, których konieczność uświadamiano sobie w okresie kryzysu 1956 r., stał się przyczyną kolejnych konfliktów i kryzysowych kulminacji w latach 1970—1971 i 1980—1981. Sprawy nie rozwiązywane w sferze sposobu sprawowania władzy, realizacji zakładanych globalnych celów socjalizmu, sterowania osiąganiem tych celów oraz eliminacji procesów żywiołowych powodowały, że następowała ich kumulacja prowadząca do poszerzania rozległości i głębokości zjawisk kryzysowych.

W kolejnych kryzysach, obok ich przyczyn specyficznych, można wyodrębnić i poddać analizie zbiór przyczyn, wywodzących się z okresu sekciarsko-dogmatycznego, które stanowią o istocie wszystkich kryzysów społeczno-politycznych w Polsce Ludowej. Są to między innymi: alienacja władzy, oderwanie kierownictwa partii od mas, przerost centralizmu nad demokracją wewnątrzpartyjną, brak realizacji zakładanych materialnych i społecznych celów socjalizmu, nieliczenie się ze zmieniającymi się potrzebami społeczeństwa, fasadowe i uproszczone traktowanie klasy robotniczej, przybierające czasem postać prostackiego jej schlebienia

-Wśród Twoich społecznych doradców był także Jerzy Urban, nasz wieloletni kolega redakcyjny i przyjaciół. W połowie sierpnia 1981 roku został mianowany rzecznikiem prasowym rządu. Jakkolwiek rok temu obfitował w niezwykle zdarzenia, to muszę przyznać, że ta nominacja była dla niego wielką niespodziewanką. Wprawdzie nie uważamy się za ludzi pozbawionych wyobraźni, ale nikt z nas nie spodziewał się, że pewnego dnia Urban stanie się „panem ministrem”. Interesuje nas, kiedy wpadł na pomysł, by zaproponować swojemu szefowi tę właśnie kandydaturę.

Nie był to mój pomysł, ale o tym za chwilę. Zanim Jerzy Urban został mianowany rzecznikiem prasowym rządu, funkcję tę pełnił obecny redaktor naczelny „Rzeczypospolitej” Józef Borecki, którego poznałem na początku lat pięćdziesiątych. Pracowałem wówczas w Wydziale Prasowym i Wydawnictw Komitetu Centralnego PZPR i miałem zleconą opiekę nad prasą społeczną. Józef Borecki pracował w partyjnym dzienniku. Z upływem lat, z młodego dziennikarza stał się dużym kłopotem i publicystą. Jest jednym z tych dziennikarzy, których nazwiska pozostają w historii polskiej. Kiedy objął stanowisko wicepreziera, Borecki miał już za sobą spore doświadczenie w polityce i z tymi działaczami i doradcami „Solidarności” z wielką determinacją domagał się „dostępu do środków masowego przekazu”. Prowadził negocjacje z dużą złością. Był koncyliacyjny, ale jednocześnie stanowczy i pryncypialny. Można oczywiście postawić pytanie, dlaczego mimo tych walorów został zamieniony przez Jerzego Urbana. Myślę, że dwie były przyczyny, które owa zmianę spowodowały. Był to okres, w którym już wykładała się idea powołania gazety rządowej. O ile sobie przypominam, zwolennikiem powstania takiej gazety był m.in. J. E. Osmańczyk. Na czele takiego pisma mógł stanąć tylko ktoś, kto w pełni identyfikował się z linią partii i rządu. Takim dziennikarzem był bez wątpienia Borecki. Oprócz walorów intelektualnych posiadał także duże doświadczenie zawodowe, zwłaszcza w zakresie kierowania zespołami redakcyjnymi. Drugą przyczyną było — jak mi się wydaje — to, że zaostrzająca się walka polityczna pomiędzy władzami państwa i tymi, którzy w słowach deklarowali gotowość do partnerskiego współdziałania, a w praktyce o tym nawet nie myśleli, wymagała nowego paliwa w postaci bojowego polemisty. Był nim bez wątpienia Jerzy Urban, który w tej dziedzinie nie ma sobie równych. Myślę, że zwrócił on na siebie uwagę ówczesnego I sekretarza KC PZPR Stanisława Kania i szefa rządu właśnie dzięki tym cechom, które później miały mu przynieść zasłużony rozgłos.

A więc nie ja byłem tym, który zaproponował powołanie Jerzego Urbana na stanowisko rzecznika rządu. Podjęta w tej sprawie decyzja była dla mnie, również jak dla was, zaskoczeniem. Po prostu nie wyobrażałem sobie, że może nadejść taki dzień, w którym do Jurka będzie się zwracać per towarzyszu ministrze lub panie ministrze. Tak daleko moja wyobraźnia również nie sięgała. No, ale były to czasy niezwykłe i decyzje personalne również nie były rutynowe. Na orbitę władzy wchodziły ludzie, których nazwiska na ogół nie były brane pod uwagę w jakiegokolwiek kontekście personalnym. O Jerzym Urbanie można by napisać wielkie rozmiary esej. Zresztą już dziś liczba publikacji o nim, zwłaszcza w prasie zachodnioeuropejskiej, jest już wcale nie mała.

W przeciągu niewiele miesięcy, Urban stworzył niezwykle prężne i aktywne Biuro Prasowe rządu. Zaden rząd w historii PRL nie posiadał tak sprawnie i wszechstronnie działającej komórki prasowo-propagandowej jak rząd generała Jaruzelskiego. Myślę, że nikt chyba nie podejrzewał utalentowanego felietnisty i urodzonego polemisty o tak wielkie zdolności organizatorskie. Ja wiedziałem, że je posiada, ponieważ — jak pamiętacie — Jerzy przez wiele lat był bardzo sprawnym kierownikiem działu krajowego w „Polityce”. Jestem zdania, że w trudnej walce o umysły, w jakiej braliśmy udział zarówno w 1981 roku jak i w następnych, pion propagandowy rządu odgrywał rolę niezwykle ważną. Lecz to jeszcze nie wszystko i może nie najważniejsze. To, co mnie najbardziej fascynuje w działalności Urbana, to realizowana przez niego koncepcja rzecznika prasowego rządu. W gruncie rzeczy jest to koncepcja niepowtarzalna w świecie. W swoich dziennikarskich wędrówkach po różnych kontynentach spotykałem wielu rzeczników. Z reguły byli to urzędnicy rządowi ograniczający się do lapidarnego wyjaśniania motywów postępowania szefa rządu stosującego wobec pytań ambarasujących tradycyjne baknie w rodzaju: no comment, czyli bez komentarza. Urban odszedł od tego schematu. Konferencje prasowe zwłaszcza z dziennikarzami zachodnimi, potraktował jako ważny i skuteczny instrument walki politycznej. Oczywiście, że patronował takiej koncepcji generał Jaruzelski. W krótkim okresie wtorkowe konferencje prasowe stały się ważnym wydarzeniem politycznym na skalę międzynarodową. Zaden rzecznik prasowy rządu nie jest tak często i często cytowany w prasie światowej, jak nasz. Powołują się na niego politycy, mówi się o nim w gabinetach premierów i ministrów. Urban jako rzecznik prasowy odegrał bardzo istotną rolę w korygowaniu wypaczonej i zakłamanej wyobraźni o Polsce pogrudniowej, jakie wyłansowała propaganda zachodnia. Stenogramy konferencji prasowych drukowane w „Rzeczypospolitej” miały także niebagatelną rolę na poglądy niemieckiej liczby naszych rodaków w wielu dla Polski zasadniczych kwestiach. To prawda, że Urban swoimi wystąpieniami wzniecał ogromne namietności, że obok zaprzysięgłych zwolenników miał także zdecydowanych wrogów; nikt z ekipy 1981 roku nie był przez działaczy opozycji tak spowieiany jak on, ale nawet oni musieli przyznać, że jest to postać niepowtarzalna, że w swoich wywodach posługuje się żelazną logiką i że wreszcie jest człowiekiem obdarzonym wielką inteligencją. Oczywiście wiem, iż jest on także postacią kontrowersyjną w różnych srodowiskach, które dalekie są od jakiegokolwiek postaw niechętnych naszej polityce. No, ale każda wyraźnie zarysowana osobowość wywołuje kontrowersje.

— Tobie się też nie udało dostać?

Nie mogę narzekać na brak szczególnego za-

interesowania moją osobą. Obok spokojnych, można powiedzieć umiarkowanych krytyków, otrzymałem anonimowe nie tyle obraźliwe, co przepełnione wręcz zoologiczną nienawiścią. Czytałem je z rozbrajaniem i tylko niektóre zachowałem. Większość wrzucałem do kosza. Autorzy anonimów nie byli zbyt oryginalni w obdarzaniu mnie epitetami. Najczęściej byłem „ślugusem Moskwy”, „czerwoną zarazą”, „czerwonym ch...”, „chłopską mordą”, „ruskim s...”, „świńskim pyskiem”, „czerwonym ordynasem”, „chamskim pyskiem”, „czerwonym głupcem” itp. Otrzymywałem nieporadnie narysowane szubienice, na których dyndałem obok kilku innych towarzyszy itp. Na najbardziej chyba oryginalny pomysł wpadł jakiś facet z USA, który już po zakończeniu stanu wojennego przysłał mi stryczek z piętą, przepasywaną czerwona kokardką. Rozbawiła mnie ta przesyłka, ponieważ na kopercie widniała pieczęć naszego Urzędu Celnego — „wolno od cła”. Ale dajmy sobie spokój z dzikimi namietnościami. W czasach tak burzliwych, niespokojnych,

miotowa. W gruncie rzeczy pod tym hasłem przebiegał IX Nadzwyczajny Zjazd Partii. W następnych latach kształtował się styl kierowania i zarządzania stylem społecznym oraz gospodarczym, który utrwał podmiotowe traktowanie społeczeństwa. A jeśli nawet instytucje, które powołano do życia w minionych kilku latach właśnie po to, by obywateli uzyskali trwałe poczucie, że nie o nich bez nich, nie funkcjonują jeszcze tak, jak powinny, a styl kierowania i zarządzania nie zawsze umacnia wspomniane poczucie, to każdy zdroworozsądkowo myślący człowiek wie, że mamy do czynienia z procesem, który wymaga czasu, uporczywości, zaangażowania etc. Jeśli przez wiele lat przedmiotowe traktowanie społeczeństwa uchodziło za rzecz normalną, to trzeba też nie mało lat poświęcić na całkowite odejście od takiej praktyki.

Z treści listu, o którym mówimy, wynika, że jego autor jest inteligentem, prawdopodobnie inżynierem. Otóż chciałbym go zapytać, dlaczego tak się stało, że właśnie on i jego kole-

Czasy nadziei i rozczarowań

(5)

Dlaczego Jerzy Urban został rzecznikiem rządu

MIECZYSLAW F. RAKOWSKI

pełnych rozterek, ujawniają się nie tylko cechy szlachetne, którymi obdarzony jest człowiek. Wychodzą z ukrycia uśpione albo przyćmione idee duchy, mroczne, ponure cechy człowieka. Nie pamiętam, kto to powiedział, że każdy rodzi się z małą świnką, która najczęściej jest uśpioną, ale u niektórych cierpi na bezsenność. Wróćmy do Urbana. Otóż jestem zdania, że każdy politolog lub historyk, który w przyszłości zajmie się analizą okresu, w którym istniał rząd generała Jaruzelskiego, nie będzie mógł pominąć osoby rzecznika prasowego rządu oraz roli, jaką odegrał on w niezwykle trudnej i skomplikowanej walce, jaką prowadziliśmy o zwycięstwo rozsądku nad mitami i urojeniami, ładu i porządku nad licznymi przejawami anarchii. Urban należał do tego grona osób, które rządowi Generała nadawały niepowtarzalny kolor. Jeśli nawet wielu moich rodaków drażnił i złościł, to jestem przekonany, że po opadnięciu fali namietności, po upływie czasu, który jest najlepszym lekarzem, sprawiedliwie ocenią pracę i twórczość Jerzego Urbana.

— Nie pozostaje nam nie innego jak oczekiwanie na pracę, która w przyszłości zostanie napisana, ale skoro już ponownie zaha-czyliśmy o Twoją osobę, to sięgnijmy po listy, które nadeszły po ukazaniu się pierwszej części naszej rozmowy. Oto list z Gdańska. Jego autor pisze m.in., że widzi „Solidarność” tylko pod kątem jego kierownictwa, że — cytujemy — „dla Rakowskiego istnieje tylko Komisja Krajowa i działacze szczebla regionalnego. Członkowie „Solidarności” i działacze niższego szczebla są tylko tłem, masą, którą kierownictwo „Solidarności” dowolnie manipuluje (wykorzystując ówczesne nastroje), są to członkowie, którzy ówczym pędem wstępują do Związku...”. Zdaniem autora byli i tacy, ale jadem „Solidarności”, jej solą byli ludzie, którzy identyfikowali się z kierownictwem „Solidarności”, stanowili bazę tego ruchu.

Prawda jest, że zajmuję się przede wszystkim zespołami kierowniczymi „Solidarności”, szczebla centralnego i regionalnego, ale to nie oznacza, że nie dostrzegam mas członkowskich, że je lekceważę. Przy różnych okazjach przypominam o szeregowych członkach Związku, ich postawach i dążeniach, ale rzecz przecież w tym, że podejmując się próby przedstawienia mojego punktu widzenia na „Solidarność” musiałem się skoncentrować na polityce, jaką realizowały zespoły kierownicze, bowiem to one wyznaczały Związkowi kierunek marszu. Poważne studium o masach członkowskich „Solidarności” czeka jeszcze na swego autora. Myślę, że autor się znajdzie, ale już dziś na podstawie tej wiedzy, jaką o „Solidarność” posiadam, mogę stwierdzić, że w wielu przypadkach niedość szeregowy członek Związku będzie się mocno rumienił, gdy sumienny badacz tego okresu przypomniał mu sytuację, w której działał i które tworzył. Czy szeregowi członkowie i działacze niższego szczebla byli tylko tłem dla Komisji Krajowej? Raz byli, innym razem nie. Zależało to od konkretnej sytuacji. Faktem jest, że przywódcy Związku często powoływali się na wolę mas członkowskich, zwłaszcza wtedy, gdy chcieli coś wymusić na rządzie. Nie twierdzę też, że zawsze i wszędzie manipulowano masą członkowską, ale jednak manipulowano. Co się zaś dotyczy „ówczego pędu”, to nigdy nie mówiłem, że był to główny motyw zapisywania się do Związku. Już kilkakrotnie w naszej rozmowie wspominałem o istotach merytorycznych, które skłoniły miliony ludzi pracy do opowiedzenia się po stronie „Solidarności”. W liście, o którym mówimy, jego autor stwierdza m.in., że baza „Solidarności” dała przede wszystkim do tego, żeby społeczeństwo było podmiotem wszelkiej działalności społecznej, żeby właśnie społeczeństwo decydowało o swoim losie, a także ponosiło odpowiedzialność za swoje decyzje.

Na podmiotowość, zgoda. Istotnie o to chodziło latem 1980 roku, gdy z dnia na dzień rozlewała się fala robotniczych protestów. Pogierkowski kierownictwo partii wielokrotnie stwierdzało, że nie wolno dopuścić do tego, by społeczeństwo na nowo było traktowane przed-

dy, legitymujący się wyższym wykształceniem, mający wpływ na zespoły ludzkie, wśród których pracowali, nie podjęli się zaszczytnej misji wykorzystania swojej wiedzy i pozycji społecznej dla pracy uświadamiającej, która powinna być polegająca na wyjaśnianiu, iż wszystko, co wiąże się z podmiotowym traktowaniem społeczeństwa, wymaga czasu, że biorąc pod uwagę wszystkie obiektywne istniejące uwarunkowania należy starannie i mądrze odmierzać każdy krok, że wrogom pożądanym zmian są wszelkie odruchy antyautokratyczne? Czy zajęcie takiej postawy groziłoby linczem? Na pewno nie. Wcale nie twierdzę, że zawsze i wszędzie ludzie sprawujący władzę, na wszystkich szczeblach, zarówno wówczas jak i teraz postępują zgodnie z zasadami ujętymi w uchwałach partii oraz w ustawach uchwalonych przez Sejm, ale nie mogę się zgodzić z poglądem, który sugeruje, iż „Solidarność” dała do upodmiotowienia społeczeństwa, a więc była o-wiana szlachetnymi ideami, a szeroko pojęta władza temu się programowo przeciwstawiała. Zresztą, chciałoby się zwolenników takiego poglądu sprawujących różne stanowiska kierownicze, np. w zakładzie pracy, zapytać, na ile oni w swoim stosunku do pracowników przestrzegali zasady podmiotowości. No, ale jest to już inny problem.

Mój adwersarz pisze także, że baza „Solidarności” dała do tego, aby społeczeństwo ponosiło odpowiedzialność za swoje decyzje. Można jedynie podpisać się pod taką tezę, ale problem polega przecież na tym, że co się dotyczy „Solidarności”, to w różnych jej działaniach trudno było dopatrzeć się poczucia odpowiedzialności. Czy np. „marsze głodowe” miały o tym świadczyć? Nie kwestionuję intencji, ale decyduje przecież praktyka.

Uważam, że na zakończenie tych wywodów warto oddać głos byłemu przewodniczącemu MKZ NSZZ „Solidarność” województwa śląskiego ob. Tadeuszowi Lewańskiemu, który w liście do mnie pisał m.in. „Nie jestem w stanie pisać w tonie optymistycznym. Zbyt wiele w sercu gorczy i zawiedzionych nadziei. Mam na myśli pamiętny „Sierpień 80” i okres zaraz po nim. Wielka niepewność jutra, obawa o los rodziny i los kraju, potem podpisanie porozumień i przeogromna ulga — jutro będzie dobre i sprawiedliwe... Historia naszego kraju niebyleż często zapowiadała się tak pozytywnie, jak wtedy po Sierpniu. Miliony serc biło z ogromną nadzieją na lepsze i bezpiecznie jutro. Pamiętne hasło sierpnia „Solidarność” — wypaczenia nie” było naszym robotniczym hasłem. Dlatego, Panie Premierze, jestem przynębiony pojawiającymi się w środkach masowego przekazu opiniami potępiającymi w czambuł „Solidarność”. Wmawia się nam, że byliśmy antysocjalistycznym i nieomal antypolskim monstrum. A przecież to nieprawda, a w każdym razie niepełna prawda. I Pan to wie, jak również to, że historia nie powinna być inna, lecz prawdziwa i obiektywna.

Mój list do Pana jest prośbą o wpłynięcie na to, by przedstawiono nasz „Sierpień” w sposób prawdziwy. A prawda w powszechnym odczuciu jest taka. I my związkowcy z „Solidarności” i rząd PRL zostaliśmy razem oszukani. To hasło sierpnia „Solidarność” — wypaczenia nie” było zasłoną dymną przed właściwymi celami garstki politycznych szaleńców. Podpisane Porozumienie społeczeństwo traktowało jako zapowiedź idącej odnowy i konstruktywnych działań ku wspólnemu dobru. Jednak, niestety, zrecznik manipulacji wcale tak nie zamierzali traktować Porozumień. Dla nich był to tylko etap do dalszych działań. Korzystając z przynębienia społecznego spowodowanego polityką ekonomiczną i społeczną ekipy Gierka, potrafili — niestety — poprzez zrecznik manipulowanie hasłami i obietnicami wciągnąć Związek w groźną karuzelę strajkowa...

Cele polityczne mieli jasne. Sermując na prawo i lewo hasłami o potrzebie obrony Związku kodowali w świadomości społecznej tak bardzo im potrzebna powszechną chęć do konfrontacji. Stale podgrzewana atmosfera sprzyjała temu, by każdy głos wzywający do opamiętania był uznany jako „antysolidarności-

wy”. Wykorzystując prawie bezgraniczne zaufanie członków Związku szczerze „wmanipulowano” „Solidarność” w walkę polityczną. Gdy nie pomagały podstępne ze strony „doradców”, stosowano nacisk i tak po pewnym czasie następowała ewolucja. Kto się nie poddał presji, musiał odejść, a pozostali „racjonalistycznie” przystąpili do „radkałów”. Cel uświęcał środki — widmo wojny domowej, a może nawet europejskiej dla grupy chcące władzy nie było żadnym hamulcem. Przecież „Solidarność” wcale nie była celem walki, lecz bronią i środkiem do uzyskania tego, co chciała dla siebie grupa liderów.

Tak więc na to hasło „Solidarność” — wypaczenia nie” nabraliśmy się, Panie Premierze, wszyscy, i rząd, i my związkowcy. Dlatego uważam, że to należy publicznie powiedzieć, że nie można utożsamiać Związku „Solidarność” z grupą polityków. Ja jako członek b. „Solidarności”, jak i miliony obywateli czuję się ponizony, gdy słyszę głosy, że Związek, z którym byłem związany całym sercem, był zły. To jest nieprawda. Ze dał się wmanipulować — zgoda, lecz „anty” to w swej podstawowej masie on nigdy nie był...

List otrzymałem w 1982 roku i wszystkie cytowane fragmenty wykorzystałem w jednym ze swoich wystąpień. Komentarz poglądy zawarłem w liście m.in. powiedziałem: „Wyjaśnienia wymaga przede wszystkim sprawa oceny motywacji, które skłoniły miliony ludzi pracy do zasilenia szeregów „Solidarności”. Ocena rządu nie różni się od tej, jaką przedstawił w swym liście ob. Lewański”.

Oczywiście, że jego poglądy mogą być kwestionowane, może także przez autora listu z Gdańska, ale przytaczając je chciałem jedynie powiedzieć, że istnieją różnicowane oceny Związku.

— Mieszkaniec Krakowa, były aktywny członek „Solidarności”, napisał, że książka jest ciekawa, ale jednostronna. „Co to znaczy?”, zapytywał, i wyjaśnił: „A no to, że ci drudzy z bylej „Solidarności” nie mają żadnej możliwości przekazania i opisania ich „Nadziei i rozczarowań” w tym okresie”. Jest to narzut, który — jak sądzimy — wymaga poważnego rozpatrzenia.

Zgadza się, a więc zastanówmy się nad słusznością tego zarzutu. Formalnie rzecz biorąc taka możliwość zaistniała wówczas, gdy w lutym 1982 roku działający wówczas Komitet Rady Ministrów d/s Związków Zawodowych ogłosił tezy do dyskusji o przyszłości ruchu związkowego w PRL. „Solidarność”, wówczas jedynie zawieszona, podobnie jak pozostałe związki, nie wzięła udziału w tej dyskusji. Rozumiem przyczynę. Półtora roku później, obiektywnie rzecz biorąc, możliwości przedstawienia swoich „nadziei i rozczarowań” zaistniała podczas słynnego spotkania w Stocznym im. W. Lenina. Jak z niej korzystano, wszyscy wiedzą. Myślę, że jeśli chcemy się trzymać ziemi, to musimy otwarcie powiedzieć, iż w minionych kilku latach nie zaistniały jeszcze warunki polityczne i psychologiczne, by „ci drudzy”, poważnie i odpowiedzialnie mogli wypowiedzieć się o Związku, do którego należeli. Różne były tego przyczyny, obiektywne i subiektywne.

Sądzę też, że z punktu widzenia podstawowych interesów narodowych nie należało spieszać otwarcia takiej dyskusji, w której musiałoby przelecieć dośrodek mniej lub bardziej gwałtownego wybuchu namietności. Nic by to dobrego nie przyniosło. Potrzebny był — i chyba jeszcze jest — czas na przemyślenie wielu spraw. Ostatecznie moja praca, którą traktuję także jako materiał do przemyśleń, ukazała się po czterech latach, które upłynęły od tamtego burzliwego roku. No, a oprócz tego trzeba pamiętać, że walka polityczna ma swoje nieubłagane prawa. Nie zamierzam szczegółowo wdawać się w omawianie sytuacji, jaka wytworzyła się po wprowadzeniu stanu wojennego, ponieważ rozstrząsałoby to ramy naszej rozmowy, ale jest oczywiste, że w szczytnej na szerokim froncie, wspierany przez kapitalistyczny Zachód, atak na politykę państwa, powstanie struktur podziemnych „Solidarności” itp. nie mogły nie oddać się na klimacie politycznym, jaki powstał wokół „Solidarności”. Chcę także przypomnieć, że w imieniu „tych drugich” od kilku już lat bronią całej działalności „Solidarności” i w brutalny, a nieraz niezwykle niewybredny sposób atakują naszą politykę: jej byli działacze, którzy wyjechali z kraju, często i gęsto korzystając z polskojęzycznych radiostacji. Fakt ten również nie jest bez znaczenia w sprawie, którą podniósł krakowiak. Ale jest i druga strona medalu. W poważnej publicystyce, a także w utworach literackich, w twórczości filmowej zaczynają się pojawiać racje osób, które, jeśli można tak się wyrazić, uwierzyły w „Solidarność”, w szlachetność jej celów. Uważam, że w miarę jak będziemy się oddalać od wydarzeń lat 1980/81 „ci drudzy” będą artykułować swoje racje bez ograniczeń.

— Czytelniczka z Gdańska napisała, że „brak mi w tej książce, i to bardzo brak, psychologii społecznej, a czasy tak niezwykle, które wyzwały taki wulkan społecznych namietności, wymagają spojrzenia pogłębionego, analizy psychologicznej i źródeł zjawisk społecznych. Pan, który dysponuje taką ogromną ilością faktów, powinien to zrobić przede wszystkim. Jest w tej książce garść Pana osobistych refleksji, ale to o wiele za mało. Wynika oczywiście z Pana książki polityczna ocena wydarzeń, ale pomimo wszystko czuję niedosyt”. Ciekawi jesteśmy Twojej opinii.

Przed wszystkim muszę wyrazić zadowolenie, że autorka listu bardzo poważnie podeszła do tego, co zawarłem w książce. Mogę się z tego jedynie cieszyć. Swą krytyczną uwagę potwierdza także znana prawda, że z chwilą, gdy książka opuszcza drukarnię, zaczyna być własnym życiem. Autor musi być przygotowany na trudne wprost do wyobrażenia sobie komentarze czytelnika. Cóż mogę powiedzieć o odczuwalnym niedosycie? Zapewne jest uzasadniony, ale na swoją obronę mogę powiedzieć jedynie tyle, że rzeczywiście skoncentrowałem się na politycznej ocenie wydarzeń, jakie miały miejsce, szczególnie w 1981 roku. Przypomnę, że jakby przeczuwając ten niedosyt w pewnym miejscu odesłałem czytelnika do znakomitej książki prof. Janusza Reykowskiego, wybitnego psychologa i świetnego pisarza politycznego, którego zainteresowania koncentrują się na psychologicznych źródłach kryzysu, jaki ujawnił się w Polsce w latach 1980/81.

C.D.N.

STOSUNEK DO KAPITALIZMU I SOCJALIZMU

W 1891 roku ukazała się encyklika Leona XIII „Rerum novarum”. Celem jej było przedstawienie sposobu rozwiązania kwestii robotniczej na podstawie „prawdy i sprawiedliwości”. Papież zwrócił uwagę na dramatyczny los proletariatu i zajął stanowisko wobec ruchu socjalistycznego. W encyklice przyjęto za oczywiste następujące zasady: nierówności społeczne i cierpienia są nieuchronne w życiu doczesnym; własność prywatna jest najbardziej zgodna z naturą ludzką, słusznym prawem państwowym i wolą Boską; brak własności można wyrównać pracą i zapobiegliwością; kapitał i praca są wzajemnie potrzebne i konieczne do egzystencji; pogląd o przeciwieństwie pomiędzy bogatymi a proletariatem jest niezgodny z rozumem i rzeczywistością. Według Leona XIII — jak „poszczególne członki w ciele ludzkim zestrajają się miarą swej różnorodności między sobą, tworząc w ten sposób harmonijny zespół, tak również w społeczeństwie ludzkim dwie te klasy przez naturę skazane są na to, by się z sobą łączyły w zgodzie i by sobie odpowiadały w równowadze”. Tak więc papież zastosował tu klasyczną argumentację, znaną z bajki, którą głodnym i zbuntowanym plebejuszom rzymskim opowiedział niegdyś Meneniusz Agryppa.

Najwyższy dostojnik Kościoła katolickiego potępił socjalistów za wzniecanie „zawziętości” ubogich do bogatych i dążenie do uspołecznienia środków produkcji. Podkreślił on, że „nieetykalność własności prywatnej stanowi pierwszy fundament, na którym należy oprzeć dobrobyt ludu”.

Ale jak w takim razie rozwiązać kwestię robotniczą? Otóż drogą umiarkowanego interwencjonizmu państwowego. Władze winny ochraniać robotników i dbać, żeby otrzymali sprawiedliwe wynagrodzenie oraz pracę odpowiednią do ich sił. A z drugiej strony muszą one chronić właścicieli przed amatorami cudzego majątku i nie obciążać ich nadmiernymi podatkami. Z kolei robotnicy powinni dobrze pracować, powstrzymać się od gwałtu i rozruchów oraz unikać tych, co zmierniają do przewrotu i stwarzają „nieumiarowane nadzieje”. Gdyby przyjęto te wskazania, można by — według papieża — w krótkim czasie osiągnąć zgodę i pokój społeczny.

Encyklika „Rerum novarum” stanowi kolejny zwrot w dziejach ideologii katolickiej. Kościół zaprzęstał w końcu bronić poprzedniego ustroju, w którym pełnił przewodnią i kierowniczą rolę i zaakceptował zwycięski kapitalizm — zajmując równocześnie zdecydowane stanowisko antysocjalistyczne. Oceniając poglądy Leona XIII współczesny teolog francuski, Jacques Rollet, przyznaje, iż ten „arystokrata” na tronie papieskim nie był w stanie zrozumieć kwestii robotniczej i faktycznie wyrażał świadomość klasową panującej burżuazji. Kolejny papież — Pius XI i Pius XII — także akceptowali kapitalizm oraz potępiali ruch komunistyczny i socjalistyczny. W encyklice „Quadragesimo anno” z 1935 roku znalazło się stanowcze twierdzenie, że „nie można być równocześnie dobrym katolikiem i prawdziwym socjalistą”. Pius XI przyznał wprawdzie, że socjaliści są mniej radykalni od komuni-

stów i złagodźliwi walkę klas, lecz nie znaczy to, że można ich „ochrzcić” bez uszczerbku dla chrześcijaństwa. Natomiast komunizm — zdaniem papieża — jest „nieprzyjacielem i odtwórczym wrogiem Kościoła i samego Boga”.

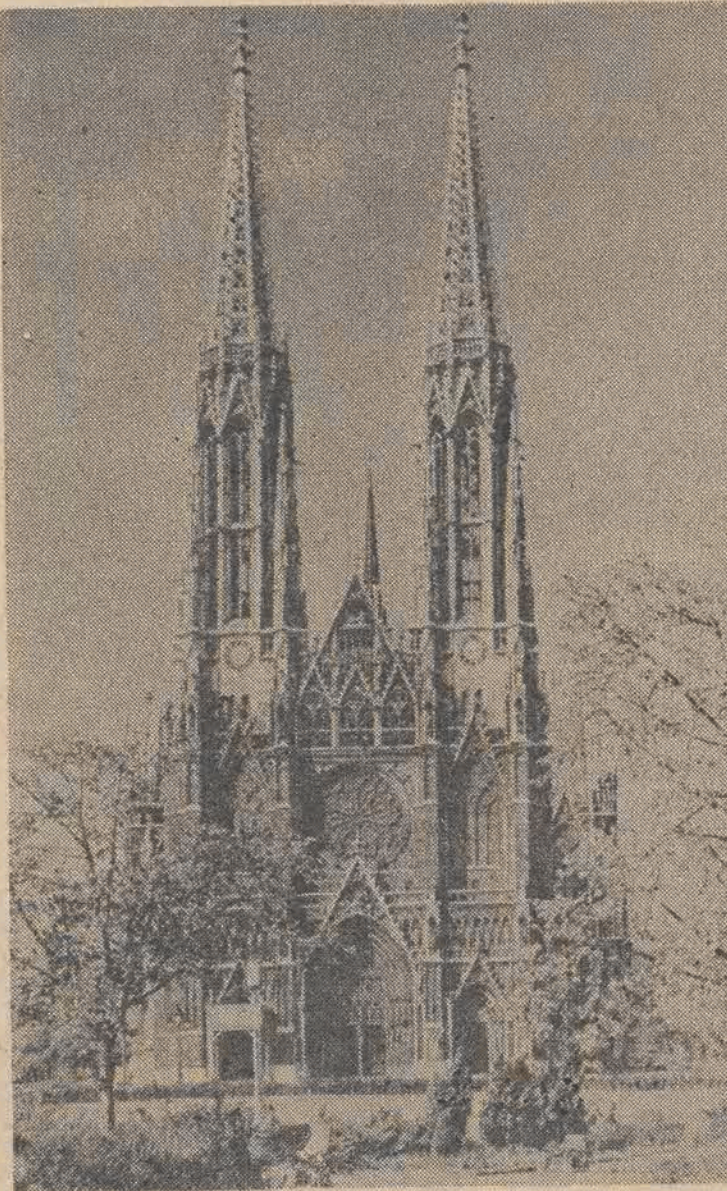
Pierwszy krok w kierunku zmiany stosunku do socjalizmu uczynił w 1963 roku Jan XXIII. Oddzielił mianowicie w swej encyklice „Pacem in terris” światopogląd filozoficzny socjalistów od uznawanej przez nich doktryny społecznej, sugerując, że w sprawach ustrojowych mogą reprezentować „coś dobrego i godnego uznania”. Zachęcał on do współpracy w kwestiach „doczesnych” katolików z niewierzącymi.

Jak wiadomo, w ostatnich dziesięcioleciach nastąpiła istotna zmiana układu sił w świecie na korzyść postępu i socjalizmu: umocnił się system państw socjalistycznych, prawie zupełnie zlikwidowano kolonializm, wiele krajów wybrało „niekapitalistyczną” drogę rozwoju, coraz częściej zaczęły dochodzić do władzy partie socjalistyczne i komunistyczne. Socjalizm stał się nadzieją świata; a różni wybitni ludzie — jak np. Leopold Senghor — dostrzegli „tajemniczą moc ukrytą w ewangelii Lenina”. W tej sytuacji Sobór Watykański II przypomniał, że Kościół ma obowiązek „badać znaki czasów i wyjaśniać je w świetle Ewangelii”.

Trzeba przyznać, że Kościół wielokrotnie w historii wykazywał się umiejętnościami adaptacji do zmieniających się warunków społeczno-politycznych i kulturalnych. Tym razem ważnym wydarzeniem, signum temporis, stała się encyklika „Populorum progressio” (1967 r.) Pawła VI. Już w samym jej tytule zawarto słowo „postęp”, które dalej w tekście pojawia się zdumiewająco często. Papież oświadcza tu, że wszyscy ludzie powołani są do posuwania świata naprzód, że należy wprowadzać reformy i przyczyniać się do rozwoju i postępu społecznego.

Najważniejsze zaś, że Paweł VI wyraźnie zakwestionował zasady ustroju kapitalistycznego. Jako niesłuszne zakwalifikował przekonanie, że „głównym bodźcem postępu ekonomicznego jest zysk, naczelną normą działalności gospodarczej — wolna konkurencja, prywatna zaś własność środków produkcji to prawo absolutne, nie znające ograniczeń i nie wiążące się z żadnymi zobowiązaniami społecznymi”. Takie nieskrępowany liberalizm prowadzi, jego zdaniem, do pewnej tyranii, imperializmu i cierpień ludzkich, do wzrostu majątku bogatych i pogłębienia nędzy biednych. Powołując się na Ojców Kościoła, czyli nawiązując do źródeł chrześcijaństwa, papież stwierdził, że własność prywatna winna być podporządkowana wspólnemu dobru, a przez to musi niekiedy ulec wyłączeniu.

W głosnym liście do kardynała Maurice’a Roy, z okazji 80 rocznicy ogłoszenia encykliki „Rerum novarum”, papież Paweł VI wyraził pogląd, że chrześcijanin działający politycznie nie może „opowiadać się za doktryną marksizmu z jej ateistycznym materializmem i dialektyką, która uznaje stosowanie przemocy, a wręcz — z tym jej sposobem, w jaki likwiduje wolność osoby w społeczeństwie”. Ale nieco dalej napisał, że atrakcyjność socjalizmu pociąga ludzi wierzących i niektórzy uczestniczą w tym ruchu z inspiracji chrześcijańskich. Papież nie potępił zaangażowania socjalistycznego



EDMUND LEWANDOWSKI

Od Jezusa do Jana Pawła II

chrześcijań, lecz przypomniał im, żeby nie naruszali uznanych przez Kościół wartości.

Z ideologicznego punktu widzenia ważne znaczenie ma encyklika „Laborem exercens” Jana Pawła II. Znalazły się w niej rozważania o pracy zadziwiająco podobne do koncepcji Karola Marksa i Fryderyka Engelsa, chociaż papież krytycznie odnosi się do materializmu dialektycznego. Jan Paweł II — tak samo jak klasycy marksizmu — uznaje pracę za czynnik specyficznie ludzki, wyróżniający człowieka wśród pozostałych istot żywych. Podkreśla też, że poprzez pracę ludzie przekształcają świat przyrody i zarazem rozwijają siebie. Człowiek jest powołany do pracy i panowania nad przyrodą, ale praca ma być dla niego, a nie on dla pracy. Praca jest obowiązkiem moralnym człowieka, a równocześnie źródłem pewnych uprawnień. Stanowi ona podstawę życia osoby ludzkiej, rodziny i społeczeństwa. W niej trzeba — zdaniem papieża — upatrywać klucza do tzw. kwestii społecznej, czyli nierówności i niesprawiedliwości występujących między klasami i narodami.

Papież potępił burzący doktrynę liberalizmu oraz pierwotny kapitalizm za degradację człowieka do „sity robo-

czej” i „towaru”, za sprzyjanie krzywdom w okresie szybkiej industrializacji. Równocześnie ostrzega, że błędy kapitalizmu pierwotnego mogą powtórzyć się w każdym systemie, gdzie ludzie traktowani są na równi z narzędziami produkcji. i sugeruje, że wszystkie ustroje degradujące w taki sposób człowieka, zasługują na miano „kapitalizmu”. Kapitalizm jest tu więc synonimem zła społecznego, podobnie jak „liberalizm” zła ideologicznego.

Jako radykalnych przeciwników liberalizmu i kapitalizmu przedstawia papież marksistów. Przypomina, że celem „tego wielkiego międzynarodowego ruchu” jest wyeliminowanie niesprawiedliwości i klas; droga walki, rewolucji i kolektywizacji. Jednakże „nawet” materializm dialektyczny — według papieża — nie przyznaje człowiekowi podmiotowej roli w procesie pracy, traktując go jako wypadkową stosunków produkcyjnych.

Błędem zarówno marksizmu jak i liberalizmu ma być oddzielenie kapitału od pracy i szukanie między nimi antynomii. W rzeczywistości — twierdzi papież — praca i kapitał wzajemnie przenikają się. Nie wolno rozbić w myśl tego spójnego i humanistycznego obrazu oraz przeciwstawić w praktyce pracy kapitałowi, a szczególnie jednym ludzi drugim, lecz trzeba przezwyciężyć sprzeczności. Jan Paweł II zaznacza jednak, że antynomia ta wyrosła nie tyle z filozofii, co z ówczesnej sytuacji społeczno-ekonomicznej. Przyznaje ponadto, że „ekonomizm” wcześniej i bardziej niż materializm filozoficzny zaważył na „niehumanistycznym postawieniu tego problemu”.

Papież pozytywnie ocenia ruch solidarności ludzi pracy i popiera walkę związków zawodowych o sprawiedliwość, ale uważa, że powinna to być walka o słusze wartości, a nie przeciwko komuś, nie walka dla samej walki lub w celu wyeliminowania przeciwnika. Pragnie on, jak Leon XIII, zgody między kapitalistami i robotnikami — z tym, że akcentuje zasady pierwszeństwa osoby przed rzeczą i pracy przed kapitałem oraz odrzuca dogmat o nienaruszalności własności prywatnej.

W encyklice „Laborem exercens” czytamy, że Kościół katolicki — w odróżnieniu od kapitalizmu liberalnego — nigdy nie traktował prawa własności jako „absolutnej i nienaruszalnej zasady”, lecz głosił, iż dobra winny służyć wszystkim. W określonych warunkach nie jest także wykluczone „uspoleczenie pewnych środków produkcji”. Trzeba tylko zapewnić podmiotowość społeczeństwu i sprawić, żeby każdy miał poczucie, że „pracuje na swoim”. Papież poddaje tu pod rozważenie możliwość łączenia pracy z własnością kapitału i wprowadzenia autonomii przedsiębiorstw.

Aktualnie Kościół odrzuca, jako skrajne, dwie koncepcje ustrojowe: liberalno-kapitalistyczną i marksistowsko-komunistyczną. Opowiada się zaś za pośrednimi rozwiązaniami, najbardziej chyba przypominającymi programy socjaldemokratyczne. Poza tym Kościół jest przeciwny nagłym przewrotom społecznym i popiera stopniowe reformy systemu kapitalistycznego.

Warto odnotować, że w „Laborem exercens” nie ma gwałtownych ataków na marksizm i socjalizm, co dołąd prawie stale występowało w podobnych dokumentach kościelnych. O marksizmie i „kolektywizmie” (socjalizmie) napisano tutaj dość obiektywnie. Czytamy nawet, że grupa dysponująca upaństwowionymi środkami produkcji — w skali ogólnospołecznej lub lokalnej — „może wywiązywać się ze swoich zadań w sposób zadowalający”. Jest to opinia o niezwyklej doniosłości, choć dalej zgodnie zresztą z faktami dodano: „ale może zadania te spełniać źle...”

Swoistej nobilitacji marksizmu i socjalizmu dokonał Jan Paweł II podczas swojej pierwszej „pielgrzymki” w Polsce. Na spotkaniu z władzami państwowymi w Belwedrze powiedział otóż: „Pozwól sobie wyrazić radość z wszelkiego dobra, które jest udziałem moich rodaków żyjących w ojczyźnie — jakiegokolwiek natury byłoby to dobro i z jakiegokolwiek założeń wypływało. Myśl, która rodzi prawdziwe dobro musi nosić na sobie znamie prawdy”.

MARKSYSCI A CHRZEŚCIJANIE

Jak z powyższego wynika, logicznym modelem ewolucji ideologicznej chrześcijaństwa może być triada. Albowiem Kościół wyszedł od komunizmu, następnie wkroczył w etap niewolniczego, feudalnego i kapitalistycznego zaprzeczenia, aby z przewrotem zbliżyć się do socjalizmu. Wydaje się, że dziś najchętniej poparłby jakiś socjalizm chrześcijański, w którym spełniłby rolę przewodnią.

Kościół katolicki zbliżył się wprawdzie do socjalizmu, ale wciąż dzieli go spory dystans od marksizmu. Jeśli pominąć kwestię światopoglądu, to najważniejszą barierą oddzielającą dotąd obie ideologie jest stanowcze odrzucenie przez Kościół walki klas i rewolucji społecznej. Nie do wszystkich jednak chrześcijan przemawia oficjalna wykładnia, iż Jezus nie był rewolucjonistą i że zgodnie z jego nauką należy wyrzec się stosowania przemocy. Niektórzy spośród katolików, szczególnie w Ameryce Łacińskiej, wolą wyobrazić sobie Chrystusa z „karabinem na ramieniu”. I nie chcą wcale pamiętać przykazania „Nie stawiajcie oporu złemu. Lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu jeszcze drugi” (Mt 5, 39). Wybierają natomiast z Pisma Świętego inne powiedzenie: „Nie sądźcie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz” (Mt 10, 34).

Wspominany poprzednio ksiądz Miguel d’Escoto — misjonarz, absolwent uniwersyte- tu Columbia w USA, minister spraw zagranicznych rządu sandinowskiego — słusznie zauważa, że kiedy Kościół obawiał się socjalizmu, to spędział „miodowe miesiące z kapitalizmem” czyli ustrojem z istoty niezgodnym z chrześcijaństwem. W Nikaragui, jego zdaniem, dopiero obecnie Kościół katolicki „chrystianizuje się”. A przejawem owego procesu jest to, że „opowiada się po stronie uciskanych, staje po stronie wyzyskiwanych, oskarża niełudzki i przestępczy liberalny ka-

pitalizm. To oznacza także potępić imperializm, który jest współnikiem reżimów despotycznych i ludobójczych”. Przedtem wielu wierzących — nawet nie wiedzieli, iż są chrześcijanami. Teraz czują to, ponieważ — jak mówi — „są rewolucjonistami. Tym, co ważna, nie są etykiety, lecz postępowanie, praktyka. Ważniejsze jest walczyć o lepszy świat, niż tylko modlić się o lepszy świat”.

Chrześcijańska zasada niestosowania przemocy jest niewątpliwie bardzo humanistyczna, ale niestety oderwana od rzeczywistości. Gdyby proletariaty cały czas ją stosował, byłby nadal brutalnie wyzyskiwany i poniżany. Wszystkie swoje zdobyte i godność zawdzięcza przecież właśnie walce klasowej z burżuazją. Nic tak nie zmuszało kapitalistów do ustępstw jak groźba rewolucji społecznej.

Historia przyznała więc rację marksizmowi. A tymczasem 3 września 1984 roku Święta Kongregacja do Spraw Doktryny Wiary ogłosiła „instrukcję” — zatwierdzoną przez papieża — stanowczo potępiającą „ideologię wyzwolenia” za korzystanie z marksistowskiej metody analizy społeczeństwa. Kolejny raz oficjalnie odrzucono idee walki klasowej i rewolucji społecznej, a w dodatku potępiono państwa socjalistyczne.

W celu dyskredytacji marksizmu i socjalizmu często wypomina się komunistom koszty społeczne budowy nowego ustroju, ekspansję w szczególności represje stalinowskie. Znają historie wiedzą wszak, że sumienie Kościoła jest znacznie bardziej obciążone. Toteż używanie takich argumentów stanowi wyraz pewnej obfudy. Zwrócił na to słusznie uwagę Czesław Miłosz. W głosnej antykomunistycznej pracy „Zniewolony umysł” przyznał mianowicie: „Cywilizacja, używająca przydomka chrześcijańskiej, zbudowana została na krwiniwinnych. Szlachetne oburzenie na tych, co dzisiaj próbują stworzyć inną cywilizację posługującą się podobnymi środkami, nie jest pozawalone fanatyzmem”.

Mimo różnorodnych przeszkód, z obu zresztą stron, współpraca między marksistami i katolikami została nawiązana i jest kontynuowana w wielu krajach. (Charakterystycznym znakiem czasu jest fakt, że przez kilka lat burmistrzem „świętego” miasta papieża i chrześcijaństwa, Rzymu, był członek Włoskiej Partii Komunistycznej). Warto przypomnieć, że gorącym zwolennikiem jednoci marksistów i chrześcijan był m. in. ksiądz Pierre Teilhard de Chardin — wybitny filozof, teolog i paleontolog. Ubolewał on swego czasu, że na świecie „coraz więcej jest «apatrydów duchowych» tragicznie rozdzielonych między marksizmem... a chrześcijaństwem...”

Także w Polsce Ludowej był czas, kiedy dialog między marksistami i katolikami układał się nieźle. Nie tylko katolicy świeccy, lecz również księża uczestniczyli we wspólnych konferencjach teoretycznych. Ostatnio jednak obserwujemy przejście od współpracy do konfrontacji. W kościołach mnożą się wystąpienia antykomunistyczne i antysocjalistyczne.

Niestety, Kościół nasz nie dojrzał jeszcze do ideowej akceptacji ustroju socjalistycznego. „Czy można powiedzieć — pyta ksiądz Józef Tischner — że Kościół protestował przeciwko socjalizmowi, ale zasadniczo akceptował system socjalistyczny? Myślę — odpowiada — że nie można tak powiedzieć. Kościół jeszcze nie ostatecznie do tego systemu nie przekonał. O tym wyrażają się zapominające «biedni rycerze socjalizmu» Ani razu w listach i dokumentach Episkopatu nie znalazło się słowo «socjalizm», i to nawet w sensie opisowym”.

Na podstawie dotychczasowych dzieł Kościoła można jednak zakładać, że stosunek do socjalizmu przed jej późniejszą zmianą się. Kościół początkowo związany był z ubogim ludem, potem sprzyjał właścicielom niewolników, popierał feudałów i burżuazję, a współcześnie coraz bardziej popiera klasę robotniczą. Pozostał więc już tylko krok do uznania socjalizmu. Nie mam wątpliwości, że kiedyś to nastąpi.



Sobota w Bialej

Nie chciałbym tam mieszkać. Tam są pokraczne chałupy o stromych dachach i wąskich oknach sięgających bruku. Zgarbione domki jak ich starzy mieszkańcy. I są spękane, odymlone kominy, które ledwie utrzymują maszty wielkich grabiastych anten. Czarny kabel spływa po łaciej papie i okienną szparę wchodzi do zagrybionej izby. Tam stoi powiatowy ołtarz marki „Neptun” i kabel bełbiednie trafia w jego gniazdo. Na połyskującym pudle aparatu leży szydełkowa serwetka i porcelanowy chart z obliczem pogromcy kosmosu. Sztuczny bez o drucianych lodygach i oswojona polargonia zięjąca wilgocią. Tęgo telewizora nie chciałbym oglądać.

— Hokus — pokus — czaruję stary kręćca galka „Neptuna”.

— Ciach, i pokazują Amerykę, albo ciach, i z powrotem u nas. Prędzej niż samolotem!

Siedemdziesiąt lat zesłało starym, z czego ostatnie dwa przy ekranie. Najpierw, gdy inni mocowali się ze skrzydłami nowiutkich anten, on pukał się w zmarszczone czoło. Tamci gapił się w kwadratowe ekrany, a stary we własne okno. Z okna widać kawał uliczki, bure ściany w liszajach zacieków i znajome gęby jak na witrynie u fotografa.

Stary był sam. Wszystko co miał siał dzieciom do dużego miasta, a dzieci za to odwiedzały go w pierwsze święto. Samotność ojca musiała młodym dokuczać, bo kiedy mieli już kolorowe telewizory, stare czarno-białe pudło przystawiali sta-

remu, żeby było do pary. Odtąd do Białej nie zawitał.

Dziś jest sobota i stary wstał o piątą godzinie. Zawsze budził się o tej godzinie, chociaż dawno już nigdzie go nie ciągnie i niczego robić nie musi. Jeśli przez pół wieku wstaje się o piątą, to tak już człowiekowi zostanie, póki nie przeszkodzi wielko trumny. Więc stary wylaził z wywra i człapie obudzić przyjaciela marki „Neptun”. Ale kompan syczy pustką, bo gadające głowy jeszcze śpią. Za to bezwstydnie szwargocą do późnej nocy, czego stary pojąć nie może, bo dzieje się odtąd dotąd, od świtu do zmroku i niczego tu nie zmieni elektryczna żarówka.

Biała Rawska żyje odtąd dotąd, od świtu do zmroku, a w soboty i niedziele przy elektrycznych żarówkach. W dzień zwany normalnym wstają się o świcie i idzie się blisko albo jedzie się daleko, bo nie dla każdego jest robota pod bokiem. Potem wraca się pekaśsem, kark boli od zginania, a głowa ciężko opada na ramię, i kładzie się na kanapie, i już jest wieczór i już nie chce się ruszyć ni ręką ni nogą, a jutro też jest dzień. I czeka się na ten wolny od roboty dzień albo na te dwa wolne w końcu tygodnia, obiecując sobie mocno, że wtedy przyjdzie czas na to i owo.

W ten wolny od roboty dzień albo w te dwa wolne w końcu tygodnia przychodzi nuda. Nuda to jest coś bez litości. Rozkłada na obie łopatki jak lipcowe słońce albo gigantyczny kac nad ranem. Jedzie warszawiak w sobotę po ludnie szosą na Grójce przez

Białą, a tu wszyscy siedzą. Starzy siedzą na koślawych ławkach pod murem, młodzi na skwerze. Siedzą i milczą. Nuda. — Czy wy nie macie zegarków? — pyta stołeczny.

Mają. Pokazują srebrzyste hongkongi karmione baterią. Cztery i pół tysiąca na targu w Rawie. Takie cacko spóźnia się góra trzy sekundy na dobę. Godzina ma trzy tysiące sześćset sekund, a doba ma dwadzieścia cztery godziny i wszystkiego nie da się przespać.

Na skwerze siedzi młodzieżówka i liczy. Aby dalej, aby zaliczyć cholernie ślimaczy czas. Młodzieżówka jest pici męskiej, dlatego taksuje mknące drogą auta. Tak warczy motor fiata za milion sto, a tak syrenki nie niewarte. Oczy wyczytują literki z podłużnych tablic, a głowy odgadują skąd licho niesie. Z Warszawy: hotel Forum, Nowy Świat i ta ulica, na której można wjechać całą Europę, Paryż i Londyn ze zwykłe pieniądze, smak ambasadora i zapiekanki z grzybami, czarny Murzyn i prawdziwy Arab między ludźmi. Skąd licho niesie? Z Wrocławia...

Przemknie rąca gabiota w kolorze metalu, wtedy młodzieżówka obstawia, ile taka maszyna ma na liczniku. Omyłka kosztuje skrzynkę piwa, skrzynka piwa kosztuje... A liczyć umie każdy. Zawsze jak małe pieniądze, to wielkie liczenie. Usta pełne gadki o złościzach. Wszyscy liczą: na kwartałną premię, na milion w totka, na spadek po ciotce, na schabowego z kapusta.

Jak przestaniesz liczyć, to dopadnie cię nuda. Wylezie z pustego kieliszka i zerknie masłanymi ślepiami. Albo zawyje jak pies i poczuje się tak samo. Nuda wyje w kinie „Przedwiośnie” na trzecim pod rząd seansie z mistrzem Brucem Lee, który wyje nieco ciszej. Z nudy Władek żarł szklankę gołymi zębami, a baby kucaly

z zachwytem. Z nudy jeden drugiemu dał po pysku, a trzeci postawił fiaskę i wypili zgodnie. Bo nuda potrafi wyczyniać dziwne rzeczy, ale najsprawniej opróżnia fiaskę.

— Piją? — Ano piją, co mają robić? — robić coś, mówić coś, ruszyć się. To „coś” znaczy niezmienne tyle co się na skwerze, pogapić się w ekran, podłubać w nosie, ruszyć na obchód Białej, żeby komus powiedzieć „cześć”, albo żeby ktoś powiedział „cześć”, co zwykle wiedzie do knajpy lub na błonie.

— Cześć, zrobimy coś? — Dziś jest majowa sobota i potanicówka w Woli. Będzie bufet na miejscu i wojewódzki zespół z bajernym gitarzystą, zabawa do białego rana, a może jeszcze dłużej. Już wiszą na krzesłach stalowe marynary i stalowe cienkie krawaty ze skóry koniecznie. Wrzosowe garniaki stanowczo wychodzą z mody. Już wiszą na sznurze szalowe portki z madery i zwiewne suknie w błękit. Kawalerka rychtuje emzетки, że było z fasonem. Fason okłapnie gdzieś koło północy i legnie pod ścianą remizy. Dlatego panny też potrafią okiełznać mechaniczne konie emzettek, bo do Białej droga po wrotna daleka, a partnerzy już nie do tańca. Ale jest dopiero południe, głowy umyte, wody kolońskie kupione, trzeba czekać.

Młodzieżówka żeńska siedzi na dechach autobusowego przystanku i czeka. Staje przelotowy z Łodzi. Pięć minut postoj u w Białej, można zapalić carmena.

— Jak tu spokojnie — mówi podróżna do podróżnego strzepując z rękawa wielkomiejski kurz. — Jaka uroczą miejscina.

A uroczą miejscina przegłąda się spod przymrużonych powiek, nieruchomo, natrętnie. Zachłannie wacha wielkomiejski kurz i zapach carmenów. Carmeny można kupić tu, w kio-

sku na placu Wolności, więc młodzieżówka żeńska z uroczym miścinym też pali carmeny. Pali i obserwuje pilnie co nosi się w Łodzi. Różowe gnieciuchy, falbaniaste kiecki, białe portki, czerwone botki. Potem przelotowy rusza ostro i znika za zakrętem. Za zakrętem jest prosta droga do bardzo niespokojnych i bardzo nieurocznych miast, do bardzo brudnych i bardzo zakurzonych miast.

— O czym marzysz? — O różowym gnieciuchu, o falbaniastej kiecce, białych portkach...

Kiedy się ma szesnaste lat, świat może mieć rozmiar geograficznego atlasu. Myszysz, że wszystko zależy od ciebie i jak zechcesz, zrobisz to jutro. Jutro przekładasz na pojutrze, a pojutrze na przyszłą wiosnę. Którejś wiosny masz lat osiemnaście i bilet do dorosłego życia. Dobrze, jeśli nadal jesteś młody. Nie jest powiedziane, że jak się ma osiemnaście lat, to jest się młodym. Starych i młodych dzieli granica chęci. A raczej przepaść. Dopóki czegoś bardzo chcesz, jesteś młody.

— O czym marzysz? — Żeby stąd uciec.

Wielu marzyło, żeby stąd uciec, ale zechciało niewiele. Z tych niewiele wróciło paru marnotrawnych. Inny chleb może smakować przez dzień lub dwa jak wielkanocne ciasto. Aż pojmiesz, że jesteś tam potrzebny do machania łopata w anonimowym tłumie. Jednym taki chleb smakuje bardziej, drugim mniej. Ci drudzy pakują walizy i wracają do siebie. Idą swoją ulicą, poswoim brukiem, mijają wyblakłe transparenty na centralnym placu. „Dobry początek, dobry koniec”, „Wielej dla was, więcej ze was”. Aby było więcej, kupują stare zdezelowane ciężarówki do wożenia owoców. Owoco wozi się na Śląsk, bo tu, pod Grójcem jest jablekowe zagłębie. Śląsk bierze więcej i daje więcej niż inni. Taki kompromis z nauki liczenia i marzeń

skurczonych do rozmiarów zdezelowanej ciężarówce.

Pod wieczór uderzą w dzwony i zajeżdżą sznur aut. Będzie ciasno pod kościelnym murem z polnego kamienia i ciasno pod chórem. Będzie ślub panny tutejszej, co ma jej się trafić z samej Warszawy. A panna, chociaż tutejsza: dwa miliony i morgi świeżego sadu, wysoko uniesie głowę. Taki mąż więcej jest wart niż murowany dom w Białej i szklarnia i jeszcze mały fiat na dokładkę.

Powiadają ludzie, że ślub młody szczęścia młodym nie wróży, więc po co z niego kusić. A ślub panny tutejszej jest młody, czyli przekorny, czyli z pośpiechu, czyli mus. Inaczej być nie podobna. Dlatego kuma szepnie kumie, a ta jeszcze jednej kumie i zanim uierzą w dzwony przycupną kumy pod kościelnym murem.

— Czerdziejci i trzy — zliczy pierwsza.

— Czerdziejci i cztery — aut — poprawi druga.

— Ładnie — zsumuje trzecia.

— Ładnie i na bogato — poprawi czwarta.

Wieczorem zjadą myśliwi. Myślistwo, odtąd przestało żyć, stało się zabawą panów. Pan prezes i pan mecenas Kochają małe miasteczka. Tutaj błyszczą jak lufy ich szucerów, a pospólstwo samo garnie się do nagonki. Za kilka stów można być panem pełną gębą, panem życia, śmierci i hojnego portfela.

O zmroku starzy podniosą się z koślawych ławek, a młodzi wsłają na emzety. Skrzypną ciężkie okiennice i buty ostatnich przechodniów. Stary czule poklepie „Neptuna” i legnie w wyrku z wiarą, że jutro obudzi się jak co dzień. Niedzieła w Białej będzie równie piękna.

ROMAN KUBIAK

Tam, gdzie kiedyś wydobywano węgiel

ze str. 1

wojny światowej, przy obecnej ulicy Krokusowej. W okresie międzywojennym przeszła ona w ręce łódzkich Niemców: Adolfa Windego i Teodora Wihana, którzy zatrudniali tam nawet do 40 pracowników.

Niemal do ostatniej wojny Stoki stanowiły dalekie przedmieście Łodzi. Osiedle zaczęło się rozwijać dopiero w roku 1935, gdzie władze miejskie przystąpiły do budowy wodociągu. W tym też czasie powstała tu kolonia domków spółdzielczych, zasiedlonych w większości przez kolejarzy. Budowano też sporo domków prywatnych, często bardzo tandetnych. Wiele z nich jeszcze „zdoła” dzisiejsze Stoki.

Również i na Sikawie — która w międzywojnie przeszła w ręce rodziny Geyerów — powstało sporo osiedle robotnicze. W roku 1931 na wznesieniu dzielącym Stoki i Sikawę według projektu architekta Korskigo wybudowano kościół.

Podczas ostatniej wojny Niemcy wybudowali tu kolonię domków dla niemieckich przesiedleńców ze Wschodu. Stoki i Sikawa ostatecznie zostały włączone w granice administracyjne miasta dopiero po wyzwoleniu, w roku 1946.

DZIEŃ DZISIEJSZY

Zbierając materiały do artykułu odwiedziłem Stoki w tzw. godzinach szczytu. Jakież było moje zdziwienie, gdy zastałem uliczki ciche, puste, sennie, jakby wymarłe. Jaki ogromny kontrast z ulicami centrum! Czysta, spokojna, pustka... Szczególnie odwyłem już od oglądania takich widoków... Kilkaś metrów w bok od ulicy Janosika przebiegała Stoki i Sikawę w osi północ — południe zaczyna się już pola uprawne. Zupełnie jak na wsi. Nic dziwnego: na tym terenie znajduje się prawie 500 gospodarstw rolnych! Nie są one co prawda zbyt duże — bo od pół do kilkunastu hektarów — ale zawsze. Większość z nich — to gospodarstwa tzw. drobnotowarowe: ot, jakaś krówka, jakas świnka, trochę drobin. Choć nie brakuje także gospodarstw nastawionych na intensywną produkcję ogrodniczą czy hodowlaną.

Zaskakujące jest natomiast budownictwo. Obok domów drewnianych, pamiętających jeszcze początek naszego wieku — takich „chatek na kurzej stopce” — wille wystawione w bliżej nie określonym stylu: zupełnie prostopadłościenna bryła budynku i... balkony ozdobione renesansowymi tralkami. Do tego błyszczący tynk (z dodatkami tuczonych szkła z żarówek) i lusterka wprawione w płaszczyznę elewacji. Historycy architektury za kilkadziesiąt lat może znajdą nazwę dla tego stylu; ja go nazwać nie potrafię. Choć są i budynki ładne, projektowane i budowane z ogromnym wyczuciem i architektonicznym smakiem. Nie są to niestety jednak obiekty spotykane często. Ową nowobogacki styl widać nie powinien dziwić: cena 1 m² gruntu wynosi 2—2,5 tys. zł! Jeśli dodać, że

przeciętna powierzchnia działki wynosi tysiąc — tysiąc pięćset metrów kwadratowych — mamy zbliżony obraz stanu majątkowego niektórych mieszkańców dzielnicy.

Zupełnie odwrotna proporcja starych budynków do nowych jest na Stokach: zdecydowana większość — to budynki stare, budowane jeszcze w latach trzydziestych. I o ile Sikawa zabudowana jest domkami jednorodzinnymi, Stoki — to budynki wielorodzinne: wspomniane już wcześniej osiedle kolejarzy i budowane jeszcze przez Niemców osiedle dla przesiedleńców. Na tym terenie wybudowano także w ostatnich latach pięć bloków mieszkalnych, które nawiasem mówiąc pasują architektonicznie do klimatu osiedla jak przysłówowa pieśń do nosa. Pięć „pudełek” utworzyło „blokowisko” pomiędzy szeregiem jednakowych domków z pochylonymi dachami pokrytymi dachówką. Cóż, niech stoją zatem dalej na chwałę tego, który je komponował w otoczenie... Nieco lepiej prezentują się domki szeregowo budowane przez Zrzeszenia Budownictwa Jednorodzinnego z PREXERU i Związku Nauczycielstwa Polskiego w okolicach ulicy Skalne i Dunajce.

Prawie wszystkie budynki na Stokach — poza prywatnymi oczywiście — administrowane są przez Przedsiębiorstwo Gospodarki Mieszkaniowej Łódź — Widzew. Wyjątek stanowią owe bloki, które są własnością RSM „Bawelna”. Trzeba przyznać, że te pięćdziesięcioletnie domy mają stosunkowo wysoki standard: wszystkie są skanalizowane, posiadają gaz, ba, nawet łazienki i ubikacje. I gdyby nie brak centralnego ogrzewania — można byłoby mieszkać jak w „blokach” — tyle że w ładniejszym krajobrazie. Ale i tak ci, którzy dostąpili szczęścia otrzymania mieszkania zastępczego, wolą otrzymać je tu — niż gdzie indziej. Bo mieszkanie na Stokach — nawet zastępcze, nawet wygospodarowane ze strychu, posiada podstawowe urządzenia sanitarne w mieszkaniu, czego nie można powiedzieć o lokalach przyznawanych w innych rejonach miasta. Dziwi tylko fakt, że o „kwaterunkowe” mieszkania zastępcze na Stokach ubiegają się najczęściej ci, którzy w jakiś sposób są z tym osiedlem związani. Wszystkim innym tu ponoć za daleko. A to przecież tylko kilkanaście minut autobusem od centrum...

Mylił się jednak ten, kto sądzi, że życie na Stokach to istna sielanka: zieleni, czysta, zdrowe powietrze.

CZEGO BRAKUJE MIESZKAŃCOM?

Przed wszystkim sklepów. Jest co prawda kilka sklepów spożywczych (ze stoiskiem monopolowym — a jakże) oraz mięsnych, ale przemysłowy jest tylko jeden. Słownie: jeden — na dwanaście tysięcy mieszkańców. Przedsiębiorstwa handlowe nie są ponoć specjalnie zainteresowane rozwijaniem tu sieci sprzedaży, a ponieważ jest prosty: musiałby one wybudować ze swych funduszy pawilon. Po co zatem inwestować w niepewny interes, który i tak nie będzie przynosił za dużych zysków, jak można

znacznie niższym kosztem urządzić sklep na parterze budynku, który wybuduje np. spółdzielnia? Tak więc po zakupy należy jeździć „do miasta”.

Albo po prostu zrobić je wracając z pracy. Bo przeważająca część mieszkańców pracuje poza osiedlem. Nic dziwnego: przemysł jeszcze tu nie dotarł, jeśli nie liczyć cegielni i otwartej niedawno kopalni. Prawie 1,4 mil. zł nowej jezdni tramwajowej przy ulicy Telegraficznej. Pozostałe instytucje, w których ewentualnie można znaleźć zatrudnienie, to Kółko Rolnicze, Zakład Karny, Ochotnicza Straż Pożarna, szpital i... bazar. Przepraszam, istnieje także bardzo silnie rozwinięty tzw. sektor nieuspołecznioty. Na terenie Sikawy zarejestrowanych jest ok. 180, a Stoków — ok. 200 zakładów rzemieślniczych. Przeważa branża motoryzacyjna, budowlana, odzieżowa i przetwórstwo tworzyw sztucznych. Liczy tych zakładów od kilku lat właściwie utrzymuje się na niezmiennym poziomie, co szczególnie niezmiennie, gdyż ilość pomieszczeń warsztatowych jest właściwie stała, a zmieniają się tylko ich najemcy.

Co jeszcze wyróżnia tę dzielnicę od innych? Chyba stan osławy. Być może trudno będzie w to uwierzyć niektórym mieszkańcom miasta — szczególnie tym zamieszkującym Widzew-Wschód, Retkinie czy Radogoszcz — ale na Stokach nie ma kłopotów z przedszkolami! Mimo że są tylko trzy — i raczej niewielkie, to wszyscy rodzice, którzy złożyli w tym roku podania, otrzymali w przedszkolu miejsce dla swych pociec. Prawda, że trudno w to uwierzyć? Sytuacja taka ma miejsce już od szeregu lat. Jeśli nawet w pewnych okresach było nieco gorzej z miejscami, to nigdy nie było aż tak tragicznie, jak w innych dzielnicach. Nieco gorsza sytuacja jest jednak w szkołach. Doszło nawet do tego, że należało wprowadzić nauczanie na dwie zmiany — choć czym są owe dwie zmiany w porównaniu do trzech pan. na Retkinie? W jednej ze szkół, tzn. w SP nr 158 mieszczącej się przy ulicy Janosika, uczą się także

dzieci z Kalonki; a ponieważ zaczęło się tam robić coraz ciśnień, podjęto decyzję o jej rozbudowie. Co ciekawe, nie był to „podgórny” nakaz, lecz społeczna inicjatywa. W chwili obecnej zlecono już nawet wykonanie dokumentacji — miejmy nadzieję, że budowa wkrótce ruszy.

Na co jeszcze narzekają mieszkańcy? Przede wszystkim na wodę. Mała, stara stacja pomp „robi już bokami”. Buduje się co prawda nową, wydajniejszą, ale końca tej inwestycji na razie nie widać. Kilkakrotnie ustalano termin oddania jej do eksploatacji — ostatni — na czerwiec 1986 r. — ale czy zostanie dotrzymany? Brakuje także oświetlenia, no i przede wszystkim utwardzonych jezdni i chodników. Wiele bocznych ulic — to zwykłe, polne drogi, nawet nie utwardzone żużlem. Jak wyglądają one w czasie jesiennych deszczów lub wiosennych roztopów — nie muszę chyba nikomu opisywać.

Gdy na ulicach rozmawiałem z mieszkańcami i pytałem jak im się tu mieszka, wszyscy odpowiadali, że doskonale. Nikt nie chciałby zmienić tej dzielnicy na inną. Dlaczego — nie wiem. Żaden z moich rozmówców nie potrafił mi na to pytanie odpowiedzieć. Być może dlatego, że panuje tu wspaniała, prawie rodzinna atmosfera: wszyscy się znają, wszyscy o sobie wszystko wiedzą. Brak jest tu anonimowości, tak charakterystycznej dla wielkich miejskich osiedli. Bo chyba znacznie przyjemniej mieszka się tam, gdzie zawsze można liczyć na sąsiedzką pomoc.

WITOLD WERNER



Foto: Witold Werner

Najpierw pojawiły się plakaty. Ze sklepowych witryn, drewnianych parkanów i ogłoszeniowych słupów wołały wielkie litery: „Po raz pierwszy we Wrocławiu. JARMARK TV — dla dorosłych, dzieci i młodzieży”. Potem nastąpiło długie wyliczanie kto i czym zabawić będzie publikę. Czego tam nie było! I rewia kaskaderów motocyklowych, i wysiługi gokartów, pokazy karate i bicie rekordów do księgi Guinnesa, skoki spadochronowe i loty balonowe. A jakie gwiazdy estrady zaproszono! Same znakomitości: Daab, Lady Pank, Kombi, Urszula, oraz — jak głosił plakat — niespodzianka: czołowa zagraniczna grupa rockowa znana z wideoteki. Jakby nie patrzeć, organizatorzy — Zarząd Wojewódzki ZSMP — gwarantowali: „barwną scenografię, efekty pirotechniczne, dużo humoru i dobrej zabawy”.

Wobec tak kuszącej perspektywy nie dziwi fakt, że na stadion olimpijski przyszło kilkadziesiąt tysięcy osób! Oficjalne statystyki mówią o 40 tysiącach, ale tak naprawdę to nikt nie zna dokładnej liczby, bo dzieci do lat 8 oraz wychowankowie domów dziecka byli poza wszelką ewidencją.

— Panie — powie po kilku dniach oficer MO dowodzący grupą milicjantów pilnujących

na rękach nosiły — a uciechły! I wtedy wyzwoliła się w ludziach jakaś agresja. Wszyscy chcieli dostać się pod estradę i zrobić porządek z zespołem. Osobiście zatrzymałem faceta, takiego około czterdziestki, który usiłował dopchnąć się do estrady ze słowami: „Idę nap. iś tego sk...na!” Ludzie byli już tak agresywnie nastawieni do zespołu, że mogłoby dojść do samosądu! Borysewicz — który zauważył, że nie ma takiej reakcji, jakiej się spodziewał — zszedł ze sceny. Gitarę miał przy sobie, choć równocześnie śpiewał z głosników. Fajnie to wyglądało... Więc jak zszedł ze sceny, to zaczął iść w stronę trybuny głównej. Wraz z kolegą poszedłem za nim, chcąc go zatrzymać. Poszedł także menażer; ciągnął go za rękę, szarpał, namawiał, żeby wrócił na estradę. Ale on nie chciał. Bluźnił, wyzywał, ale wrócić nie chciał. Zatrzymaliśmy go więc. Gdy zobaczyli to inni członkowie zespołu, też zeszli ze sceny, przysili do nas, zaczęli nas szarpać za mundury, żebyśmy go zostawili. Nadeszli inni funkcjonariusze, otoczyliśmy Borysewicza, żeby nie mu się nie stało i zaprowadziliśmy go do biura stadionu. Stamtąd przewieźliśmy go do DUSW Wrocław — Śródmieście”.

Stadion wcale nie był spokojny. Część fanów

Ulewa

GRZEGORZ GALASIŃSKI



Mniej niż zero

porządku w czasie trwania imprezy — takich tłumów na tym stadionie nigdy jeszcze nie widziałem. Nawet 20 lat temu, gdy ludzie bardzo często chodzili na mecze — nie było ich tyle!

Organizatorzy zacierali ręce: wszystko idzie jak z płatka! Dzieci dostały prezent na święto? Dostały. Ożył martwy stadion? Ożył. A przy okazji jeszcze będzie można ufundować 10 książeczek mieszkaniowych dla sierot! Czyżby zyski!

Cała impreza przebiegała właściwie bez większych zakłóceń, jeśli nie liczyć incydentu z fanami, którzy za wszelką cenę chcieli dostać się pod estradę. Stwarzało to tak duże zagrożenie dla pozostałych widzów, że organizatorzy zmuszeni byli do zamknięcia bram stadionu do chwili, aż wszyscy opuszczą płytę boiska. Wiele osób zdenerwowanych faktem, że nie mogą dostać się na widowienie, zaczęło nawet oddawać bilety. Koniec końców bramy otwarto, reszta widzów zajęła swe miejsca i „Jarmark” mógł się rozpocząć. I wszystko było pięknie aż do momentu wejścia na estradę zespołu „Lady Pank”.

Nie da się ukryć, że ten zespół cieszy się w nadodrzańskim grodzie zaskakującą popularnością. Wszak kilka lat temu „poprzedstawiali” trochę mebli w hotelu „Wrocław”. Plotka do „demolki” dodawała także jakieś pobicie, jakiś gwałt i parę innych wesołych „numerów”. Prawda natomiast jest taka, że za hotelowe sprzęty zespół musiał zapłacić na razie 120 tysięcy złotych. Na razie — bo sprawa wraca na wókanę jeszcze w połowie tego roku.

Tak więc „Lady Pank” wchodzi na estradę. Fani — młodzi ludzie w wieku 10—17 lat — przedostają się przez ogrodzenie na płytę boiska, pod estradę. Szarpają muzyków za ubrania, próbują wyrwać im włosy, by móc później się cieszyć, że zdobyli ten jeden, jedyny włos z głowy swego idola. Rzucają im kwiaty, płaczą, krzyczą, gwizdają. Koncertowa normalka.

Podłączono aparaturę, gitary i z dziesiątków — a może z setek — głosniowych kolumn rozległy się „Marchewkowe pola”. Lecz co to? Jan Borysewicz — mimo że trzyma gitarę przewieszoną przez plecy — wyraźnie na niej gra! Pozostali muzycy też śpiewają — mimo że półgłosem rozmawiają między sobą! Więc jak to jest: rozmawiają i jednocześnie śpiewają? Co tu jest grane? Fani zawyli z wielkiej rozpaczy i oburzenia. Playback! Oszukano ich! Oszukano! To oni tak długo, tak wiernie czekali na występ swych idoli, a „Lady Pank” robi im dyskotekę! I nie próbują tego ukryć! Nie stwarzają nawet pozorów, że to nie ich głosy!

Ten i ów gwizdnął. Ale nie tak, jak gwizdzą się na koncercie, gdy chce się, aby kapela grała dalej. Gwizd zabrzmiał raczej tak, jakby miast długo oczekiwanego zespołu na estradę wszedł ktoś inny, ktoś, kogo publiczność wcale nie chciała akurat zobaczyć. Rozległy się okrzyki: „Forsa! Forsa! Oddajcie forsę!”

Barczo nie spodobało się to Borysewiczowi. Jak to, on — wielki artysta, on — półbóg, idol — który jednym skinieniem palca może mieć każdą małolatkę — wygwizdany? To oni jadą do jakiegos tam Wrocławia, marnują cenny czas, a publiczność zamiast być wdzięczna, że może ich zobaczyć — gwizdzą?! O, nie! On z nimi pogada! Podszedł do mikrofonu i spytał:

— To jak, mamy grać, czy nie?!

Spytał — choć wszyscy wyraźnie słyszeli jego drugi głos śpiewający tekst piosenki!!!

Teraz już fani stojący w najdalszych zakamarkach stadionu zrozumieli co jest grane. Odpowiedzią na pytanie Borysewicza był gwizd, który z każdą chwilą narastał, potęgiał. Podszedł więc ponownie do mikrofonu i powiedział:

— Wiecie co, jesteście gorsi od milicjantów! I jeszcze dodał:

— Ja was olewam!

I pokazał publiczności czym może ich „olewać”. Więcej niestety zrobić nie zdażył.

Z notatki służbowej:

„Jan Borysewicz oświadczył, że wyciągnięcie penisa miało miejsce po zejściu ze sceny i udaniu się do sektora, którego widzowie gwizdali i wyzywali go od pedałów. Następnie oświadczył, że poszedł do sektora z córką (która występowała wraz z nim na estradzie — przyp. red.) i z widowni pospaly się kamieniem. Schował córkę za siebie, wyciągnął penisa i krzyknął: Ja was olewam!”

Funkcjonariusze MO pełniący służbę w pobliżu estrady opowiedzieli mi inną wersję wydarzenia:

„Gdy Borysewicz zaczął pokazywać takie różne gesty, publiczność gwizdała i protestowała coraz głośniej. Wtedy on pokazał publiczności, co o niej myśli i wyjął... tego, no... W tym momencie uciechły nawet fanki! Tak to by go

chciała jeszcze „odbić” Jana Borysewicza, inni byli „ładni krwi”. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat ludzie krzyczeli: „Brawo władza, brawo milicja!” Młody plutonowy powie później:

— Zdarzyło mi się to po raz pierwszy. Do tej pory zawsze słyszałem, że milicja jest taka czy inna. Nikt głośno nie krzychał: Brawo milicja! Tam usłyszałem to po raz pierwszy. I to nie u ust dziesięciu czy dwudziestu, ale kilkuset osób. Było mi bardzo, bardzo przyjemnie. Choć w kilka dni później, na przepustce, będąc „po cywilnemu” usłyszałem w mieście, jak jedna pani mówiła do drugiej: „Wiesz, jak oni tam pobili Borysewicza! Ale mu wstukili! Za włosy zanieśli go do komendy!”

Fani długo nie dali się usunąć ze stadionu. Ci, którzy już wyszli, stali jeszcze długo pod bramą. Karetki pogotowia do ostatnich chwil były przygotowane do niesienia pomocy. Ale i ich załogi wcale nie były bezpieczne.

— Wyjechaliśmy ze stadionu boczną bramą — mówi sanitariusz z jednej z nich — tuż za milicyjną nysą wiozącą Borysewicza. Nysa skręciła w prawo, my — w lewo, w stronę bramy głównej. Włączyliśmy „koguty” i od czasu do czasu syrene, bo przed nami szli ludzie i nie wszyscy nas widzieli. W pewnym momencie wjechaliśmy w nieco większy tłum. Kierowca zwolnił, prawie się zatrzymał. Okna mieliśmy uchylone i w pewnym momencie jeden z fanów wsadził głowę do środka i spytał: Co, wieciecie go na Kraszewskiego do wariatów? Mówię, że nie, że przecież z tyłu są tylko pielęgniarzki. Ale oni i tak otoczyli karetkę, zaczęli bębnić pięściami w dach, kopać samochód i kołysać nim tak, jakby chcieli go przewrócić. Nie wiedziałem co robić. Od ruchowo włączyłem syrenę i w tym momencie oni jakby się przestraszyli i na moment odskoczyli od wozu. Kierowca ruszył wtedy ostro z miejsca i ryzykując, że ktoś próbując nas zatrzymać wpadnie pod auto — odjechał. Od strony bramy głównej nadbiegali już milicjanci, więc może nic by nam się nie stało, ale wszyscy byliśmy porządnie wystraszeni. Kiedyś miałem już podobny wypadek: było to w roku 1981, w czasie jakiejś manifestacji ktoś powiedział, że karetki dwożą gaz łzawiący. Reakcja tłumu tu i tam była bardzo podobna.

W kilka dni po zaistniałym incydencie prasa całego kraju opublikowała fragmenty oświadczenia Zarządu Wojewódzkiego ZSMP we Wrocławiu:

„...Chuligańskich ekscesów, których dopuścili się członkowie zespołu „Lady Pank”, a szczególnie Jan Borysewicz, nie sposób opisać w jakichkolwiek kategoriach. Na oczach kilkudziesięciu tysięcy młodych ludzi i dzieci członkowie zespołu „Lady Pank” zachowywali się w sposób urągający ludzkiej godności. (...) W imieniu tysięcy obserwatorów niedzielnych wydarzeń kategorycznie żądamy natychmiastowego rozwiązania zespołu „Lady Pank”. Z takim też wnioskiem zwróciliśmy się do ministra kultury i sztuki”.

Polska Agencja Prasowa podała również stanowisko członków zespołu:

„My, niżej podpisani, pragniemy zdementować informacje, jakoby cały zespół uczestniczył w opisanym incydencie. Jedynym sprawcą tego incydentu był lider zespołu, Jan Borysewicz, o czym mogą zaświadczyć wszyscy obiektywni widzowie. Zespół nie zamierza brać na siebie odpowiedzialności za jednoosobowy wybryk. W związku z atmosferą, jaka zapanała wokół zespołu, postanowiliśmy zawiesić działalność estradową”.

Szkoda tylko, że nie padło w tym oświadczeniu słowo: przepraszamy...

Nie ulega wątpliwości, że zespół musi ponieść konsekwencje. Jedną z nich będzie niewypłacenie honorarium za występ — kwoty ok. 200 tys. zł. Jan Borysewicz stanie także przed kolegium do spraw wykroczeń. Wiele osób — a podaję tę informację za wrocławską prasą — zamierza wnieść z powództwa cywilnego sprawę o obrazę. Z pewnością także nie wystąpią już nigdy na żadnej imprezie organizowanej przez Jarmark. Bo — jak powiedział Wojciech Pijanowski — popsuli taką wspaniałą zabawę! I to na dziesięć minut przed jej końcem...

WITOLD NER

P.S. Za swój czyn Jan Borysewicz został ukarany karą 3 miesięcy pozbawienia wolności. Wyrok jest jeszcze nieprawomocny. Ponadto Ministerstwo Kultury i Sztuki zaleciło dokonania bezwzględnej kontroli i ścisłego nadzoru nad działalnością zespołu „Lady Pank” i oświadczenia odpowiedzialnego za artystyczną stronę tej imprezy. Urzędy wojewódzkie zobowiązane zostały także do niewydawania zezwoleń na imprezy w kraju i za granicą z udziałem zespołu „Lady Pank” oraz do weryfikacji wszystkich wydanych przez nie zezwoleń na działalność imprezarską.

Henryk Hartenberg

Wiersz o mroku i światłości

"Niechaj ci, którzy uważają się za mocno sto-
jących, strzegą się żeby nie upadli!"
(Święty Paweł)

Coraz częściej rozmawiam z ptakami
Ukrytymi w siewie moich snów —
I chociaż dzień radośnie barwami zauroczy świat
Zobaczylem nagle jak nieubliżanie zbliża się
Mrocznienie...
Jak kapłani mitów iluzji i złudzeń doskonałych
Odpowiadają miłymi pośród drzew przyswojonych
Obraz człowieka rozpiętego na drzewnie...

Coraz niżej kłaniam się ziemi milczącej — jej gorzki
Zapach budzi we mnie tajemny lek — jak przed głębią
W której żywica i krew wszystkich umarłych drzew
Wszystkich robaków i zwierząt wszystkich bogów w prochu
Rozsypanych wszystkich pokoleń i wieków —
Ludzi zabiłanych prawych i gniewnych poległych
U progu wieczności:
Ich imiona trwają w naszej pamięci (tak bardzo niemiłe) —

Coraz częściej powracam w pokorę mędrców rodząca niepokój
Sumienia — powracam w kontemplację wieczorne wyzwalającą
Zbawienie światła i mrok —
Wtedy — w swojej wyobraźni przenoszę się daleko — aż do
Granicy nieskończoności gdzie Twój obraz wciąż
Jeszcze fascynuje — jak doskonałość ukryta
Wśród antycznych drzew —

Ale wtedy... wtedy opętany wizją stawania się
Człowieka
Powracam tak nagle w misterium przemijania w świętość

Bohater literacki wobec współczesności

W dniach od 9 do 13 czer-
wca br. odbywało się w Łodzi
międzynarodowe sympozjum
pisarzy na temat „Bohater Li-
teracki wobec współczesności”.
Ważny to fakt przynajmniej z
dwóch powodów. Po pierwsze,
była to kolejna, już impreza
zorganizowana przez Związek
Literatów Polskich, która po-
świadcza powrót tej organizacji
do grona bliźniaczych związków
z innych krajów socjalistycz-
nych utrzymujących stale i
wzajemne owocne kontakty. Bu-
rze lat 1980-1982 mocno te
kontakty nadwerżyły, podmi-
nowały i w praktyce sprowa-
dziły je do zera. Nasze wew-
nętrzne anse, schizmy i podziały
oraz towarzyszące im
gesty pseudoidowe i pseu-
dopolityczne wielu ludzi
pióra w Polsce zaszkodziły
nie tylko kulturze w kraju, ale
i także jej recepcji u sąsiadów.

Zarząd Główny pod kierowni-
ctwem najpierw Haliny Aude-
skiej, a teraz Wojciecha Zu-
krowskiego stara się odbudować
sprawdzone w przeszłości for-
mule współpracy, bo są one
korzystne dla wszystkich pod
każdym względem. Z takich
intencji właśnie urodziła się i-
dea sympozjum, w którym o-
prócz Polaków wzięli udział pi-
sarze i krytycy z Bułgarii (Bo-
jan Niczew i Natasa Manolowa),
Czechosłowacji (Josef Hvišč i
Miroslav Moulis), NRD (Ma-
rienne Krumrey), Węgier (La-
szlo Györfy i Janos Terő)
oraz Związku Radzieckiego (de-
legacja z sekretarzem Zarządu
Głównego Związku Pisarzy Ra-
dzieckich Jurijem Surowcewem
i Aleksandrem Kaszauksem,
Władymirem Kolyhałowem, Bo-
kijewem Orlachanem i Leonid-
em Terakopianem).
Po drugie, każda wspólna

Odejsia — jak w milczenie hermetycznej nocy...

„I nawiedzają mnie myśli: O tak!
Już czas! Już czas! Trzeba się przygotować
Do dalekiej drogi!
Trzeba się pośpieszyć!”

A jednak: to nie był sen...

Do Ciebie

Doktorowi Wiesławowi Wesiołowskiemu

Przecież dobrze wiesz:
Jak dawno — jak bardzo dawno już choruję
Na smutek twojego spojrzenia —
O wtedy melancholia obejmując mój dom — a ja: ja
Odcinam w misterium twoich oczu...
W nich przecież wszystkie moje niespełnienia
Wszystkie moje nadzieje i wszystkie widzenia —
Ocalające:
Wtedy ogromna iza wielka jak ból człowieczy
Przelewa się w wieczornej ciszy... i przemieniam się
W skrzydlate drzewo oczekujące na rozstaju dróg —

Przecież dobrze wiesz:
Od zarania mowy ludzkiej poszukuję słowa w którym
Zawrzeć chcę wizję bogów szamanów proroków i poetów
W którym zabrzmi muzyka radości i zabiłania
W którym obraz gorzkiego krzaka oświecający czas
Wielkiego Poznania godziny mądrości i wszystkie
Barwy miłosnego zmierzchu...

Poszukuję słowa nie krzykliwego nie lukrowanego
Nie zgorzkniałego — będzie to słowo żarliwego buntu
Obnażające pustkę próżność i pychę tych którzy

rozmowa pisarzy o swojej
twórczości, o jej założeniach i
przesłaniach spełnia nieoboj-
ną funkcję wymiany doświad-
czeń, wzajemnych rozpoznaw-
czych, porozumień i polemik. Z ta-
kich rozmów rodzą się przyja-
źnie, artystyczne fascynacje i
koneksje, które w efekcie po-
szerzają krąg odbiorców i
sprzyjają międzynarodowej
promocji naszej rodzimej lite-
ratury.

Prezentując łódzkie sympo-
zjum podkreślił trzeba rze-
czywiście rangę głównego tema-
tu tej międzynarodowej debaty,
a więc problemu bohatera
współczesnej literatury. Jest
on szczególnie istotnym skła-
dnikiem utworu literackiego
tak w aspekcie konstrukcyj-
nym jak i ideowym. Bohater
literacki skupia całą uwagę
czytelnika, jest charakterysty-
cznym znakiem współczesności,
może pełnić — i często pełni
rolę dydaktycznego wzorca, na
nim wspierają się humanistycz-
ne przesłania literatury. Pod-
kreślił to w swoich wystąpieniach
prezesi ZLP — oddziału łódz-
kiego Władysław Orłowski, gos-
podarz imprezy, oraz Zarządu
Głównego Wojciech Zukrowski.

Autor „Kamiennych tablic” po-
wiedział m. in. że pisarz od-
zwierciadla rzeczywistość w
zależności od przyjętego punktu
widzenia. Ow punkt widzenia
decyduje o tym, czy pisarz bę-
dzie dostrzegał biło przed so-
bą czy niebo nad sobą, ale —
mówił — gdzieś pośrodku jest
twarz człowieka, to znaczy bo-
hatera literackiego i jednocze-
śnie czytelnika, który sięgnie
po książkę. W wypowiedzi W.
Zukrowskiego, pojawiły się je-
szcze sprawy wyboru bohatera
literackiego, jego różnorodnych
uwikłań historycznych, spo-
łecznych i politycznych.

Wprowadzenie Zukrowskiego
nadało ton późniejszemu dysku-
sji i wystąpieniom uczestni-
ków sympozjum. Referaty bo-
wiem, choć ciekawe i bogate
poznawczo, skupiły swoją pro-
blematykę wokół dosyć szcze-
gółowych analiz i konstatacji na
temat współczesnej literatury w
Polsce, Czechosłowacji i na
Węgrzech. Z reguły był to
głos krytyków z zacięciem te-
oretyczno-literackim, chłod-
nych i zdystansowanych obser-
watorów, którzy jak gdyby za-
pomnieli o ocenach i warto-
ściach.

Wacław Sadkowski w wystą-

Na tronie: budzące pokorę dla żdźbła trawy —
Słowo pełne pasji i ciszy: przeogromnej najczulszej
Jak miłość przychodząca razem z gwiazdami
Na nieboskłonach —

Przecież dobrze wiesz:
Jak bardzo choruję na smutek twojego spojrzenia —
Jak na słowo nabrzmiałe ciepłem wieczornego
Oczekiwania: to przecucie błogosławionego dotyku
Które dokona się w czas wzywający na
Ave Maria...

O ta nasza doskonałość tak bardzo niedoskonała...
Przecież dobrze wiesz: czekam na rozstaju

Po prostu obłęd...

Panie mój! To przecież obłęd!
Wczoraj — przy pełni księżyca rozmawiałem
Z drzewem szumiącym nad Rzeką Panta-Rei: z brzo-
zajem Ziemi — a głos jego wydobywał się zapewne z samego
Dna — tam gdzie korzenie w swoim pra — początku rozrosły
Sie aż do nieprzystoiwości zgarniając wszystko co żyje
I trwa tam — głęboko na dół —
A jednak nie wiem: może to las skarzył się na swój los?
Przecież jutro ostatnie już liście odpłyną — ciemną falą
W nieznane w zatracenie...
O tak — placząca wierzba i szumiące liście będą wciąż
Przypominały o nietrwałości i cierpieniu o bólu
I przemijaniu — będą szeptały o nieskończoności
I odrodzeniu...

Ale ja — wsluchany w dzwoniące ciszy rozmyślam:
„Nie — nie rozpaczajcie: jesteście nieśmiertelne — świat
Wciąż się przecież powtarza...”
Czy usłyszały kołatanie moich myśli?
A ja — czy zrozumiałem wielkość ich niepokoju?

pieniu zatytułowanym „Wśród
ludzi i wobec historii (Uwagi
o postawach bohaterów współ-
czesnej prozy polskiej)” zaczął
wprawdzie od cytatu z Marksa,
że „jednostka ludzka jest cał-
kowicie zależna od społeczeń-
stwa, ale jednocześnie jest
„rewolucyjnym” charakterem
tytułowej dla polskiej literatury
Minał się więc — jak sądzę —
z oczekiwaniami międzynarodow-
ych słuchaczy.

Brak miejsca nie pozwala mi
na przedstawienie wszystkich
wątków problemowych podje-
tych w referatach. Podzieli-
bym je na trzy grupy. W
pierwszej mieściłyby się wy-
powiedzi o charakterze typolo-
giczno-porządkującym: takie
było w zasadzie wystąpienie
wspomnianego wyżej Sadow-
skiego, także Henryka Pust-
kowskiego („Miedzy zaangażo-
waniem a prywatnością”) oraz
Josefa Hvišca. W drugiej grupie
umieściłbym głosy, w któ-
rych rozważano zagadnienia
terminologiczne: jak należy ro-
zumieć pojęcie „bohater”, czy
obecnie termin ten oznacza to
samo co kiedyś? jakie są na-
cechowania semantyczne tego
pojęcia w przeszłości i dzisiaj?
(Marianne Krumrey, Jurij Su-

rowcew). Wreszcie w grupie
trzeciej znalazłyby się wy-
powiedzi postulatyczne, a więc
prezentacja obowiązków współ-
czesnej literatury, jej funkcji
poznawczych i perswazyjnych,
tym samym, określonych konie-
czności w kreowaniu bohatera
literackiego. Mówili o tym
członkowie delegacji radziec-
kiej, podkreślał to Wojciech Zu-
krowski.

W sumie można łódzkie spot-
kanie uznać za ważne i pożyte-
czne, choć gdyby było mniej
referatów a więcej czasu na
spontaniczną wymianę poglą-
dów korzyści byłyby większe.
Ale jak powiedziałem na wstę-
pie: rzecz nie tylko w refera-
towo-krytycznych efektach
sympozjum, ale także w pora-
snych spotkaniach, kulturo-
wych rozmowach i zaproto-
kolarnych dyskusjach. Każde
wyjście poza własne środowis-
ko i zetknięcie się z innym
punktem widzenia — czasem
różnym a często przecież wspól-
nym — jest w kulturze czymś
szczególnie cennym.

(GRZG.)

„Podejrzana poezja”

Każda epoka literacka ma
swoich zapomnianych poetów. Ich
tomiki czekają cierpliwie w naj-
ciemniejszych zakamarkach uni-
wersyteckich bibliotek na przy-
szłych odkrywców — pojedyn-
czych pasjonatów lub całe pokole-
nia, które prócz uroku starych
wierszy dostrzegają tam rysy an-
tycznej kasty własnych światło-
poglądów artystycznych.

Albin Dziekoński nie należy
do ekskluzywnego grona
tzw. „poetów przekleństw”. Ci
bowiem, dotknięci anatemią przez
współczesność, bywają zwykle
rehabilitowani i wydobywani z
cienia niepamięci przez potom-
nych, a zbiorowa amnezja star-
szego pokolenia służy za najlep-
szą przepustkę do rozgłosu i po-
czytywalności pośród młodej, holdu-
jącej odmiennym poglądom estety-
cznym, generacji. Inaczej przed-
stawia się sytuacja tych nie od-
krytych lub nie zauważonych we
właściwym momencie. W tym

przypadku problem nieobecności
na rynku literackim jawi się w
o wiele mniej efektownym
świecie. Ich absencja nie jest
wskazaniem jakiejś hero-
icznej decyzji nieuczestniczenia w
oficjalnej kulturze, ale wynika z
bardzo prozaicznych faktów. Cza-
sem dostatecznym powodem są
już dziwactwa autora, jego nie-
chęć do wydawców i recenzen-
tów, czy szczególne upodobanie
niskonakładowych bibliofilskich
edycji. W pewnym sensie ilu-
stracją tej tezy może być czas
Dziekońskiego.

Albin Dziekoński nie odegrał
najmniejszej roli w po-
jeź polskiej międzywojnia —
dla wielu ówczesnych odbiorców
nawet nie zaistniał. Tymczasem z
punktu widzenia literatury współ-
czesnej wydaje się jednym z naj-
bardziej interesujących jej twór-
ców. Doskonale rozumiał ten pa-
radoks odkrywców Dziekońskiego
— Julian Krzyżanowski, zdawał

sobie z niego również sprawę
Kazimierz Wyka. Zadnemu z ba-
daczy nie udało się jednak do-
prowadzić do druku wyboru
wierszy poety. Uczynił to dopie-
ro Jerzy Poradecki, okazując się
zresztą świetnym akuszerem. Do-
konał on rozważnej ekscerpcji i
poprzedził całość ponad trzydzie-
stotomowym wstępem kryty-
cznym, w którym obok syntazy
dotychczasowej bibliografii życia
i działalności artystycznej Dzie-
końskiego zawarł oryginalną ana-
lizę wierszy poety, podejmując
przy tym próbę ogarnięcia i wy-
jaśnienia fenomenu jego twór-
czości.

Nie jest to wcale zadanie łat-
we, bowiem już sam język, ja-
kim odzwierciedla się do nas Dzieko-
ński, nastroja poważnych proble-
mów identyfikacyjnych. Wrażli-
wy sztuk dzisiejszego czytelnika,
wykształcony w obcowaniu z mo-
wą trzech ówczesnych pokoleń
poetyckich, rozpoznaje tu głosy
przedstawicieli każdego z nich
bez wyjątku. W porządku chro-
nologicznym pierwszy ujawnia się
Białoszewski, późniejszy jak Her-
bert debiutant 1958 roku, łączony
wbrew metryce urodzenia i zro-
wemu rozsądkowi z generacją
„Współczesności”, poeta „szarych

eminencji zachwyty” — mieszka-
nych sprzątek i peryferii!

„Na gzymsach pod sufitem, mł-
m-
stara, jesienne drzewa kurze;
mieszkanie nigdy nie jest duże
i trudne wietrzny śnieg”.

(„Zima w mieszkaniu bywa
śmierdząca...”)

W głosnej awangardzie czasu książce
Chwina i Roska pada parokrotnie
określenie „młódź Białosze-
wskim”. Co by się stało, gdyby
ktoś sformułował pogląd, że
wczesny Białoszewski mówi Dzie-
końskim? Zapewne kilku hagio-
grafów Mirona roznieślioby go na
ostrzach długopisów w imię dog-
matu o absolutnej oryginalności
autora „Obrotów rzeczy”. Dużo
bezpieczniej natomiast uznać Al-
bina Dziekońskiego za prekursora
Nowej Fali. Dorzuca się w ten
sposób tylko jeszcze jedna para-
ntele do już istniejących: z Witka-
cym i Miłoszem ze strony kata-
strofizmów oraz z Karpowiczem ze
strony lęgowizmu. W rzeczy sa-
mej nie jest ona tak zupełnie
bezpłodna.

Nowofalowy musiełi przecie-
żać poezję Dziekońskiego choćby
za pośrednictwem szkicu Andrze-

ja Gassa „Cień poety” z 1972 ro-
ku. Szkoda tylko, że od daty pu-
blikacji do momentu ich odczy-
tania umilknięcie miały upłynąć
zaledwie cztery lata. Dostatecznie
dużo, by przypomnieć i zaintere-
sować sylwetką artysty, zbyt ma-
ło zarazem, aby go na zawsze „wy-
dobyć z cienia”. Podobal się je-
dnak „nieufnym i zadufanym” bez
wzajemności. Podejrzliwy wobec
wszelkich instytucjonalnych form
życia społecznego, oskarżający
system polityczny o niszczenie
każdego przejawu indywiduali-
zmu i postępowanie jednostki,
niechętnie wyculony na języ-
kowy frazes — gotów go zawsze
wykpić lub obrócić w żart („Lu-
bie przejechać się po mieście kil-
koma słowy”), był jakby ich za-
pomnianym przedkiem, któremu
chętnie podałby rękę ponad gło-
wami rodziców.

Nawet okres cofnięcia się do
języka esopowego, okres rzeczy-
wistości zalegoryzowanej, który
nastąpił wkrótce po zamknięciu
głównych protagonistów Nowej
Fali, znalazłby u Dziekońskiego
swoją lekcję, starczy tylko się-
gnąć po znakomite „Bajki”.

Nie są to, bynajmniej, wszy-
stkie oblicza poety, pozostało jesz-
cze to najsubtelniejsze, najbar-

dziej intymne — oblicze artysty
głęboko autentycznego w odwo-
ływaniu się do własnych przeżyć
i wzruszeń, estetyzującego jak
Grochowiak i dokonującego re-
prywatyzacji tematu nieczy-
stych przedstawicieli Nowych Rozn-
ków.

Jak te być może: zapomniana
poezja międzywojennego autora
odczyta się znanym schemem
współczesnej literki, na dodatek
w różnych jej wariantach. Albo
jest to naprawdę „podejrzana po-
ezja” albo Eliot ma rację, twier-
dząc że:

„Czas teraźniejszy i czas który
minął
Razem obecne są chyba w
przyszłości.
A przyszłość jest zawarta w
czasie który minął”.

PIOTR ŁUSZCZYKIEWICZ

Albin Dziekoński: „Wybór poe-
zy”. Opracował i wstępem po-
przedził Jerzy Poradecki. PIW,
Warszawa 1985, nakład 5.000-1.250
egz., cena zł 150.

Satyr graficzny

Szczerze mówiąc nie mamy innego wyjścia. Mu-
simy się śmiać. Pekać ze śmiechu, chichotać, ra-
chotać, no, bodajby uśmiechać się półgębkiem.
Z nas samych, z naszych bliźnich, z polityki i
uświeconych ołtarzy, z wielkich „izmów” i z ma-
łych idiotyzmów. Nie zawsze śmiejemy się z ty-
ch, filozoficzna głębia, albo z gorzko-ironicznej ma-
drości ludzi doświadczonych. Czasem rycymy
głupkowato nie wiedząc z czego. Ale gdyby nie
śmiesz, musiałby się nam otwierać nóż w kieszeni.
Toteż — jak powiadają uczeni — śmiech to zdro-
wie i każda ku niemu okazja jest dobra.

A okazja się trafiła. Muzeum Historii Miasta
Łodzi — Galeria Łódzka wypuściła właśnie solidnej
grubości księgę. Na ponad dwustu stronach wy-
krzywiła się do nas Andrzej Grun, Zbiór rysunków
pt. „FRYZURY ALBO GEJSA NA BIEGUNACH”
poprzedziła kumoterska notka Andrzeja Karolca-
ka oraz silnie przebiegły wstęp pióra Antoniego
Szrama, w chwili druku jeszcze Dyrektora Mu-
zeum Miasta Łodzi, a dziś — miłośnicie nam pa-
nującego Dyrektora Muzeum Kineematografii. Tu
dajcie uwagi — ilu państwo znacie dyrektorów
z poczuciem humoru? No? Jak się tak dobrze ro-
zejrzeć może znalazłoby się ze dwóch, w tym je-
den dyrektor Muzeum Karykatury. No więc mo-

łamy sobie otwarcie powiedzieć, że jednego mamy
w Łodzi. W czym bierzemy na głowę niejedną me-
tropolię i zawyżamy średnią krajową. Iluż to po-
ważnych dyrektorów placówek państwowych od-
ważyłoby się szargać własny autorytet w spółce z
obrazoburczym pacyfarkiem któremu nikt nie po-
wierzaliby odpowiedzialnego urzędu? Z takimi
zawsze są tylko kłopoty, a tu proszę (nie jest po-
wiedziane, że jeszcze tych kłopotów nie będzie).
Otóż Grun zmalował, a Szram mu to wydał. Tu
druga uwaga — być może posądzenie poważnego
człowieka o poczucie humoru jest przedwczesne,
zważywszy konspiracyjny nakład dzieła. Tysiąc
pięćset egzemplarzy nasuwa przypuszczenia, że
ewentualni odbiorcy zostali odliczeni (nazwiska,
pełnione urzędy, planowane stanowiska — do
wglądu w sekretnym kajecie) i będzie im się po-
dywać tę świnkę za zaliczeniem pocztowym. Albo
też mamy do czynienia z wyjątkowo wysublimo-
wanym okazem tzw. czarnego humoru. Tak tedy
dzieło dotrze do miłośników, ale za to także za-
graniczonych, bo wydawca zadbał o załączenie fran-
cuskiej wersji tekstów wprowadzających plus tłu-
maczenia podpisów pod rysunkami. Wszystkie ra-
zem świadczy tylko o tym, że „ODGŁOSY” po-
znali się na Antonim Szramie przyznając mu swą
nagrodę za zasługi dla upowszechniania kultury.
Bo na Grunie poznawać się nie musiał. Gruna
znamy dobrze i wiemy co o nim myśleć, ale nie
będziemy używać publicznie wyrażenia nieczu-
ralnych.

Grun, jak to Grun. Wieknał litosiłemu wy-
dawcy tekste rysunków wmaiewając mu, że robi do-
bry interes.

Powstał tom satyry-graficzny nierówny. Obok
znakomych, przenikliwych obserwacji „z życia
fauny ożywionej i nieożywionej”, mieszczą się
mniej udane malunki o cokolwiek przyćmawia-
jącej „idei”. W żadnym razie nie można powiedzieć, że
jest to starannie wyselekcjonowana kolekcja. Ra-
czej miesz-masz. I chyba dobrze. To „sinusoidalne”
natchnienie Gruna, raz bliskie szczytom, raz ob-
sługujące się w dół, jest właśnie dokładnie takie,
jak nasza radosna egzystencja. Raz jest to śmie-
chu, raz rące opadają i nawet śmiech nie wycho-
dzi, raczej dławiona czkawka. A Grun reaguje na
to, jak każdy stający się „podglądacz” bliźnich.
Nie ma tu jednostajnie wysokiego „c”, zawsze
wspinalne, zawsze do przodu, zawsze z bukiem
w ręku. Czasem jest szaro i byle jak.

Zresztą — kto w dzisiejszych czasach wytrzy-
małby takiego wiecznie wspaniałego faceta? My lu
bładymy, cofamy się, zakosami maszerujemy do
przodu, a temu wszystko wychodzi. Nie do znie-
sienia. Chociaż niektórzy mówią, że wszystko ma
się ku lepszemu i idzie w górę. Głównie ceny. Ale
— jak pisze we wstępie A. Szram — „badania
naukowe wskazują, że poparcie opinii publicznej
dla wzrostu cen jest inflacją kultury społeczeń-
stwa”.

A z Grunem za adwórt. W dobie możliwego po-
szukiwania sensu życia oraz sposobów podniesienia
wydajności pracy i zmniejszenia zadłużenia, Grun
daje przynajmniej gwarancję, że jeśli nawet nie
będzie lepiej, to przynajmniej śmieszniej... „Wy-
bór „FRYZUR” jako trafnej strategii rozwoju ka-
rykatury łódzkiej gwarantuje szybki marsz do
dobrobytu (...)”.

Generalnie Grun kocha ludzi. Ale nie wszystkich.
Nie kocha miedrka, który — wyciągając podwieszane
mu łopaty — powiada: „zmniejszajcie mi to,
zastanówcie się nad tym, co podłączacie do kompute-
ra”. Nie lubi mówcy, co przekazuje: „Redacyjo!
Przecież w sumie wszystko się zgadza”. Zamysła
się nad gościem z totem „Kapitał” Marksa pod
pachą, który ogłasza: „Mam kapitał. Poszukuję
udzielnego wspólnika z pomysłem”. Ma Grun
i gorzka zaduma, rysując gorzki łeb osadzony na
korpuse obłożonym w wytwórny garnitur, łeb
dumający „I po co ja zlamam z tego drzewa?”.
naigrawa się z nas samych, spekulujących nad
butelką wódki „dęby bym rwał”, a po upadku pod
stół: „Żeby nie ta moja skomplikowana osobo-
wość”. Zastanawia się Grun, jak miliony reda-
ków: „Mam oszczędzać pieniądze, zdrowie, ben-
zynę, światło, nie palić papierosów, nie pić wódki
ani wina, nie być żonaty... Rany boskie! Co ja mam
do cholery robić w tym życiu?”. Dostaje. Tyle-
sposób przecież opisywać całej książce. Pozostaje ty-
ko życzyć obrotowym obywatelom, by udali im się
kupić Grunowa „FRYZURY”, nawet gdyby musieli
płacić barabarowa cenę. Bowiem, jak niegłupio po-
wiada Grun: „Życie jest piękne. Ale drogie. Ma-
goby być tańsze. Ale co to byłoby za życie?”.

J. W.

Andrzej Grun „FRYZURY ALBO GEJSA NA
BIEGUNACH”. Wyd.: Muzeum Historii Miasta Ło-
dzi — Galeria Łódzka, n.kł. 1500 egz.

W imieniu mniejszości

Ci, którzy z uporem godnym lepszej sprawy, od dawna już chodzą do kina, pamiętają czasy, kiedy „Konfrontacje” (na początku nazywane „Festiwałem Festiwalu Filmowych”) były autentycznym wydarzeniem kulturalnym. Wprawdzie koneserzy co roku wypinali organizatorom pozycje, które powinny być, a których nie było, a niektórzy krytycy — powołując się na pryncypia — gromili elitarną imprezę, „koniki” miały żniwa, co — chociaż niemoralne — jest niezłym wskaźnikiem zainteresowania publiczności.

Dzisiaj dyskusje repertuarowe ucichły i zamiast narzekać na to, czego nie ma, wypada się cieszyć z tego, co jest. Z pryncypiami też wszystko w największym porządku, do tego stopnia, że wszystkie „konfrontacyjne” tytuły wprowadza się szybko do normalnego rozpowszechniania. Krucha tylko z uznaniem „Konfrontacji” za wydarzenie kulturalne — i to nawet nie autentyczne, ale jakiegokolwiek.

Kwestia może nie byłaby warta zwracania sobie głowy — w końcu ostatnio w Polsce samo trwanie uważane jest za sukces, a „Konfrontacje” trwają — ale jest ona dość dobrym przykładem ogólnej sytuacji kina, być może zresztą nie tylko u nas, i choćby z tego względu zasługuje na trochę uwagi.

Ostatnie ćwierć wieku nie przyniosło w filmie wielkich zmian, w każdym razie zmian skokowych, spektakularnych. Trudno byłoby wymienić coś, co rewolucjonizowało w tym okresie technikę i zupełnie podobnie ma się sprawa ze środkami wyrazowymi, metodami narracji, estetyką. Kino zresztą nie jest wyjątkiem; w ostatnich 25 latach w ogóle brakowało rewolucyjnych zmian — znaczeniu fundamentalnym. Niezależnie od tego jaką dziedzinę życia weźmiemy pod uwagę, okazuje się, że wszelkie zasadnicze odkrycia zostały w niej dokonane, wcześniej. Potem już tylko doskonalono, korygowano, upowszechniano...

A jednak świat zmienił się

przez te 25 lat. I to jak! Zmieniło się też kino, co jest oczywiste; kino to przecież element świata, zwraca się do ludzi i przez ludzi jest tworzone, a ludzie przez te lata zmienił się najbardziej. Zmiany te — dyskretne, zachodzące stopniowo i równie stopniowo, ale nieubłagane się kumulujące — najlepiej można dostrzec właśnie przy okazji imprez typu „Konfrontacje”, choćby dlatego, że „normalny” repertuar skłania niemal wyłącznie do unikania kina.

Spróbujmy więc zastanowić się czego już dziś w kinie nie ma, co znajduje się w stadium zaniku, a co pojawia się w zamian (pamiętając, że „Konfrontacje — 85” trudno uznać za reprezentatywny obraz aktualnego kina, w pewnym zakresie jednak to kino odbija). Otóż:

1. Nie ma wielkich mistrzów. Jedni umarli (Bunuel, Visconti), inni — z różnych przyczyn — w ogóle nie realizują filmów, bądź realizują bardzo rzadko i powoli się o nich zapomina (Antonioni). A jeżeli nawet już są — jak na „Konfrontacje — 85” Fellini — to publiczność nie przyjmuje ich z takim szacunkiem jak niegdyś. Z Felliniego sporo osób wychodziło! W zamian coraz więcej reżyserów osiąga dobry i bardzo dobry poziom profesjonalny, ale też rzadko zdarza się, aby poza niego wychodził; nie widzi się wielkości, choć jest coraz więcej sprawności. Może po prostu wielkość w kinie (czy tylko w kinie?) przestała być potrzebna.

2. Nie ma żadnych nowych kierunków, które nie tak jeszcze dawno, w postaci choćby różnych „nowych fal”, rosły jak grzyby po deszczu z całym zapieczeniem społecznym, estetycznym, nawet filozoficznym.

Wydaje się, że kino — przynajmniej na jakiś czas zebrało cały arsenał swoich środków i skupia się obecnie na jego możliwie jak najlepszym wykorzystaniu, bez żadnych apriorycznych programów. W rezultacie z jednej strony każdy

film jest inny (tzn. opowiada inną historię), z drugiej zaś taki sam (w sensie szeroko pojętego warsztatu). Praktycznie żaden film „Konfrontacji — 85” nie wyłamuje się z tej reguły, co — oczywiście — nieznacznie, że wszystkie poruszają się w niej z jednakową swobodą.

3. Nie było tendencji do używania kamery jako kreatora znaczeń. To, czym kino było dłuższy czas zafascynowane: panoramy, jazdy, plastyka kadru, jako autonomicznymi środkami tworzenia wizji świata, znaczącymi czasem więcej niż fabuła czy aktor, dziś zostało praktycznie zarzucone. Znacznie ważniejsze od tego wszystkiego jest szybkie tempo, atakowanie mnogością zdarzeń i atrakcji. W reklamie jednego z filmów Spielberga podkreślano, że w pierwszych 10 minutach dzieje się tam więcej niż w 10 innych filmach. Na tej zasadzie każdy film o Winetou byłby nieskończenie lepszy od powiedzmy „W samą pośrodek”. Mimo tego zasada Spielberga upowszechniła się — liczy się tempo. A więc waga przykładu się właśnie do fabuły, aktora, inscenizacji, precyzji, „w tempie”, montażu — i do funkcjonalności tego wszystkiego, rolę kamery sprowadzając właściwie do zwykłego fotografowania. Na przykład wielkość rzmów pokazywana jest za pomocą statycznych, wyważonych kadrow montowanych „na ostro”.

Jedynym wyjątkiem był na „Konfrontacjach” film Davida Hare „Wetherby”. Nawet nie Fellini!

Zasada: przejrzystymi i niewyszukanymi metodami do równie przejrzystego i niewyszukanego celu święci triumfy, nie tylko zresztą w dziedzinie kamery. Zniknęły półtony.

4. Praktycznie nie ma tego, co kiedyś nazywano się magią kina, a co polegało na tworzeniu pięknego, ale całkowicie sztucznego świata, który poza kinem nie mógłby w ogóle istnieć. Pracował na to także system gwiazd, do których wchodziło z widowni, każdy szczegół ich ubioru, uczesania czy makijażu, oświetlenie, sposób całowania itp.

Na „Konfrontacjach” — oprócz, oczywiście, Felliniego — próbowali, ulątkowo i w specyficzny sposób, „kreować” taki świat tylko „Wetherby”. Cała reszta była — czasem wbrew pozorom — bardzo bliska normalnemu życiu. Egzotykę re-

prezentowały autentyczne zdjęcia z Indii („Podróż do Indii”), a maszyna do przenoszenia w czasie umieszczona została po prostu w samochodzie („Podróż do przyszłości”).

Także aktorzy robili wszystko, żeby nie wydać się przypadkiem gwiazdami.

Niby mieliśmy dalekie kraje, geniuszy, cudowne wydarzenia, historię, ale w gruncie rzeczy to, co działo się na ekranie było bardzo podobne do tego, co może zdarzyć się na ulicy. Raz nawet („Purpurowa róża z Kairu”) zszedł z ekranu sam bohater filmu, powodując tym wysokim perturbację raczej dla kina niż życia, co — jeżeli ktoś chce — może uznać za metaforę.

5. Nie ma awangardy.

6. Nie mają szans filmy traktujące wprawdzie o kwestiach istotnych, ale zbyt solennie, ale za to niezbyt sprawnie. Nad brakiem sprawności, który karany jest pustką na sali, nie ma, naturalnie, co ubolewać. Już od czasów „Pan-cernika Potomkina” wiadomo, że w kinie tzw. „sprawa” liczy się tylko wtedy, kiedy jest co najmniej dobrze, albo i lepiej „zrobiona”. Zasnęła Felliniego w „8 i 1/2”, Bergmana w „Tam, gdzie rosną psiołki” czy Wellesa w „Obywatelu Kane” było nie tyle przedstawienie rozterek artysty, marzeń zbliżającego się do śmierci profesora, czy intymnych miłości potentata prasowego, ale odkrywczy sposób, w jaki to przeprowadzili, jeśli idzie o szeroko pojęty warsztat filmowy.

Gorzej jest z solennością. Dziś coś, co ma być oglądane przez znaczącą ilość widzów, musi być możliwe jak najbardziej rozrywkowe. Dopiero od tego punktu zaczyna się cała reszta, a jeśli nawet tej reszty nie ma, to nie szkodzi — gorzej gdyby nie było rozrywkę.

Ogromnie pouczający w tym względzie na „Konfrontacjach” był fakt, że jedynie trzy filmy, na które ludzie przybyli w komplecie i murem trwali do końca („Purpurowa róża z Kairu”, „Podróż w przyszłość” i „Amadeusz”), przy wszystkich różnicach czymś takim się właśnie charakteryzowały. Wszystkie zaś inne tytuły praktycznie poniosły porażkę, a były wśród nich nie tylko rzeczy nieudane warsztatowo („Straszdylo”) choć szlachetne w intencjach, ale i pod każdym względem interesujące („Wet-

herby”, „A statek płynię”), tyle tylko, że dość mało rozrywkowe.

7. Nie ma dostatecznie dużej grupy publiczności, która mogłaby promować filmy ambitne, myślące, ciekawe, choć nieatrakcyjne wprost. Kiedyś taka właśnie publiczność utorowała drogę francuskiej „nowej fali”. Antonioniemu, Bergmanowi. Doprowadziła nawet do tego, że ci, którym w istocie filmy te się nie podobały, chodzili na nie z tzw. kulturalnego obowiązku. Z chęci, czy z obowiązku, ale bilety kupowali i nakreślali koniunkturę.

Snobizm aktualny jest mniej zachęcający. Modne jest bowiem coś akurat, odwrotnego: opowiadanie się wyłącznie z rozrywką i wyrażanie kompletnego desinteresu wobec wszystkiego, co wymaga wysiłku. Bawimy się w życiu, więc tym bardziej w kinie. Zjawisko to tylko pozornie jest szczerze, bezpretensjonalne i sympatyczne. Naprawdę kryje się za nim przerażająca bierność, synbarizm i minimalizm, a co gorsza, według znanej zasady, że zły pieniądź zawsze wypiera dobry, zatacza ono coraz szersze kręgi — też i w życiu i w kinie — doprowadzając wszystkich do zakamuflowanego komiks-u.

Tak to mniej więcej wygląda. Pytanie czy wygląda dobrze, czy źle jest bezprzedmiotowe. Po prostu tak jest i nie ma widoków na zmianę, w każdym razie szybką.

Nie byłoby może nawet w tym nie złego, gdyby raczej bytu miało także kino inne, gdyby istniała możliwość wyboru. Ale „Konfrontacje — 85”, obserwacja bieżącego repertuaru, programu telewizji, repertuaru video i zwykłe rozglądanie się dookoła skłania raczej do smutnej konstatacji, że te możliwości się kurczą, przynajmniej w Polsce. A przecież nie jest dobrze każdemu śnić ten sam sen, na dadek obracający się dookoła identycznych schematów, tylko dlatego, że podoba się większość i zgadza się z tzw. mądrością życiową.

Czasami rację miała mniejszość; może jednak warto zostawić i jej trochę miejsca, chociaż w kinie.

RYSZARD NAKONIECZNY

Kronika kulturalna

W DNIACH 12 do 14 czerwca 1986 r. na specjalne zaproszenie niemieckiego UNIMA oraz Związku Twórców Teatralnych NRD Państwowy Teatr Lalek „Pinokio” z Łodzi weźmie udział w Międzynarodowych Warsztatach Teatrów Lalkowych w Berlinie.

Łódzcy artyści przedstawiają tam spektakl pt. „Pietruszka” oparty na anonimowych tekstach rosyjskich w przekładzie Jerzego Pomianowskiego.

Przedstawienie reżyserował Włodzimierz Felenczak, lalki projektował Zygmunt Smandzik, autorami scenografii są Włodzimierz Felenczak i Jan Hutsech, muzykę napisał Jerzy Derfel zaś teksty piosenek — Agnieszka Osiecka.

ZAKOŃCZYLI SIĘ

Gorzowskie Spotkania. Teatralne 86 w Gorzowie. Widzowie Spotkań obejrżeli m. in. „Tamerlana Wielkiego” (Teatr im. J. Osterwy w Gorzowie), „Sonatę Belzebuba” (Teatr Narodowy w Warszawie), „Wiśniowy sad” (Teatr Wybrzeże z Gdańska), „Wyszedł z domu” (Teatr im. St. Wyspiańskiego w Katowicach), „Matkę” Witkacego (Teatr Współczesny w Szczecinie), „Balladę” (Teatr im. W. Horzycy w Toruniu), „Krakowiacy i górale” oraz „Spowiedź Stawrogina” (Teatr im. Osterwy w Gorzowie i „Sen srebrny Salomei” (w wykonaniu tegoż teatru).

W BYDGOSZCZY zakończył się doroczne ogólnopolskie dni literatury. Podczas ich trwania przyznano po raz pierwsze nagrody literackie im. Klemensa Janickiego. Mito nam zakomunikować, że wśród laureatów znalazła się łódzianka Ewa Filipczuk, która otrzymała nagrodę za dwa debiutanckie tomiki poetyckie.

16 CZERWCA odbył się wieczór poświęcony pamięci Anny Kamieńskiej. Organizatorem wieczoru był Klub Pisarzy i Stowarzyszenie Twórców Kultury.

12 CZERWCA wręczono nagrody i jednocześnie otwarto wystawę pokonkursową II Ogólnopolskiego Konkursu Plastycznego na Książkę dla Dzieci. Wystawę można oglądać w galerii „Chimera”, czynna będzie do 22 czerwca.

W MUZEUM

Archeologicznym i Etnograficznym czynna jest nowa wystawa pt. „Twórcy ludowi z Paszyna”. Wystawa zorganizowana została przy współudziale Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu.

W STOWARZYSZENIU

Dziennikarzy PRL w Warszawie wręczono 16 bm. doroczne nagrody klubów: problematyki krytyki kulturalnej, filmowej oraz teatralnej.

Jury Klubu Krytyki Filmowej im. Karola Iżykowskiego postanowiło trzecią nagrodę przyznać m. in. Małgorzacie Karbownik-Pawlak z „Głosu Robotniczego”.

Ponadto klub ten przyznał swoje doroczne nagrody — „Srebrne warszawskie” za najlepsze filmy. W kategorii filmów krótkometrażowych — nagrodę przyznano filmowi „Pan Szeperlik” Pawła Woldana z łódzkiej WFO.

Nagrodzonym gratulujemy!

Konfrontacje lalkarskiego kunsztu?

Co dwa lata, tradycyjnie w maju. Bielsko-Biala staje się miejscem spotkania lalkarzy z całego niemal świata. Skromne zrazu, sąsiedzkie prezentacje teatrów polskich i czeskosłowackich przerodziły się w ciągu dwudziestu lat istnienia bielskiej imprezy w jeden z ważniejszych festiwalu lalkarskich o międzynarodowym znaczeniu. Tegoroczny XII Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalek zapowiadał się niezwykle ciekawie i bogato. Ponad osiemdziesiąt teatrów zagranicznych zgłosiło chęć uczestniczenia w przeglądzie. Organizatorzy w trosce o psychiczną i fizyczną odporność festiwalowej publiczności zakwalifikowali spośród zgłoszonych 30 zespołów z 22 krajów Po doświadczeniach poprzedniego festiwalu, kiedy to zbytnia obfitość prezentacji zmuszała do równoczesnego pokazywania różnych przedstawień, uniemożliwiając uczestnikom obejrzenie wszystkich propozycji, decyzja o ograniczeniu liczby spektakli zdawała się mieć spore racjonalne uzasadnienie.

Prawdziwych miłośników teatru nie przeraża jednak wizja festiwalowego maratonu, o ile niesie on bogactwo rzeczywistych wartości artystycznych. W Bielsku pozostało zdać się na wrażliwość i doświadczenie gospodarzy, wierząc w ich trafny wybór. Z taką też wiarą i niecierpliwym oczekiwaniem prawdziwie uczy teatralnej niosącej emocje artystyczne najwyższej próbie witano się w pierwszym dniu festiwalu. Niestety szybko okazało się, że hasło tegorocznego spotkania: „Dzieciom radość i pokój” znacznie trafniej oddawałoby rzeczywiste treści, gdyby brzmiało: „Rozczarowanie”. Pierwsze rozczarowanie witało już na wstępie. Nadmierna o-

strożność organizatorów obróciła się przeciwko nim samym. Otóż zła fatum, czy jak wolać inni przyczyny obiektywne sprawiły, że w ostatniej chwili odwołano swój przyjazd kilkanaście zagranicznych teatrów. W ciągu następnych festiwalowych dni odwoływanie kolejnych zaplanowanych widowisk wywoływało nowe rozczarowania. W efekcie ze spodziewanych 30 zespołów zagranicznych festiwalowa publiczność miała obejrzeć zaledwie 16 teatrów. Świadomie użyłem słowa obejrzeć, zamiast na przykład podziwiać, ponieważ pasuje ono doskonale do temperatury owych pokazów. A więc znów rozczarowanie, tym razem natury artystycznej. Nie wiem jakimi kryteriami kierowali się organizatorzy bielskiej imprezy rozsyłając zaproszenia zagranicznym gościom, sądząc jednak, że do istotnych wymogów należała przeciętność. Na zorganizowanej konferencji prasowej pytanie o reprezentatywność wybranych przedstawień dla tego, co ma do zaoferowania światowe lalkarstwo, doczekało się jedynie beztrósko wymijającej odpowiedzi sugerującej, że w świecie teatralnej lalki nie nowego się nie dzieje i właściwie każde przedstawienie jest w jakimś sensie reprezentatywne. Należę jednak do tych zawiedzionych widzów, których nie zadowoliła taka odpowiedź, brzmiała mało prawdopodobnie. Pozostaje wierzyć, że to właśnie zaproszone, acz nieobecne teatry miały stanowić o wysokim poziomie festiwalu i być jego ozdobą, której bez winy gospodarzy zostaliśmy pozbawieni jakimś zrzędzeniem losu.

Atmosfera zniecierpliwienia i znużenia narastająca w miarę „zaliczania” festiwalowych dni

łączyła się z wyczekiwaniem na jakieś wydarzenie artystyczne zdolne ośmić, zachwycić, stać się rekompensatą za godzinny nudny spędzone w teatralnych salach. Jedynie teatr „Drak” z Hradec Králové wystawiając dwa przedstawienia: „Pieśń żywota” według „Smoka” E. Szwarca i „Złotowłosa księżniczka”, dał popis kunsztu teatralnego na najwyższym poziomie, wzbudzając zrozumiałe uznanie i podziw. Bogactwo i pomysłowość niezwykle trafnie zastosowanych środków scenicznych, spójna, konsekwentna konstrukcja dramatyczna, na wypełniona doskonałym, w pełni profesjonalnym aktorstwem, klarowność i czystość teatralnego języka to tylko niektóre z elementów współwzrastających widowiska wielkiej urody, zdolne zadowolić nawet najbardziej wymagającego widza. Bez tamtego efekciarstwa, bez kołowania publiczności pozorną głębią intelektualną, w prostej, asceetycznej niemal, aczkolwiek funkcjonalnej scenografii rozdzielił się teatr atrakcyjny zarówno dla młodych widzów jak i doświadczonego poszukiwacza doznań estetycznych. Zespół „Draka” zaskakiwał sprawnością aktorską, animacyjną, wokalem, wszechstronnością niemal absolutną, prezentuje profesjonalizm godny jedynie pozadrodzeczności. Okazuje się więc, że recepta na dobre widowisko teatralne jest niezwykle prosta: wystarczy wziąć zespół świetnie rozumiejących się, w pełni zawodowych aktorów, dobrego reżysera, doświadczonego scenografa, okraszyć to wszystko teatralną pasją i... Wróćmy jednak na ziemię, czy raczej na festiwal. Obok „Draka” znalazły się teatry dobre, interesujące, godne uwagi, oddające pochwalamy, zabrakło jednak zespołów nowatorskich, poszukujących, odkrywczych, dających poczucie obcowania z prawdziwym arcydziełem. Gwoli sprawiedliwości słów kilka o tych dobrych widowiskach, które nadawały ton tegorocznemu przeglądowi. Wysocka rangę włoskich teatrów potwierdził zespół Compagnia Drammatica Vegetale z Mezzano. Włosko „Burzy” według Szekspira zbudowane zostało z

szeregu poetyckich obrazów składających się na przypowieść o strukturze świata: Celębrowane w atmosferze magicznego obrzędu stało się chwilą wycieńczenia pośród niakości i nudy, jednak luźny związek jego poetyki z formułą teatru lalek uniemożliwia właściwie wszelkie porównania z pozostałymi przedstawieniami festiwalu.

Stan Parker z Wielkiej Brytanii, znany już gościom bielskich spotkań, bez wątpienia osiągnął mistrzostwo w uprawianiu gatunku. Jego cyrk marionetek zadziwia widzów precyzją i sprawnością wykonania. Własnoręcznie wyrzeźbione przez Parkera drewniane marionetki potrafią prawie wszystko. W klasycznych cyrkowych i estradowych „numerach” zdają się przeczyć prawom fizyki. Dla wielu zatem była to nie lada okazja obejrzenia popisów tej najbardziej skomplikowanej z teatralnych lalek w najlepszym wydaniu. Dotyczy to wszakże widowisk po raz pierwszy oglądających cyrk Parkera. Zaprezentowany przez niego obecnie program był właściwie powtórzeniem pokazu sprzed czterech lat. Wzbogacony jedynie o kilka nowych scenek nie budził już takich emocji jak przy pierwszym zetknięciu. Miła niespodziankę sprawił gość niezwykły i nieznany dotąd polskiej publiczności — teatr lalek z Islandii, jedyny zresztą zawodowy teatr lalkowy w tym kraju. „Islandzkie opowieści o olbrzymach” to widowisko złożone z czterech odrębnych części, zrealizowanych w różnych poetykach i z zastosowaniem odmiennych technik. Oparty na baśniowych wątkach skandy-nawskiego folkloru spektakl zjednał sobie sympatię widzów surowością i prostotą, wywołał rozumowanie elementami rubasznego nieco ludowego humoru a jednocześnie zaskakiwał dojrzałym, zawodowym aktorstwem. „Teater Taptoe” z Belgii ze spektaklem „Dzień, w którym nadszedł Karageus”, zrealizowane z wdziękiem widowisko „Miś Rim Cim Cim” Jana Wilkowskiego w wykonaniu Centralnego Teatru Lalek z Sofii i „Paluszek” teatru z Pragi, o raz pokazany w ostatnim dniu

festiwalu „Złotoróg” jugosłowiańskiego teatru z Mostaru wyczerpują właściwie listę przedstawień wykraczających poza przeciętność. Znamiennym wydaje się fakt, że zdecydowanie nie najlepsze, najmniej udane spektakle należały do grupy widowisk przeznaczonych dla najmłodszych. Grzeszyły banalnością, infantylizmem, miłośnością proponowanych treści i zupełnym brakiem oryginalności. Potwierdza się zatem znana lalkarom prawda, że najtrudniej stworzyć teatr o wysokich walorach artystycznych, zdolny przy tym docierać do wrażliwej psychiki najmłodszego widza.

Polskę reprezentowało w tegorocznym międzynarodowym przeglądzie prócz gospodarzy, czyli bielskiej „Banioluki”, sześć teatrów. Wśród nich znalazł się łódzki „Pinokio” ze swoim przedstawieniem „Krakowiaków i górali” Wojciecha Bogusławskiego. Wcześniej prezentowane i nagradzane na krajowych festiwalach skutości polskie widowiska skutecznie konkurencję dla pozostałych teatrów. Niepokoje może tylko pytanie na ile było to wynikiem rzeczywistych wartości artystycznych a na ile niespodziewanego braku odpowiednio silnych rywali. Osobny zgoła rozdział, wart specjalnego omówienia stanowił udział gospodarzy w tegorocznym festiwalu. Otóż najwytrwalsi mogli sobie obejrzeć przegląd do robku artystycznego „Banioluki” niezwykle wymownie reprezentowany przez pięć (!) widowisk. Trudno oprzeć się refleksji, że decyzja ta świadczy najogólniej mówiąc o braku taktu i skromności organizatorów.

Oświetlenie festiwalowe emocje mamy już za sobą, natomiast pozostało uczucie niedosytu, rozczarowania i jakby zniechęcenia. Być może za dwa lata żadne pozateatralne żywioły nie zakłóca lalkarskiej biesiady a konfrontacja największych światowych osiągnięć teatru lalek z naszymi, polskimi sukcesami zyska właściwą perspektywę.

ANDRZEJ POLAKOWSKI

Dziś się wiedzę zagarnąć z chodnika i pozwoliłem otworzyć sobie gardło. Od czasu do czasu, albo raz na jakiś czas, albo raz tylko, robi się coś takiego, co nie ma przecież żadnych, najmniejszych nawet szans powodzenia, co skazane jest na niepowodzenie od razu albo tylko trochę później. Robi się wbrew wszystkiemu rozumowi, wliczeniu do wszystkiego i przewidywaniu i wbrew. Robi się dla oczyszczenia z lepkiego kłajstra rozsądku, co każe żyć odtąd, nie dotąd nawet, bo lepiej struny i ciele pokorne i na wszelki wypadek. Robi się, żeby zrobić bo tak. Bo to przecież była Rewolucja.

Ci kierownicy pilnujący by nikt się nie upił, ci kierownicy taksówek kursujący po Mieście całkiem darmo z pilnymi zleceniami, ci kolejarze zwalniający bieg pociągów, gdy przejeżdżały obok muru zrewoltowanej fabryki diamentów. To była Rewolucja — domowe gospodynie bez słowa skargi targające ciężkie koszyki z końcem na koniec Miasta, bo stały tramwaje, stały autobusy i nie jeździła transferowa kolejka.

Rewolucja — kurwy blagające w portowych barach o kieliszek wódki za każdą cenę i odmawiający barmani, by cień pomówienia nie padł na Miasto, Władcy w ataku, w przyjaźni poklepywaniu, w porozumiewawczych mrugnięciach, w targach i w końcu na kolanach z bolesnym wyrazem oczu. — Patrzcie co z nami zrobiliście! Dajcie spokój! Nie kopcie leżących!

Wiem nie kopać, bo to była Re... tak samo naiwna i gorąca tak samo i tak samo wzniosła szlachetna jak wszystkie przed i po wszystkie. Czerwona, biała i czarna tak samo, czysta tak i tak brudna. Pełna aniołów i metów, wiernych od przed, wczoraj i dopiero od dzisiaj rano.

To była Ona. Od zawsze ta i taka. Sama Ona.

I później też, gdy nic się jak zawsze nie zmieniło — dla mnie i dla innych nic i dla tych na samym dole. Może gdzieś, tam, ale kto ma czas patrzeć tam, gdy musi żyć tu. Niektórzy tylko, zniknęli z dnia na dzień i nie pojawili się nigdy więcej, inni zniknęli, by jednak pojawić się po jakimś czasie, a jeszcze inni nie znikali wcale. Z początku udawali poważnych, ale nieco później śmiali się do bół brzucha i z pierwszych, i z drugich. Oni sami nie znikali bowiem nigdy.

Nim wszystko wróciło do stanu w jakim być musi, wielu wydaje się, że można w takim stanie coś zmienić, poprawić, zacząć od nowa. Jezeli nie dla wszystkich, to dla siebie przynajmniej. Byłem sam, a przecież nie byłem jeszcze taki stary, a nawet byłem całkiem młody. Byłem sam, bo przecież nie można być z tymi wszystkimi, które rozbił się szybko w moim zimnym pokoju, wchodziły do zmiętej, wilgotnej pościeli, a później ubierały się tak samo szybko i patrzyły na zegarek czy jeszcze zdążyć odebrać dziecko z przedszkola, coś kupić po drodze i wrócić do domu na piętnaście minut przed mężem. Nie można być z tymi co raz w mieszkaniu dostają listy od jakiegoś narzeczonego z wielkiej budowy, który przecież w końcu przyjeżdża, a może on tam już sobie kogoś znalazł? — pytały. Znalazł sobie? Jak myślisz? I patrzyły na mnie niezadowolone z każdej odpowiedzi. Nie można być z tymi, co czekają już na kogośkolwiek, gotowe na wszystko, byle tylko więcej nie czekać. Z tymi co zapraszają do domu, gdzie pełna nadziei matka i ojciec pełen i lalka na szafie w zakurzonych różowych szmatkach i zdjęcie w albumie i pytania — prawda jaka ona była ładna? A pan to co robi jeśli można wiedzieć?

I z tymi do których nie wrócił ktoś, ktoś odszedł, ktoś jeszcze się zjawił, chociaż nie zjawia się nigdy więcej.

Nie można przecież z nimi być naprawdę. Wtedy zacząłem szukać. Patrzyłem, chodziłem po ulicach, siedziałem w kawiarniach, byłem nawet w kurorcie. Coś się stanie. Będę wiedział, poczuje, poznam. Tak było kiedyś i może tak będzie znowu. Ale nic już nie czułem, nie wiedziałem i nie potrafiłem poznać. Może minęło zbyt wiele czasu, a może po prostu nie było już nikogo. Lata przechodziły teraz szybko od zimy do zimy i od lata do lata. Zauważyłem, że skóra na grzbiecie moich dion stała się inna, leniwa i oporna — naciągnięta nie rozchodziła się od razu, ale odpływała, wolno wracając do dawnego kształtu. Pewnego dnia nie musiałem już iść do szkoły.

Na przedmieściu, na wprost domu, w którym miałem mały pokój zaczęto budować dwu-jezdniową ulicę. Dostałem więc inny pokój na jeszcze dalszym przedmieściu, w małym partelowym domku przy cichej ulicy Piaskowej porośniętej akacjami i trawą między krawężnikiem a brzeżem chodnika. Przemykałem przez sieć z krzywymi deskami co nigdy już nie dadzą się wymyć do białości, z kupką pyłu w kącie przy drzwiach, gdzie zakopywały się tłuste, błyszczące segmentami pancerza, stonogi. Czytałem książki o kartach nabrzmiałych wilgocią, nasiąkniętych wodą, co płynęła cienkimi jak nerwy strumyczkami, gdzieś, tam, pod zgrubiałą skórą tyneków. Oddychałem powietrzem zleżalym między tymi ścianami, trzcinowym sufitem i wilgotną jak ściany podłogą. Powietrzem nigdy nie zmienionym do końca, bo tak ciężkim i lepkim, że wisiało nieruchomo, przybierając kształt kątów pokoju choćby najszerzej otwierać okna i drzwi. Spałem słuchając starczego rytmu trwania tego domu, co stał jeszcze, bo odejście w nietrwanie wymagało zbyt wielkiego wysiłku i tylu nieprzyjemnych spraw do załatwienia.

Byłem najmłodszy. Pozostałe pokoje zajmowały samotne osiemdziesięcioletnie kiedyś same. Starość wyłącza bowiem człowieka z wszelkich kwalifikacji. Starość dyskwalifikuje. Szczególnie kobiety — damy czy kucharki, kurwy czy sufrażystki na starość stają się tym samym — staruchami. Osobnym gatunkiem niekobiet, ale nie mężczyzn. Stają się czymś dziwnie nieprzyzwoitym przez to, że istnieją, że dają do zrozumienia jakoby kiedyś były kobietami, że domagają się pamięci przeszłej kobiecości i wyciągają ręce do pocałunków, a sekate łody obciążają w przezroczyście pończochy.

Sytuacja mężczyzn jest może nieco lepsza, bo nawet starzy nie przestają należeć do swego gatunku. O ile Zuzanna i starcy jest przyjmowana jako coś pikantnego, ale jednak normalnego staruchy w podobnej roli z efebem byłyby nie do strawienia.

Ale starość jest po prostu stanem nieodwracalnym — jak dzień i noc, pory roku, rzeki,

morza, góry, liście na drzewach i drzewa bez liści, wszystkie domy których już nie ma choćby na ich miejscu wybudowano inne takie same, były pogody i niepogody, maszowe sosny na dnie i studnie bez dna zawalone, zastępane i przyklepane. Można jeszcze udawać, że tak było zawsze, że nigdy przecież nie było inaczej, że to co było, było dlatego, że było tak właśnie. Może dlatego ludzie decydują się w końcu żyć w niej dalej. Dlatego i ja postanowiłem żyć w starości, bo nic innego nie mogłem już zrobić...

I wtedy On powiedział — A przecież mogłeś żyć w jednym z tych małych krajów, tych dziwnych krajów gdzie wszystko dzieje się za zaskoną drgającego powietrza w dzień, i za zaskoną ciemnością nocy, gdzie kolejne rewolucje wynoszą kolejnych dyktatorów, gdzie...

— Mogłem tam żyć...

— Wszystko przecież mogło być, wszystko mogło się stać jak się nie stało. Twój pradziad minął kiedyś na ulicy kogoś kogo nie powinien mijać, a twoja matka nie usiadła na ławce, na której powinna wtedy usiąść. Być może twój ojciec nie powinien za wcześnie wychodzić z pewnego balu, na którym miał zamiar zostać dłużej, albo jego ojciec nie powinien słuchać swojego ojca, który kazał mu zostać gdzie był. Wszystko mogło się stać. A ty... Trzeba od czegoś zacząć. Musi być jakiś początek. Widok jakiejś ulicy, jakiejś bramy, muru, zapach który zostaje najdłużej.

Zapach biedy ukrytej przed innymi staraniami, zaskoczony nagle niespodziewaną wizytą? I zapach biedy bezwystydnej co już nie chce, albo już nie ma siły kryć się?

Zapach codzienności co krąży od nędzy do dostatku i nie wiadomo gdzie się może zatrzymać jutro? Nieżytkości zapachną na ten wieczór, na noc, na godzinę?

A zapach bogactwa?

Tego od pokoleń i wieków i tego od pokoleń albo od wczoraj ledwie?

JAROSŁAW WARZECHA

Saligia

(Fragment powieści)

Zapach opróżnionej puszkii do śmieci wcześniej rano.

Zapach Rzeki w środku Miasta i w samym środku lata.

Sklepów rzemieślniczych zapach późnym popołudniem.

Smoly między tramwajowymi szynami po deszczu.

Domów towarowych wieczorem.

Placu Broni po defiladzie.

Gór na przedmieściu południowym.

I morza na północnym.

Zimy ze wschodu.

Lata z zachodu.

Papieru.

Tuszu.

Moru.

Honoru.

Głodu i chłodu.

Jesteś tam już? W zapachu tego Miasta, co nie dbało o was więcej niż o śnieg z zeszłego roku, nie dostrzegało, nie przejmowało się, nie starało i nie musiało zabiegać, bo i tak nie pójdziesz nigdzie indziej, bo nie macie nigdzie innego, bo jest. Tylko to.

Może nie dostrzegało was i dlatego, że nie potrafiłście zrobić śrub, tocyć żelaznych wałków, frezować, kuć i odlewać, tkąć, prażyć,

układać cegieł i stawiać betonowych słupów, budować drogi i mostów, prowadzić pociągów i wielkich ciężarówek?

Nie starało się, bo potrafiłście tylko układać słowa w cieńsze lub grubsze książki, z którymi było potem tyle kłopotu, które trzeba było przewozić potrzebnymi do czegoś innego ciężarówkami samochodami, zamykać w przepelnionych magazynach, przekonywać, że napisano w nich o czymś innym, niż napisano naprawdę.

Nie przejmowało się, bo tylko w małych szkołach mogliście czasem powiedzieć to, czego nie mówili w wielkich uniwersytetach.

Nie musiało zabiegać, bo było was zbyt mało, by wyjść na ulice i zapęlić chociaż w połowie Plac Broni.

Jesteś tam już? — zapytał, a ja już tam trochę byłem, więc powiedziałem. — To przecież może być Tam gdziekolwiek. Gdzieś, gdzie klimat jest wieczną torturą dla twojej zbyt białej skóry, gdzie gotuje się ziemia i gotuje się krew w europejskich czaszkach zaplatających tam pięset, może tylko dwieście lat temu, a wódka chłodzi, bo nie ma nic bardziej palącego ponad to, co i tam trwało tam zawsze.

Jesteś tam już?

A ja byłem tam jeszcze bardziej, więc zacząłem się zastanawiać jak się nazywa, którym z nich może być. Może nazywa się zwyczajnie — Wurst? Grubo i srośnie. Takimi się ich przecież domyślał chłop i mieszczuch, takich widywał i baby wracające wieczorami z jarmarków.

Albo on nie był gruby i nie był srośny i nie siedział na beczce piwa z kawałem kiełbasy w garści.

Wtedy może nazywał się Jeronimo Scotto — czarownik?

Albo Valerius Glöckner — student z Wittenberga, który w końcu nie był nim, tylko jego uczniem?

Może to Jego Inny uczeń — Student Leipszger z Tybingi?

Albo nawet malarz Haitzman, który tylko zapisał mu duszę i siedział później w klasztorze Mariaszell w Dolnej Austrii?

Mógł to być także Bafomet, czy po prostu Krämer i Sprenger — obaj w jednej osobie.

Mógł być przecież każdym z nich.

Jesteś tam już?

A ja już tam byłem całkiem.

Mówił dalej:

Huczały fabryki, jeździły koleje, pracowały wytwórnie żarówek, ale to wszystko było jakby żartem, wielkim żartem — produkcją zabytków z ubiegłego wieku. Nikt na świecie nie jeździł już dzisiaj takimi pociągami, na żadnych parkingach nie stały takie samochody, nikt nie używał takich dźwigów i tokarek.

Nikt też nie chciał tego od miasta kupować.

Jedynym eksportowym artykułem zostawały preparowane i suszone żółwie używane w innych krajach do ozdabiania biurek w gabinetach. Dlatego fabryka suszonych żółwi szła pełną parą dzień i noc, w niedzielę i święta, w czasie wielkich upałów i najgwałtowniejszych deszczu. Nie przerywano pracy podczas huraganów ani trąb powietrznych, trzęsień ziemi czy cudów gospodarczych, co zdarzały się za

każdym razem na początku rządów kolejnych dyktatorów.

Wielkie obszary bagien na południu dostarczały wciąż nowych pociągów żółwi. Robotnicy w sztywnych od żółwiowej krwi kombinacjach rozładowywali łopatami tysiące wagonów. Koryta taśmociągów niosły żółwie w głąb fabrycznych hal. Reszta działała się wewnątrz. Ci którzy pracowali na zewnątrz nigdy nie byli w halach. Ci z hal nie widzieli pracujących przy wagonach. Przejścia między poszczególnymi wydziałami były zamknięte i ściśle strzeżone. Nawet członkowie dyrekcji nie mieli wstępu wszędzie. Może Prezes Zarządu? Chociaż mówiono, że i on musiał omijać niektóre drzwi. Tylko General Franc, odznaczony Diamentowym Żółwiem i tytułem Honorowego Preparatora mógłby wejść wszędzie. Mówiono, że w młodości sam był bardzo zdolnym preparatorem. Mówiono jeszcze, że w fabryce stracił narzeczoną, największą miłość swojego życia. Skaleczyła się ostrym nożem do patroszenia i po trzech dniach zmarła na bagienne gorączkę roznoszoną przez stare żółwie. Franc rzucił wtedy fabrykę i poszedł do partyzantów. Co prawda pewien stary robotnik z pakowni twierdził uparcie, że Franc (jeszcze wtedy nie general) ukradł świnia na Bliskim Przedmieściu i dlatego musiał uciekać w góry. Ale tak przecież nie mogło być, tym bardziej, że robotnik zniknął wkrótce potem i nie pojawił się więcej. Każdy tym chętniej wierzył w tragiczną miłość niż w świnia z przedmieścia.

Teren wokół fabrycznych hal zajmowały setki kilometrów pól, ulic i zaułków wytyczonych przez drewniane skrzynie do pakowania — od najmniejszych, wielkości pudełek do cygar, aż do olbrzymich, wielkości małych domków z grubych desek.

Im dalej od Oddziału Pakowni, tym bardziej stały poczerwiałe od deszczu i wyblakłe od słońca, tym więcej pozapadane w ziemię, obróśnięte suchą trawą, splecione w szalony labirynt i tym większe. Te wielkości małych domów pochodziły jeszcze sprzed Rewolucji Generala Franc, z czasów Wielkiego Boomu, co skończył się nagle, zostawiając marzenia o tym, co być mogło, gdyby tak jeszcze rok, dwa, dziesięć, ale też zostawiając złość na tych co kradli bezczelnie, bo mieli to wszystko w rękach, bo było dużo, tak dużo jak nigdy przedtem, bo rządził.

General Franc, choć obiecywał nad nimi ostry sąd, skończył na łagodnym upomnieniu, odsuwając niektórych, ale wszystkim zostawiając wille, baseny, tenisowe korty, luksusowe samochody i morskie jachty. Nie wiadomo — może inaczej nie mógł, może nie chciał? Nie wiadomo, ponieważ nie mówiło się na ten temat nigdy więcej. Nigdzie.

Byli teraz wokół niego nowi, których przeprowadził ze sobą z gór i niektórych z tamtych, o których zabroniono pamiętać, że kiedyś byli z kimś całkiem innym. Byli teraz wszyscy razem, jakby tak trwało od zawsze i jakby od zawsze miało trwać.

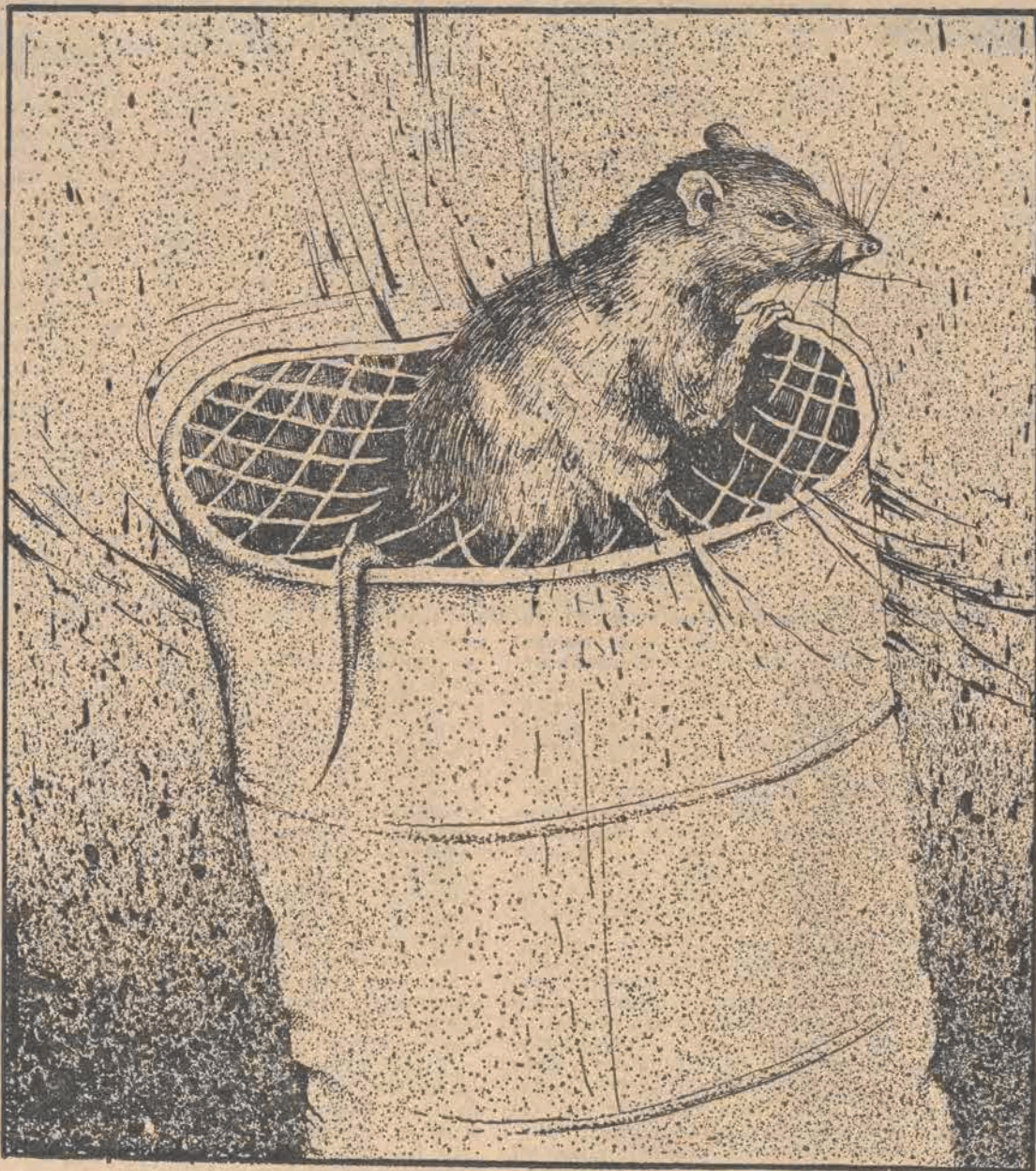
Żaden strażnik fabryczny nie śmiał sam zapuścić się w labirynt skrzyń dalej niż trzydzieści metrów od pakowni. Żaden trzyosobowy patrol, wyposażony w broń automatyczną, od dziesięciu lat nie wszedł dalej niż sto metrów w głąb. Kiedyś pluton dobrze wyszkolonych strażników poszedł kilometr, dwa, dziesięć? Po dwóch tygodniach z trzydziestu wpadło trzech, słychy, bez broni, półnagich z szaleństwem w oczach. Nikt nie wiedział co działo się w Mieście Skrzyń, choć domyślali się, że Miasto żyje — je i śpi, przyjmuje porody i odprowadza pogrzeby, ma swoje zbrodnie, zabawy, swoich dostojników i pariasów. Broni się, a może potrafi także atakować?

Szum fabryki zagłuszał ogłosy Miasta Skrzyń, światła fabryki przytłumiały jego światła, nie było widać ludzi, choć czasami pokazywały się zwierzęta — koty wielkie jak duże psy, dzikie, odważne, polujące na szczury wielkości dużych kotów i psy jak wychudła cienie, cicho przemykające w drewnianych labiryntach. Miasto Skrzyń odgródzone od Miasta wysokim pięciometrowym murem ceglany, zbudowanym dwa lata po Wielkim Boomie w ciągu trzech dni i nocy. Murem otaczającym cały teren Fabryki. Najdłuższym od stu lat w tej części świata.

Najgroźniejsze były szczury. Nie bały się światła i szumu, tam, nie odstraszał ich gryzący zaduch formaliny ani huk młynów mielących na proszek uszkodzone skorupy, bitych noży, żelazne koła wagoników ani ludzi. Ludzi bały się najmniej. Przemykały między gołymi nogami, czatowały w ciemnych przejściach, siedziały na żelaznych konstrukcjach hal przylgając się ruchowi w dół. Czasami spadały z wysoka wprost na parujące kupy wnętrzności, po trzy albo pięć naraz. Płiszczały wyrwijając sobie sine kawały flaków, a przestraszone robotnice tłukły po nich żelaznymi dragami, pełne pasji i obrzydzenia. Szczury żwonne, szybkie, rozpryskiwały się błyskawicznie. Żaden nie został nigdy na betonowej podłodze. Także pupaki stały puste, a zatruta żywność nie ruszona. Niekiedy tylko znikły nagle, wszystkie, na dwa, trzy dni, czasem na tydzień, miesiąc albo jeszcze dłużej. Mówiono wtedy, że wrócił szczur mordca. Podobno przed laty wyhodował go szczurołap z Hameln. Gra na flecie zwabił trzydziści najdородniejszych fabrycznych szczurów. Wszystkie zamknął w żelaznej beczce po ropie z gęstą metalową siatką zamiast pokryw. Codziennie robotnicy mogli oglądać szczury — beczka stała w oświetlonym słabą żarówką przejściu do hali. Nikt nie mówił, że współczuje męczarni oszalałych zwierząt. Nikt nie rzucał do beczki okruszków chleba czy żółwiowych flaków.

Przez pierwsze trzy dni szczury tłukły się głośno o metalowe ściany. Potem zapadła cisza. Było ich znacznie mniej niż na początku. Najbardziej zostały pożarte. Pozostałe siedziały na dnie nastrożone patrząc na siebie uważnie. Pewnego dnia zostały cztery, później trzy i na końcu dwa największe utuczone na tamtych, czarne, z długimi gołymi ogonami, grubymi jak wskazujący palec mężczyzny. Zaczęto robić zakłady.

Kiedy w beczce siedział już tylko jeden, największy, najczarniejszy, najdłuższy szczur mordca, szczurołap otworzył pokrywę. Szczur wypłynął do góry, przedarł się przez stojących wokół ludzi. Zniknął.



Rys. Janusz Szymański-Głane

GDZIE JEST KOLEKCJA KRÓLEWSKICH AUTOGRAFÓW

Gromadzono ją przez wiele lat. Dokumenty podpisane przez królów polskich wraz z pieczęciami stanowiły osobną niejedną magnackiej biblioteki. W XVIII w. kolekcja należała do rodziny Potockich z Tulczyna. Szczesny Potocki słynący z awanturniczego życia (bohater m.in. poematu romantycznego A. Młczyńskiego „Maria”), jeden z przywódców Targowicy, był również, jak przystało na wielkiego magnata, kolekcjonerem i bibliofilem. Nie mamy jednak pewności, czy królewskie autografy gromadzili Potoccy, czy weszły one w skład biblioteki tulczyńskiej dopiero po 1798 r., czyli po ślubie Szczesnego z Zofią Wittową. Słynna z piękności trzecia żona Potockiego (jej to St. Trembecki poświęcił „Zofiówek”) była spadkobierczynią ogromnego księgozbioru należącego do rodziny Wittów. Jej zamilowanie bibliofilskie wyrażały się nie tylko poprzez ciągłe powiększanie zbiorów, ale też i przez skrupulatne ich rejestrowanie. Po śmierci Szczesnego w 1805 r. Zofia uważała się za główną właścicielkę biblioteki umieszczonej na większości książek swoje nazwisko. Wtedy też cały księgozbiór został ostatecznie pieczęcią „Biblioteka Tulczyńska”.

Biblioteka Potockich wraz z całą posiadłością przeszła na własność syna Szczesnego i Zofii — Mieczysława, który po dość burzliwym życiu przeniósł się do Paryża, a posiadłość rodzinną sprzedał hr. Sergiuszowi Stroganowi. Jego syn z drugiego małżeństwa z ks. Pignatelli — Mikołaj Potocki, jedyny dziedzic rodzinnych zbiorów, zanim zmarł bezpotomnie w czerwcu 1921 r. spisał testament, w którym spadkobiercą uznał Romana Potockiego. Tak więc drogą spadku interesująca nas Biblioteka Tulczyńska przechodziła z rąk Stroganów do rąk Potockich. Do Łańcuta przewieziona została dopiero w 1930 r.

Po rozpoznaniu cenne zbiory wraz z kolekcją autografów umieszczono w specjalnych gablotach w Galerii Rzeźb. Ponieważ zamek w Łańcutie pod nieobecność właścicieli udostępniany był dla zwiedzających, Józef Piotrowski wydał w 1933 r. specjalny przewodnik po salach i zbiorach. W części dotyczącej Galerii Rzeźb pisał on m.in.: „Wzdłuż ścian zakupione w Rzymie przez Księżną marszałkową marmurowe posągi „rzymskie” i wazy alabastrów, (...) oryginalne kanapy i szafy z Biblioteką Tulczyńską”. Autor przewodnika potwierdza więc informację, że księgozbiór z Tulczyna był na tyle cenny, by umieścić go w gablotach. Nie wspomina jednak o kolekcji królewskich dokumentów.

O tym, że autografy polskich władców wchodziły w skład księgozbioru z Tulczyna poinformował mnie były lokaj hr. Alfreda Potockiego — Władysław Świątowski. Mieszka on do dziś niedaleko Łańcuta i chętnie opowiada o czasach ostatniego ordynata. Twierdzi m.in., że kolekcja zawierała podpisy wszystkich panujących oprócz królowej Jadwigi. Co oznacza, że w tym „wszystkich” trudno mi bliżej określić. Nie sądzę by zachowały się dokumenty podpisane przez Piastów — Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Jak wiadomo trudna sztuka pisania i czytania nawet na dworach królewskich nie była wtedy popularna. Fakt pozostaje jednak faktem, że kolekcja stanowiła jedną z atrakcji dla zwiedzających, a także klubów dla Alfreda Potockiego.

W 1944 r. ostatni łanucki ordynat wraz z matką wyjechał za granicę — przez Wiedeń do Szwajcarii. Zabrał ze sobą ogromną większość cennych dzieł sztuki, oraz właśnie tę część Biblioteki Tulczyńskiej, która stała w Galerii Rzeźb. Władysław Świątowski z żalem wspomina, jak to sam układał kolekcję królewskich dokumentów w wielkiej drewnianej skrzyni. Tak więc pieczęcie polskich królów znalazły się za granicą. Gdzie teraz znajduje się kolekcja. Nie wiadomo. Prawdopodobnie w jakimś prywatnym domu znów stanowi bibliofilską atrakcję. Alfred Potocki ożenił się już po wojnie z wdową po amerykańskim milionerze — panią Izą z Jodko-Narkiewiczów primo voto Sydney. Po śmierci łanuckiego ordynata w 1956 r. została spadkobierczynią wszystkich jego dóbr. Może więc kolekcja ta jest w Stanach Zjednoczonych? A może została sprzedana jakiemuś bogatemu hobbistce?

Iza Potocka przebywała w Łańcutie z gościną wizytą w 1974 r. Otrzymała do swojej dyspozycji Apartament Turcki. Zachowywała się zamykając, żalowała, że nie może podziwiać gustu i kolekcjonerskich zamiłowań Potockich wraz z mężem. Wyjeżdżając zostawiła dla Muzeum kilka historycznych pamiątek. Poświadczenie o odwiedzeniu Łańcuta przez Potoccy z Tulczyna. Wspominają słynne połowania, rozmawiają z dawną służbą, którą zamek zatrudnia przy wykonywaniu różnych prac. Ale co się stało z kolekcją i innymi bibliofilskimi rarytasami, wciąż nie wiadomo. Może kiedyś ktoś za granicą zrobi ten gest i dokumenty ważne przede wszystkim dla kultury polskiej znajdą się w dawnej prawdziwej ojczyźnie.

JOANNA SOKOŁOWSKA

„DRUGIE STRONY MEDALI”

Nawiązując do artykułu pt. „Drugie strony medali”, zamieszczonego w nr 17 „Odgłosów” z 26 kwietnia br. pragnę podkreślić, że porusza on dwa zagadnienia mające wpływ na warunki i wielkość sprzedaży napojów alkoholowych — w tym również piwa. Zgodnie z postanowieniami Ustawy o „Wychowaniu przez wojsko i przeciwdziałaniu alkoholizmowi” oraz treścią przepisów wykonawczych, dla województwa łódzkiego ustalono zostały ilościowe limity punktów sprzedaży napojów alkoholowych w zależności od procentowej zawartości czystego alkoholu, a mianowicie:

- 870 punktów sprzedaży napojów alkoholowych zawierających do 4,5 proc. alkoholu,
 - 670 punktów sprzedaży napojów alkoholowych zawierających powyżej 4,5 proc. alkoholu.
- Jednakże uśrednienie tych liczb z faktycznie istniejącą siecią prowadzącą sprzedaż piwa jest nieporozumieniem, a nazywanie absurdem danych statystycznych przez z-cę dyrektora Łódzkiego Zakładów Piwowarskich świadczy o nieumiejętności ich odczytywania lub braku odpowiedniego rozeznania sprawy.
- Wydział Handlu Urzędu Miasta Łodzi wydaje zezwolenia na prowadzenie sprzedaży napojów alkoholowych w granicach obowiązujących limitów. Według stanu na 30 kwietnia 1986 r.:
- 673 placówki (515 sklepów i 158 zakładów gastronomicznych) posiadały zezwolenia na prowadzenie sprzedaży piwa zawierającego do 4,5 proc. alkoholu;
 - 623 placówki (418 sklepów i 205 zakładów gastronomicznych) zezwolenia dotyczące napojów o wyższym procencie alkoholu, w tym także piwa zawierającego powyżej 4,5 proc. czystego alkoholu.

Jak z powyższego wynika, faktyczna liczba punktów sprzedaży piwa nie zależy wyłącznie od czystości formalnych zapisów tej czy innej kategorii miejsca dystrybucji, ale również od jakości i asortymentu produkcji tego napoju.

Zwrócić zapewne uwagę różnica w liczbach placówek, które posiadają zezwolenia na sprzedaż piwa i teoretycznych możli-

wościach ich maksymalnej ilości. Nieprzypadkowo użyte tu zostało określenie — teoretycznych, bowiem wymogi ustawowe odpowiedniej lokalizacji miejsca sprzedaży — odległości od określonych obiektów — w tak specyficznej zwartej zabudowie, jaką charakteryzuje się województwo łódzkie, stwarzają skuteczną barierę w dynamicznym przyroście ilości placówek sprzedaży. Podobne problemy istnieją — wbrew pozorom — w nowych osiedlach mieszkaniowych, w których zlokalizowano ośrodki handlowo-usługowe. W ramach jednego kompleksu pawilonów usytuowane zostały placówki oświatowo-wychowawcze, przychodnie zdrowia, apteki itp. oraz równoległe sklepy i zakłady gastronomiczne. W tej sytuacji zachowanie wymogów ustawowych — odpowiedniej odległości pomiędzy tymi obiektami, jest w ogóle niemożliwe. Drugim czynnikiem — kto wie czy nie silniej determinującym ilość punktów sprzedaży napojów alkoholowych, w tym szczególnie piwa — jest zdecydowanie negatywna opinia wszelkich organizacji społecznych, w tym głównie samorządów mieszkańców. Bardzo często zdarza się, iż ci sami działacze społeczni wypowiadający się za rozwojem sieci sprzedaży w ogóle, oponują ostro, jeśli punkt taki ma być zlokalizowany na terenie ich działania, w pobliżu miejsca zamieszkania.

W tym miejscu pozwolę sobie na wyrażenie osobistego zdania, iż atmosfera taka związana jest ze zbyt małą ilością pijalni i barów piwnych, co powoduje, iż w tych, które funkcjonują faktycznie, dochodzi do nadmiernego kumulowania się wszelkich zjawisk negatywnych.

Przy okazji wyjaśniam jeszcze jedną nieścisłość, o którą w Łodzi jest właśnie 21 pijalni, piwiarni i barów piwnych, a nie tylko ten „Pod Kuflem”. Zdanie moje wyrażone poprzednio uwzględnia oczywiście te rzeczywiste liczby piwiarni. Zdaje sobie jednocześnie sprawę, iż wobec kosztów, warunków techniczno-sanitarnych, jakimi lokale tego typu powinny się charakteryzować, a w szczególności występujących licznych innych potrzeb, jest to sprawa bardzo trudna do realizacji. Aby zakończyć tę kwestię pragnę zapewnić, że każdy wniosek złożony przez organizację handlową lub gastronomiczną, dotyczący wydania zezwolenia na sprzedaż piwa, jest rozpatrywany z należytą starannością, ale i z uwzględnieniem wszystkich wymogów formalno-prawnych, dyktowanych przez akt prawny najwyższej rangi.

Drugim problemem poruszonym w artykule jest zagadnienie „ochoty” handlowania tym artykułem. W tym przypadku wypada się zgodzić z wyrażoną opinią, iż brak bezpośredniego materialnego zainteresowania sprzedawcy jest skutecznym hamulcem obrotów. Piwo, jakie by ono było, zaliczone zostało w Ustawie do napojów alkoholowych, a wobec tego jego sprzedaż nie może w prosty sposób wpływać na wysokość zarobków sprzedawców. Jednakże porozumienie dwóch ministrów: handlu wewnętrznego i usług oraz pracy, plac i spraw socjalnych, stworzyło pośrednie możliwości w tym zakresie, uwzględniając uciążliwość tej sprzedaży np. znaczny wysiłek fizyczny, intensywność, odpowiedzialność sprzedawcy itp. Mogą to być np. podwyższenie osobistego zaszerogowania o 1-2 grupy powyżej maksymalnej określonej taryfikatorem, lub stosowanie wyższych od przeciętnych wskaźników premii, przewidzianych w zakładowych regulaminach premiowania dla tej grupy stanowisk. Z posiadanych przez mnie rozeznania wynika jednak, iż formy te nie są stosowane przez organizacje handlowe. Mimo to, a także z uwagi na fakt, iż mowa tu o dość specyficznym artykule nieporównywalnym z innymi podstawowymi żywnościowymi towarami, nie nie zwalnia przedsiębiorstw i organizacji handlowych z utrzymywania ciągłości sprzedaży tego napoju, zarówno w sieci detalicznej, jak i gastronomicznej. Problem ten omówiony został z bezpośrednio zainteresowanymi, którzy zobowiązani są do prawidłowej realizacji zadań nałożonych przez właściwe ministerstwa w „Programie działań zmierzających do poprawy produkcji i warunków sprzedaży piwa”.

Jest jednak — zgodna z tytułem artykułu — druga strona tego medalu — jakość i asortyment piwa łódzkiego. Cytowany „Program” zobowiązuje producentów do wytwarzania minimum 4 gatunków piwa. W praktyce Łódzkie Zakłady Piwowarskie oferują odbiorcom 2-3 gatunki, a do sklepów detalicznych dostarczany jest jeden gatunek, najczęściej „Piwo mazowieckie”. Na temat jakości łódzkiego piwa — własnego zdania nie mam, gdyż do smakoszy tego napoju nie należę, jednak z docierających sygnałów wnioskuję, iż pozostawia ono sporo do życzenia.

Reasumując, sprzedaż piwa — wiodoma czynnikami, z których część ma charakter obiektywny, czego wyraz starałem się dać wyżej, jednakże w znacznym stopniu również subiektywny. Te ostatnie czynniki, leżące zarówno w sferze produkcji, jak i obrotu należy pokonać i eliminować.

mgr JERZY MYŚLIWY
(Dyrektor Wydziału Handlu UML)

II ŁÓDZKIE DNI KULTURY ROBOTNICZEJ

Pierwszy dzień rozpoczął się uroczystym otwarciem wystawy twórczości plastycznej środowiska katowickiego. Pokazano też ekspozycję kultury materialnej robotników z różnych okresów oraz zbiory Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi. Odbiła się projekcja filmu „Architektura Katowice” oraz przegląd filmów nieprofesjonalnych „Praca i ludzie pracy”.

17 maja 1986 r. byliśmy świadkami przemarszu orkiestr dętych ul. Piotrkowską, odbyły się koncerty w pasażach ZMP i ZHP orkiestr zakładowych „Poltexu”, „Harnama”, „Uniotexu”, Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego, Łączności i Orkiestry Wojskowej Garnizonu Łódzkiego.

Przez następne dni na estradach w pasażach ZMP i ZHP występowały zespoły artystyczne ZDK: „Chochlik”, „Uniotex”, „Poltex”, „Harnam”, „Eskimo”, „Polanil”, „Elitus”, „Teofilów” i wiele innych. Nie zabrakło przedstawicieli Robotniczych Stowarzyszeń Twórców Kultury z różnych stron kraju: Poznania, Jastrzębia Zdroju, Lublina, Wrocławia i Płocka. Wszędzie, gdzie występowali artyści-amatorzy byli oni serdecznie przyjmowani, nagradzani hucznymi brawami. Potrafili nawiązać bezpośredni kontakt z widownią, zarówno na prowizorycznych estradach, jak i w salach koncertowych.

Odbiły się turnieje jednego wiersza: im. St. Czernika w ZDK „Uniotex” i ZDK „Chochlik”. Prezentowano poezję mówioną i śpiewaną.

Kilkakrotnie występowały kapela podwórkowa „Wiśniarska bracia” ZDK „Poltex”, „Elitus” ZDK „Elita”, „Kapela z Przedziału” ZDK „Uniotex” i Kapela Górnicza RSTK z Jastrzębia Zdroju. Występowały również zespoły dziecięce i młodzieżowe z poszczególnych domów kultury: „Harnama”, „Uniotexu”, „Poltexu” i „Boruty” ze Zgierza.

Miliosny literatury mieli okazję zapoznać się z twórczością robotników w nieco szerszym zakresie, nabywając tomiki prozy, satyry i poezji na minikermaszu, zorganizowanym przez RSTK z Poznania i Łodzi.

Obchody II Łódzkich Dni Kultury Robotniczej mamy już za sobą. Impreza nadzwyczaj udana, ludziom potrzebna i pożyteczna. Myślę, że powinna być nadal kontynuowana w skali ogólnopolskiej pod patronatem Ministerstwa Kultury i Sztuki, Federacji NSZZ Przemysłu Lekkiego, Wydziału Kultury i Sztuki UML.

WŁADYSŁAW BISZCZAK

CZŁOWIEK I PRACA

Rozstrzygnięty został konkurs literacki pod nazwą „Człowiek i praca”, którego inicjatorem były Bełchatowskie Zakłady Przemysłu Gumowego „Stomil” przy współudziale Kopalni Węgla Brunatnego „Bełchatów”, Związku Zawodowego Pracowników Elektrowni „Bełchatów”, piotrkowskiego Zarządu Województwa „Paxu”, tamtejszego Wydziału Kultury Urzędu Miasta i Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury.

Jury pod przewodnictwem Jerzego Kissona-Jaszczyńskiego dokonało następującego rozdziału nagród: w dziale prozy II nagrodę otrzymał Tomasz Florkowski z Zielonej Góry, dwie III nagrody przypadły Jerzemu Bilnemu z Bełchatowa i Sławomirowi Ślubowskiemu z Gdańska, natomiast wyróżnienia Lucjanowi Zuzi z Krakowa, Henrykowi Knopowi z Elbląga i Elżbiecie Niedźwiedzkiej z Kołobrzegu. W dziale poezji trzy równorzędne III nagrody jury przyznało Rafałowi Jaworskiemu ze Sławkowa, Aleksandrze Peście z Płocka i Emilowi Bieli z Myślenic, zaś wyróżnienia Sławomirowi Ślubowskiemu z Gdańska, Halszce Pawłowskiej z Olsztyna i Stanisławowi Grzelaczakowi z Bełchatowa.

Dwa słowa komentarza. Jury dokonało wyboru laureatów spośród kilkudziesięciu autorów z całej Polski (napłynęło około 70 zestawów) i — co widać z werdyktu — dość surowo oceniło nadesłane prace, bo nie przyznało nagród najwyższych a także nagrody specjalnej Bełchatowskiego Okręgu Przemysłowego. Jednak efekty pierwszej edycji konkursu są na tyle zachęcające, iż organizatorzy postanowili kontynuować go w latach następnych poszerzając o formy reportażu, dziennika i pamiętnika.

(krzg.)

„MUFLON”

Pod koniec maja, miesiąc oświaty i książki oglądałem w telewizji znaną audycję dla dzieci i młodzieży — „5-10-15”. W sekwencji „15” występowało m. in. trzech chłopaków, w wieku około 15-16 lat i jedna dziewczyna, zadająca im pytania. Między innymi usłyszałem: „co to jest muflon?”.

Pierwszy z chłopców odpowiada: — U nas w szkole to tak nazywamy pewien stopień... „Gios” (prowadzący audycję) na to: — To znaczy jaki stopień? Powyżej piątki? — Nie, poniżej dwójki... Drugi z chłopców mówi: — Myślę, że jest to takie zwierzę... Trzeci z chłopców ostatecznie wyjaśnia: — „to takie zwierzę kosmate, z długim czarnym pyskiem i uszami...”. „Gios” dopowiada: — „no to tak, jakbyś opisał diabła! Zaden nie wspomniał nawet, że widział muflona w ZOO (Warszawa), lub choćby w jakiejkolwiek książce na obrazku. Mało — nawet nie zetknął się z tym zwierzęciem w tekstach książek! Przerazające!

W. AFELT

NIE LUBIĄ KOPAĆ LEŻĄCEGO

Nie udało mi się oglądać meczu Polska — Anglia w londyńskim pubie, więc umówiliśmy się ze znajomymi Anglikami, że wpadną do mnie, na mecz, do domu. Atmosfera była jak w pubie. Było piwo, Steve przyniósł flagę brytyjską. Union Jack wisiał dumnie na szafie i chociaż to nie flaga angielska, to jednak zrobiło się tak jak na stadionach w Chealsey czy na West Ham. Chłopcy zaśpiewali hymn angielski, a także, my Mazurka. Przewaga przed telewizorem była zdecydowanie na korzyść Anglików — 4:2. Na boisku także. Najpierw rozgrzał nas mecz Paragwajczyków z Belgią. Podziwialiśmy zaciekłość z jaką jedna i druga drużyna walczyły o zmianę rezultatu. Nie było tego wszechobecnego, obojętnego kunktorstwa i bronienia za wszelką cenę własnej bramki, jakie cechowały poprzednie mecze.

W przedmeczowych prognozach cicho wzdychaliśmy do takiego poziomu „naszego meczu”. Przeprowadzony na przedce totek przyniósł pięć zwycięstw Anglików i jedno Polskę!

Zaczął się mecz. Pierwsze akcje Polaków. Mocno walał nam serca, Anglicy oddychają z ulgą. Nick podnosi kciuk, Julien kręci głową, ale wyraźnie słychać, że oddycha z ulgą, gdy piłka miją bramkę Shiltona. Trochę zamieszania i śmiechu wywołuje wymawianie przez polskiego komentatora nazwisk angielskich graczy. Bramka Linekera! Anglicy szaleją. Union Jack radośnie powiewa w rękach Steve’a. Musimy mieć głupie myśli bo Nick z Julianem wybuchają śmiechem. Gra toczy się dalej. Znowu Lineker! — Gary jest w porządku — kwituje Julien. Anglicy cieszą się, ale jakby mniej. Kolejna bramka. Tym razem nie uznana.

Polacy grają żenująco słabo, więc Nick pociesza nas. Może w drugiej połowie. Może znowu Lineker! Klasyczny hat trick. Bijemy brawo, ale radość nie jest tak spontaniczna. — Spodziewałem się walki, wyrównanego meczu, a nie takiej rzezi — mówi Steve. Oglądanie gry do jednej bramki nie sprawia mi przyjemności. Polacy grają beznadziejnie. Czuję, że moi przyjaciele są wyraźnie zażenowani. Anglicy grają wyśmienicie.

W przerwie sytuację rozładowuje trochę korespondencja z Londynu. — To muszą być lata sześćdziesiąte — Julia komentuje film, który TVP puszcza jako podkład pod korespondencję.

Druga połowa. Gdy po kilku minutach gry Polacy w dogodnej sytuacji nie trafiają do bramki — Julien przyjacielsko klepie mnie po ramieniu i mówi po polsku — Szkoda. Byłoby 3:1. To już trochę źle. Anglikom jest głupio. Polacy grają bez wiarę w siebie, w sukces, w piłkę, w radość życia. Z boiska technie nudą. Spacerowa piłka. Nieudolne próby Polaków kontrolowane przez grających z polem Anglików.

Jestem zaskoczony tym, że Anglicy nie grają „swojej” konserwatywnej piłki — mówi Steve i za chwilę słychać chrapanie. Ma dosyć tego meczu.

Polacy grają bojaźliwie. Pewnie nastawiono ich na remis. A to już jest porażka — komentuje Nick, a Julien dodaje — Boczni obrońcy są słabi, pomoc jest słaba, ataku nie ma, a Młynarczyk popełnił jeden błąd, który kosztował bramkę.

Gwizdek kończący mecz. Union Jack dumny, ale jakby zawstydzony. Anglicy cenią sobie rywalizację. Nie lubią kopać leżącego.

ANDRZEJ BETULSKI

12.7.1983 r. Dziś podano, że sędzia śledczy Ilario Martella u-
dał się do Bulgarii, aby tam
przeprowadzić dalsze dochodze-
nie. Chodzi zapewne też o prze-
śledzenie zatrzymanego przez
Bulgarów, Turka Bekira Celen-
ka. Swoją drogą Martella dość
długo zwlekał z podróżą do So-
fii, chociaż Bulgarij zapraszał
go już w końcu 1982 roku.

Ta wzmianka aktywności w
„afery A-A” może też być
następstwem niedawnych wy-
borów we Włoszech, w których
Craxi, przywódca socjalistów
nie uzyskał spodziewanego suk-
cesu (impas polityczny pozosta-
je bez zmian, mimo widocznego
spadku głosów oddanych na
chadecję; komunistki ponieśli
minimalne straty, a socjaliści
nieznacznie korzyści; wyraźny
wzrost głosów neofaszystów-
skich), a przecież w sprawie
Antonowa, właśnie socjaliści
byli najbardziej krytykowi.
Symptomatyczne, że po rozpisa-
niu wyborów pisano na Zachod-
zie, iż w aferze A-A nie
zajdzie nic godnego uwagi, a
to dlatego, aby nie wywierała
ona wpływu politycznego na
kampanię wyborczą. Jak z te-

naszych rodzinnych „speców”
Mogliby zrobić wspólne sym-
pozjum na temat walki różnych
mafi i panowania nad światem.

20.8.1983. Emanueli Orlandi
dotychczas nie odnaleziono. Co-
raz więcej jest przesłanek, aby
nie łączyć jej porwania z afe-
rą Agca-Antonow. Telefoniz-
ne rozmowy mogą być prowa-
dzone przez osobnika (osobni-
ków?) niezrównoważonych psy-
chicznie. Dotychczas mimo
prób rodzinny nie dostarczono
dowodu, że Emanueli żyje.

1.10.1983 r. Według najnow-
szych doniesień PAP zanoszą się
na zwrot w sprawie Siergieja
Antonowa. Sędzia Martella
przesłuchał 15 świadków obro-
ny, z tego 8 po raz drugi. Ze-
znania świadków mają zapew-
nić Antonowowi alibi. Zakła-
da się, że teraz Martella przy-
gotuje dla Ali Agcy akt oskar-
żenia z zarzutami składania
fałszywych zeznań i oszustwa.
„Głos Ameryki” w tej sytuacji,
oczywiście, stracił zaintereso-
wanie dla całej afery, za to in-
formuje o ujęciu w USA jed-
nego szpiega bułgarskiego naz-
wiskiem Kostadinow, który na-

odwołał się do adwokatów Antono-
wa.

22.3.1984 r. Po ponownym osa-
dzeniu Antonowa w więzieniu
rozgłoszenie zachodnie odrzewa-
ją stare komentarze o „bułgar-
skim śladzie” w zamachu Ali
Agcy na papieża. Szczególnie
dziwna jest wersja pani
Sterling jakoby wyciszenie spra-
wy bułgarskiej nastąpiło z in-
icjatywy administracji Ronalda
Reagana, aby nie drażnić nowo-
go sekretarza generalnego
KPZR czyli Jurija Andropowa.
No, ale poczekajmy, bo ten
świat jest coraz bardziej
zwarłowany.

7.4.1984 r. Dwa tygodnie temu
prawosławny patriarcha Buł-
garii Maksym zwrócił się do
Jana Pawła II, aby dał publicz-
nie wyraz swemu przekonaniu,
że nie wierzy w udział Sier-
gieja Antonowa w przygotowa-
nie zamachu na papieża. Pio-
tra 13 maja 1981 r. Papież jed-
nak zachowywał milczenie, gdyż
— jak się tłumaczy — nie chce
wpływać na włoski wymiar
sprawiedliwości.

Wkrótce oczekuje się ogło-
szenia decyzji prokuratora.
Według „Głosu Ameryki” Sier-
giej Antonow (i jego trzech buł-

garskich kolegów) najprawdopo-
dobniej znajduje się na ławie
oskarżonych.

22.4.1984 r. (...) Zadziwia fał-
szywa troska jaką przejawiają
o nasze sprawy koresponden-
ci zachodni. Tak Antonow sie-
dzi w rzymskim areszcie już
17 miesięcy, a dotychczas nie
dostarczono mu aktu oskarże-
nia. (Podobno prawo włoskie
— jest to doniesienie z Bulgarii
— dopuszcza nawet możliwość
10 lat przetrzymywania podej-
rzanego. Rany boskie!)

A gdy u nas kogoś zamknie
się na trzy miesiące, to idzie
szum na cały świat.

9.5.1984 r. A jednak odbędzie
się proces Siergieja Antonowa
i zaoznacze jego dwóch bułgar-
skich kolegów. Taką decyzję
podjął wczoraj prokurator An-
tonio Albano. Ciekawe z jakimi
dowodami wystąpi oskarżyciel
na procesie. Jest hipoteza ro-
bocza mówiąca o ewentualnej
wymianie Antonowa za dwóch
Włochów skazanych w Bulgarii
za szpiegostwo. Bułgarzy jed-
nak w oświadczeniu dyrektora
BTA — Tanewa, tę hipotezę
odrzucają.

Muszę przyznać, że decyzja
Antonio Albano nadawała mi
scęptycyzm w sprawie udziału
Bułgarów w zamachu na papie-
ża 13 maja 1981 r. Inna spra-
wa, to historia spiskowa, jaka
zapanowała po aresztowaniu
Antonowa. Wsuwało o tak ab-
surdalne oskarżenia, że scępty-
cizm był usprawiedliwiony. Po-
czekajmy teraz na rewelacje
z procesu.

16.5.1984 r. Orzeczenie proku-
ratora Antonio Albano ma cha-
rakter zalecenia. Decyzję wią-
żącą może podjąć sędzia śledczy
Ilario Martella. Poza Antono-
wem w kregu podejrzanych są
bułgarzy. Todor Ajwazow i
Wasilew Kolew, a ponadto
trzech Turków.

19.6.1984 r. Wczoraj sędzia
Ilario Martella ponownie ze
względów zdrowotnych zgodził
się przenieść Antonowa z wię-
zienia do aresztu domowego.
A wszystko to dzieje się rów-
nocześnie z szerokim rozgłosem,
jaki „Głos Ameryki” nadał ak-
towii oskarżenia przygotowa-
nemu przez Antonio Albano
prokuratora generalnego Włoch.
Wczoraj omówiono rzymskie
korespondencje Michaela Dob-
bsa z „New York Times”
Zapowiada się dalsze odcinki.

Otoż według Michaela Dob-
bsa akt oskarżenia nie zawiera
niczego nowego, co by w
sposób bezsporny dowodziło
winy Siergieja Antonowa i po-
zostałych dwóch Bułgarów. Ba,
przynajmniej, że istnieje
sprzeczność między zeznaniami
Ali Agcy a pozostałymi oskar-
żonymi. Wszakże nie jest zad-
aniem organów śledczych ustala-
nie winy — stwierdza się —
w akcie oskarżenia — bo to na-
leży do sądu. Po czym Antonio
Albano snuje konstrukcje
spisku zmontowanego w celu
osłabienia „Solidarności” zagra-
żającej krajom socjalistycznym.
Zamach na papieża miał „So-
lidarność” pozbawić przywód-
cy duchowego. Itd itd. A więc po-
za hipotezami i tendencjami

planowanym zamachu na Lecha
Wałęsę.
Ali Agca przyznał, że niektó-
re zeznania składa pod wpły-
wem lektury prasy włoskiej.
Ano, zobaczmy co będzie z
tą aferą dalej.
4.7.1984 r. W ubiegłym ty-
godniu senat amerykański przy-
jął rezolucję nakazującą ogra-
niczyć środki na finansowanie
handlu z Bułgarią, która okre-
ślona została jako „kraj terro-
rystów”. Decyzja senatu jest
chyba bez precedensu w histo-
rii. Przed zapadnięciem wy-
roku ba, jeszcze przed for-
malną decyzją o postawieniu
w stan oskarżenia, przesadza
się o winie. Sędzia Ilario Mar-
tella ciągle zwleka z realizacją
zaleceń prokuratora Antonio
Albano, a Siergiej Antonow
przebywa w areszcie śledczym.
Bułgaria za pośrednictwem
agencji BTA zaprosiła do
przeciwko uchwaleniu senatu i o-
kreślenia ją, nie bez słusznego,
jako próbę wywarcia nacisku
na włoski wymiar sprawiedli-
wości.

4.8.1984 r. (...) W więzieniu
rzymskim ciągle oczekuje na
werdykt włoskiej sprawiedli-
wości nieznany do niedawna niko-
mu w świecie urzędnik buł-
garskich linii lotniczych Sier-
giej Antonow. Czy będziemy
mnieł zmodyfikowaną powtórkę
procesu Dymitrowa w Lip-
sku z 1934 r. Czy też sprawa
począty się w kierunku niespo-
dzielwanym? A właściwie spo-
dzielwanym przez waszyngton-
skich zwolenników „bułgarskie-
go tropu”. To wszystko przed
nami.

26.10.1984 r. A więc odbędzie
się proces Siergieja Antonowa.
Sędzia Ilario Martella sformu-
łował ostatecznie akt oskar-
żenia. Poza Antonowem oskar-
żeniem objęto jeszcze dwóch
Bułgarów — Ajwazowa i Wa-
silewa (oba przebywają w
Bulgarii) i dwóch Turków, w
tym rzekomego drugiego zama-
chowca Celenka, który miał
strzelać do papieża i gdzieś się
ukrywał. Ilario Martella nie
formułuje zarzutów spisku pod
adresem Bulgarii. Akt oskar-
żenia liczy ponad tysiąc stron
i opiera się niemal wyłącznie na
zeznaniach Ali Agcy. Wobec
sprzeczności tych zeznań proces
będzie posłakowy. Obroń-
ca Antonowa Consolo jest prze-
konany o niewinność Antonowa
i spodziewa się stosownego
werdyktu sądu.

24.11.1984. Michael Dobbs w
„New York Times” zamieścił
niebawem wywołany artykuł o
sprawie Antonowa i „tropie
bułgarskim”. Obok argumentów
„za” wyliczył też argumenty
„przeciw”. Wśród tych drugich
zwrócił uwagę na pozostanie
Bułgarów w Rzymie po ujęciu
Ali Agcy, co byłoby — amato-
rskim błędem. Inny argument
to notoryczna — kłamliwość Ali
Agcy. Zeznał on np. kiedyś, że
w Teheranie omawiał z ra-
dzieckimi attaché wojskowym
plan zgładzenia amerykańskich
zakładników (1980 r.) Zeznania
te okazały się nieprawdziwe.
C.D.N.

„...I wygra on wybory”

Wybory prezydenta Austrii odbyły się 4 maja 1986 roku. Kan-
dydatów było czworo: Kurt Waldheim był kandydatem Austria-
ckiej Partii Ludowej, której jednak nie jest członkiem, Kurt
Steyrer — kandydat Socjalistycznej Partii Austrii, Freda Meis-
sner-Blau, która reprezentowała ugrupowanie ekologów oraz
przedstawiciel skrajnej prawicy, Akcji Narodowo-Wolnościowej —
Otto Scrinzi. Aby zostać prezydentem w bezpośrednich wyborach
trzeba uzyskać 50 procent wszystkich głosów. W wyborach 4 ma-
ja 1986 roku Kurt Waldheim uzyskał 49,64 proc. wszystkich gło-
sów, a więc do 50 procent zabrakło mu 0,36 procent. Kurt Steyrer
uzyskał 43,89 proc., Freda Meissner-Blau uzyskała 5,5 proc., co
już uznano za zwycięstwo tego ugrupowania, a Otto Scrinzi —
1,2 procent. Frekwencja wyborcza wyniosła 89,48 proc. upoważ-
nionych do głosowania. W poszczególnych krajach Austrii, które
składają się na federację istnieje obowiązek udziału w głosowa-
niu, a w innych nie ma takiego obowiązku. Była to najniższa
z dotychczasowych frekwencji w wyborach. Komunistki na przy-
kład powstrzymały się przed udziałem w wyborach. Tak więc
pierwsza tura wyborów nie dała rezultatu i dwa kandydaci:
Kurt Waldheim i Kurt Steyrer 8 czerwca 1986 roku stanęli do
wyborów w drugiej turze.

Instytuty badania opinii publicznej już wcześniej sygnalizowały,
że pierwsza tura wyborów nie da rezultatu i przyjdzie do pono-
wne głosowania. Walka była ostra. Walczące strony chwytaly
się wszystkich możliwych sposobów, nie unikano inwektyw i po-
mówień. Wobec Kurta Waldheima wyciągnięto oskarżenie, że był
członkiem korpusu jeździeckiego SA, oficerem wywiadu Wehr-
machtu, brał udział w przestępczym jeździecowskim ugrupowaniu
partyzantki, a także w akcjach pacyfikacyjnych w Jugosławii.
Pracował w sztabie grupy armii E, generała Aleksandra Lohra,
rozstrzelanego później w Belgradzie za zbrodnie wojenne, który
to sztab stacjonował w okolicy Salonik, gdy stamtąd wywożono
Żydów greckich do obozów śmierci. Mimo tych oskarżeń prze-
wodniczący Austriackiej Partii Ludowej, Alois Mock oświadczył,
że „Naszym kandydatem do urzędu prezydenta federalnego po-
staje dr Kurt Waldheim — i wygra on wybory”.

O co toczyła się bezpardonowa walka?

Pięciu poprzednich prezydentów Austrii — z Rudolfem Kirch-
schlägerem reprezentowało Socjalistyczną Partię Austrii. Z tej
partii pochodzi również kanclerz Fred Sinowatz. Słowem władza
w Austrii od dość dawna należała do socjalistów. I oto nagle do
głosu dochodzi opozycyjna i konserwatywna partia — Austriacka
Partia Ludowa. Zwycięstwo Kurta Waldheima grozi zatem socja-
listom utratą władzy i przejściem do opozycji. Austrii grozi zwro-
tem w kierunku konserwatyzmu, albo — jak to się ściślej określa
— neokonserwatyzmu.

Prezydent w Austrii stoi ponad partiami, jest on autorytetem
moralnym, instytucją zaufania, stoi na straży konstytucji, prawa,
porządku. Prezydenci rządzącej partii socjalistycznej trzymali się
nieco na uboczu, nie ingerowali bezpośrednio w rządzenie, Kurt
Waldheim natomiast zapowiadał bardziej aktywne sprawowanie
urzędu federalnego prezydenta, co mogło i musiało nie podobać
się socjalistycznemu rządowi Austrii. Zwycięstwo Kurta Wal-
dheima w wyborach prezydenckich groziło radykalnym zwrotem
w układach politycznych Austrii. Trudno więc dziwić się, że wy-
ciągnięto wobec kandydata opozycyjnej Austriackiej Partii Ludo-
wej zarzuty najcięższego kalibru. Jeśli bowiem prezy-
dent Austrii ma być instytucją moralnego zaufania,
to wątpliwa przeszłość Kurta Waldheima całkowicie dyskwalifi-
kuje go przed zajęciem takiego stanowiska. A jeśli nie dyskwalifi-
kuje, to przynajmniej powinna obudzić wątpliwości u obywateli
Austrii w momencie oddania głosu. Kontrkandydatem Kurta
Waldheima był Kurt Steyrer — kandydat Socjalistycznej Partii
Austrii. Jego zwycięstwo pozwalałoby tej partii zachować władzę.
Wszakże atak na Kurta Waldheima nadszedł nie z Austrii, a
z USA, gdzie Światowy Kongres Żydów wystąpił ze stosownymi
oskarżeniami. Domagał się udostępnienia archiwów ONZ — Kur-
t Waldheim był przecież sekretarzem generalnym ONZ — oraz wy-
dania zakazu wjazdu Kurta Waldheima do USA. Projekt takiego
zakazu był nawet rozpatrywany przez odpowiednie urzędy USA.

Bruno Kreisky — były kanclerz Austrii — zerwał starą i słną
przyjaźń z Kurtem Waldheimem. Dokumenty Światowego Kon-
gresu Żydów oraz ONZ rozpatrywał prezydent Austrii Rudolf
Kirchschläger. Oświadczył on w telewizji austriackiej:

„gdybym pełnił funkcję prokuratora, to nie odważyłbym się
wnieść na podstawie przedłożonych obecnie dokumentów oskar-
żenia do sądu”.

Zastrzegł się jednak, że nie należy oczekiwać od niego żadnego
werdyktu, nie osądzając bowiem nikogo, a chce jedynie ostudzić emo-
cje, przedstawiając treść otrzymanych dokumentów.

Po pierwszej turze wyborów przedstawiono nowe dokumenty.
Nowe zarzuty i dwuznaczne sugestie na nie się
zdały. 8 czerwca 1986 roku Kurt Waldheim wygrał
wybory. Otrzymał 53,88 procent głosów, a Kurt Steyrer — 46,12
proc. głosów. Kanclerz Austrii Fred Sinowatz podał się do dymis-
ji. Na stanowisko nowego kanclerza zaproponował dotychczasowe-
go ministra finansów — Franza Vranitzky'ego. Ma on 49 lat
i jest uważany za wybitnego eksperta w sprawach gospodarczych,
należy do prawego skrzydła Socjalistycznej Partii Austrii. Fred
Sinowatz zatrzymał dla siebie stanowisko przewodniczącego tej
partii.

Interesująca jest reakcja różnych państw na wybór Kurta
Waldheima prezydentem Austrii. Izrael, który przyłączył się do
krytyki Kurta Waldheima i popierał stanowisko Światowego Kon-
gresu Żydów, odwołał na konsultacje ambasadora. Ma on po-
wrócić do Wiednia po wprowadzeniu Kurta Waldheima na fotel
prezydencki. Jest to swoista forma protestu.

Rzecznik prasowy Białego Domu — Larry Speakes zakomunikow-
wał, że Ronald Reagan wysłał list dyplomatyczny z gratulacjami.
Pozostała natomiast kwestia prawna wjazdu Kurta Waldheima
do USA. Białe Dom oświadczył autorytatywnie, że immunitet
dyplomatyczny uchyła wymagania ustawy, ale — jak skomento-
wał to rzecznik ministerstwa sprawiedliwości USA, Patrick Kor-
ten — „Włosy zapewne jeszcze bardziej mu postuleją, gdy będzie
czekał na zaproszenie”.

Premier Wielkiej Brytanii, Margaret Thatcher oświadczyła, że
Kurt Waldheim został wybrany prezydentem w sposób demokra-
tyczny i Wielka Brytania nie będzie gwałciła zasad dyplomacji.
Premier Francji Jacques Chirac oświadczył, że Francja nie będzie
ingerowała w wewnętrzne sprawy zaprzyjaźnionego kraju. Ser-
deczne gratulacje nadeszły z krajów arabskich, co uważa się za
wznowienie z bliskowschodnią polityką ONZ za czasów Kurta
Waldheima. Kraje socjalistyczne wykazywały przez cały czas wal-
ki wyborczej w Austrii wstrzymanie i stały na stanowisku
nieingerencji w wewnętrzne sprawy neutralnego kraju. Nie zwal-
nia to jednak od oceny faktu, że w Austrii dokonano się zdecydo-
wany zwrot na prawo. Jakie będą tego konsekwencje?

WITOLD BOROWY

Afera A-A czyli historia wielkiej kompromitacji

Kto porwał Emanuele Orlandi? Akt oskarżenia przeciw Siergiejowi Antonowowi. Wątpliwości „New York Timesa” co do „bułgarskiego śladu”

EDMUND TULKO

go widać prawo włoskie jest
bardzo elastyczne.

Trzeba odnotować, że na no-
we rewelacje Ali Agcy odpo-
wiedziała agencja TASS od-
rzucając je i pisząc o celowo
rozwijanej przy współudziale
amerykańskim kampanii anty-
radzieckiej i antybułgarskiej.

A w sprawie Emanuele Orlandi
tylko informacje, iż
policja włoska podejrzewa inne
motywy porwania, a żądanie u-
wolnienia Ali Agcy traktuje
jako wymysł coś tam maskują-
cy.

25.7.1983 r. Sędzia Martella
przebywał w Bulgarii od 11 do
18 lipca 1983 r. Udział w wy-
wiadu zastępcy dyrektora ge-
neralnego BTA Nenczo Hranow-
w. Hranow mocno naciskał
Martellę sugerując mu stron-
niczość i zbytne zaufanie do
Ali Agcy i jego zeznań. Martella
zasłaniał się tajemnicą śledztwa.
Kilka punktów jednak
zasługuje na uwagę.

I tak Martella oświadczył, że
z całą pewnością Agca nigdy
nie był traktowany jako źród-
ło informacji, o których przed-
tem nie wiedział. Jego
zdaniem zeznania złożone przez
Siergieja Antonowa nie były
najbardziej fortunny.

Na pytanie, dlaczego nie
przejechał wcześniej do Buł-
garii, mimo wystosowanego doń
zaproszenia, Martella odpowia-
dział:

„Jest to dla mnie najbar-
dziej nieprzyjemne pytanie”.

Siedziwo według sędziego,
zgodnie z przepisami prawa
może potrwać dwa lata. Mar-
tella (pomagał mu w odpowie-
dziach Albano z prokuratury
rzymskiej) wyjaśnił przyczyny
przeciągania się śledztwa w
sprawie Antonowa tym, że
prawie wszyscy oskarżeni i
świadkowie przebywają poza
Włochami — w USA (!), Tur-
cji, Bulgarii, Szwajcarii, RFN,
Francji, Grecji Martella zba-
gatelizował doniesienia kores-
pondenta „Litteraturnoj Gaze-
ty” Iony Andronowa o powiaza-
niach faszystowskich tureckiej
organizacji „Szare Wilki” (nale-
żał do nich Ali Agca) z CIA,
deklarując gotowość „z wielką
chęcią, z wielkim zadowoleniem
na rozmowę z radzieckim
dziennikarzem”.

29.7.1983 r. Minęło ultimatum
porywaczy Emanuele Orlandi.
Brak jakiegokolwiek informacji
z ich strony. A „Głos Amery-
ki” znów wziął „wiatr w żagle”
i po raz trzeci (a może
czwarty) nadał materiał ame-
rykańskiego „znawcy” Turcji
Paula Henze. Dla niego wszyst-
ko jest jasne: narkotyki próba
zamachu na papieża, terroryzm,
korupcja włoskich związków
zawodowych, nawet manifesta-
cje pokojowe, to dzieło wy-
wiadu bułgarskiego, za którym
stoi wywiad radziecki. Ow
„znawca” jak ułaj pasuje do

wet nie miał immunitetu dy-
plomatycznego. Kostadinowa
rzecz jasna nie łączy się z An-
tonowem, ponieważ interesowały
go jakieś sekrety amerykań-
skiego przemysłu.

A w sprawie Siergieja Anto-
nowa, tak czy owak, trzeba
począć póki nie znajdzie się
na wolności. Może mu wyto-
czą jakąś inną sprawę. Tyle że
spisek bułgarski na życie pa-
pieża okazał się wytworem fan-
tazji Ali Agcy.

22.12.1983 r. Zwrot w sprawie,
choć jeszcze nie ostatecz-
ny. Wczoraj Bułgar Siergiej
Antonow, aresztowany w lip-
kopadzie 1982 roku na podsta-
wie zeznań Turka Ali Agcy o
współudziale w zamachu na pa-
pieża 13 maja 1981 r., opuścił
więzienie. Sędzia Ilario Martella
uwzględnił wreszcie wnio-
sek obrońcy Antonowa. Sier-
giej Antonow pozostanie w
areszcie domowym do dyspozycji
włoskiego wymiaru spra-
wiedliwości.

Wydaje się, że decyzja Ilario
Martelli jest po prostu pierw-
szym krokiem w kierunku cał-
kowitego uwolnienia Antonowa.
„Głos Ameryki” trąbiący o
spisku bułgarskim przez całe
tygodnie, teraz wiadomości o
uwolnieniu Antonowa z wię-
zienia podał skromnie w dzien-
niku na czwartym-piątym miej-
scu.

30.12.1983 r. (...) We wtorek
papież odwiedził więzienie
rzymskie i przez 20 minut roz-
mawiał z Ali Agcą, co wzbu-
dziło zachwyt zachodnich śro-
dków przekazu i Jan Paweł II
znów znalazł się na czołowym
miejscu. Papież dopełnił nieja-
ko przebaczenia werbalnego za-
raz po zamachu w klinice Ge-
melli. Nawet nasza telewizja
dała kawałek filmu. Ali Agca
uculał ręką papieża.

Czy jest jakiś związek mię-
dzy wizytą Jana Pawła II w
więzieniu a przeniesieniem
Siergieja Antonowa do aresztu
domowego, trudno powiedzieć.
Przy tej okazji Bułgarzy roz-
powszechniały swoje obawy o
życie Antonowa, którego ktoś
(oczywiście, ci, co ukuli hipote-
zę o bułgarskim udziale w za-
machu) może zabić.

3.1.1984 r. „Głos Ameryki”
sugeruje, że Siergiej Antonow
może być wymieniony za dwóch
skazanych w Bulgarii Włochów.
„Wall Street Journal” w
związku z tym, trzymając się
wersji „bułgarskiego śladu” w
zamachu na papieża, ubolewa,
iż w ten sposób KGB może od-
nieść sukces. Ani słowa nato-
miast o dowodach winy Sier-
gieja Antonowa. Ciekawie!
Sprawa zamachu na życie Le-
cha Wałęsę utonąła jak kamień
w wodzie.

13.1.1984 r. Sędzia włoski na-
kazał Antonowowi powrócić do
więzienia. Tak więc spekulacje
o zwrocie w przebiegu śledztwa
były trochę na wyrost. Sędzia
uznał stan zdrowia Siergieja
Antonowa za zadowalający.

16.3.1984 r. Siergiej Antonow
wraca do więzienia. Po decy-
zji sędziego śledczego obrońcy
złożyli odwołanie. 14 marca
1984 r. podano, że trybunał
apelacyjny w Rzymie odrzucił

garscy koledzy) najprawdopo-
dobniej znajduje się na ławie
oskarżonych.

22.4.1984 r. (...) Zadziwia fał-
szywa troska jaką przejawiają
o nasze sprawy koresponden-
ci zachodni. Tak Antonow sie-
dzi w rzymskim areszcie już
17 miesięcy, a dotychczas nie
dostarczono mu aktu oskar-
żenia. (Podobno prawo włoskie
— jest to doniesienie z Bulgarii
— dopuszcza nawet możliwość
10 lat przetrzymywania podej-
rzanego. Rany boskie!)

A gdy u nas kogoś zamknie
się na trzy miesiące, to idzie
szum na cały świat.

9.5.1984 r. A jednak odbędzie
się proces Siergieja Antonowa
i zaoznacze jego dwóch bułgar-
skich kolegów. Taką decyzję
podjął wczoraj prokurator An-
tonio Albano. Ciekawe z jakimi
dowodami wystąpi oskarżyciel
na procesie. Jest hipoteza ro-
bocza mówiąca o ewentualnej
wymianie Antonowa za dwóch
Włochów skazanych w Bulgarii
za szpiegostwo. Bułgarzy jed-
nak w oświadczeniu dyrektora
BTA — Tanewa, tę hipotezę
odrzucają.

Muszę przyznać, że decyzja
Antonio Albano nadawała mi
scęptycyzm w sprawie udziału
Bułgarów w zamachu na papie-
ża 13 maja 1981 r. Inna spra-
wa, to historia spiskowa, jaka
zapanowała po aresztowaniu
Antonowa. Wsuwało o tak ab-
surdalne oskarżenia, że scępty-
cizm był usprawiedliwiony. Po-
czekajmy teraz na rewelacje
z procesu.

16.5.1984 r. Orzeczenie proku-
ratora Antonio Albano ma cha-
rakter zalecenia. Decyzję wią-
żącą może podjąć sędzia śledczy
Ilario Martella. Poza Antono-
wem w kregu podejrzanych są
bułgarzy. Todor Ajwazow i
Wasilew Kolew, a ponadto
trzech Turków.

19.6.1984 r. Wczoraj sędzia
Ilario Martella ponownie ze
względów zdrowotnych zgodził
się przenieść Antonowa z wię-
zienia do aresztu domowego.
A wszystko to dzieje się rów-
nocześnie z szerokim rozgłosem,
jaki „Głos Ameryki” nadał ak-
towii oskarżenia przygotowa-
nemu przez Antonio Albano
prokuratora generalnego Włoch.
Wczoraj omówiono rzymskie
korespondencje Michaela Dob-
bsa z „New York Times”
Zapowiada się dalsze odcinki.

Otoż według Michaela Dob-
bsa akt oskarżenia nie zawiera
niczego nowego, co by w
sposób bezsporny dowodziło
winy Siergieja Antonowa i po-
zostałych dwóch Bułgarów. Ba,
przynajmniej, że istnieje
sprzeczność między zeznaniami
Ali Agcy a pozostałymi oskar-
żonymi. Wszakże nie jest zad-
aniem organów śledczych ustala-
nie winy — stwierdza się —
w akcie oskarżenia — bo to na-
leży do sądu. Po czym Antonio
Albano snuje konstrukcje
spisku zmontowanego w celu
osłabienia „Solidarności” zagra-
żającej krajom socjalistycznym.
Zamach na papieża miał „So-
lidarność” pozbawić przywód-
cy duchowego. Itd itd. A więc po-
za hipotezami i tendencjami

Szwecja jest krajem dobrym, lecz chłodnym, zarówno w sferze obyczajów jak klimatu. Trębacz pożyczł trębaczowi instrument, a dama pocałowała kawalera w usta i wybuchła epidemia grypy w polonijnym środowisku muzycznym w Goteborgu. Wirus, podstępny i wredny, atakował w pierwszym rzędzie gardło. Pojawiały się w nim ropne nacieki. Już na drugi dzień gorączka oscyliowała w granicach czterdziestu stopni Celsjusza. Chorzy zaczęli bredzić. Ci, co byli słabsi psychicznie, wołali księdza, widzieli bowiem w skrócie filmowym całe swoje kolorowe życie, od wczesnego dzieciństwa, aż po grób na peryferiach komunalnego cmentarza. Leczone ich cierpliwie i z wielką zaistę troską, ale kuracja przebiegała wedle szwedzkich rygorów medycznych. Są to, trzeba przyznać, rygory drakońskie.

Masz ropną anginę, kolego? No to tyknij łoża albo napij się mrożonej wody. Gorączka cię nęka? Spokojnie! Zaraz otworzymy wszystkie okna i drzwi. Zrobimy przeciąg, aby obniżyć temperaturę ciała. Nie ruszaj się! Zimny kompres na kark i zimny kompres na czoło do brze ci zrobi, a jak nie, to złapiesz zapalenie

— Jeśli masz wielką ochotę do pracy, to połóż się na chwilę, a na pewno ci przejdzie.

No i życie toczy się dalej. Nudno. Rozwiedziona Polka mówi:

— Już nigdy nie wyjdę za Szweda. Lepiej popełnić samobójstwo. Przyjdzie taki drah z roboty, zje obiad, uwalni się przed telewizorem i nagle zaczyna jechać sleepingiem. Póki biedy jeszcze, jak nie chrapie, ale mój chrapał i dlatego lubię wypić. Gdybym nie wypila, nie mogłabym zasnąć.

— Czyli musiałaś pić codziennie?

— Niestety.

Szwedzi też lubią zajrzeć do kieliszka, ale robią to dyskretnie i mądrze. Czeka na weekend. W piątek wieczorem, po pracy, zasiadają z butelką przed telewizorem. W sobotę, jak który ma pieniądze i zdrowie, to poprawia, a jak nie, to cieniuje piwkiem. W niedzielę alkohol idzie na parę dni do kąta. Szwedzi zaś, biegając, spacerując bądź polegając w fotelach, zbierają się do pokonania w dobrej formie kolejnego roboczego tygodnia. Od poniedziałku do piątku żaden nie spojrzy na butelkę. Jeden wystydl się drugiego, jeden drugiego pilnuje. O tym, żeby pokazać się na ulicy w stanie nie-trzeźwym, nie może nawet być mowy. Wiedziaby o tym od razu cały dom, wiedzieliby w pracy, gdzie, bez względu na jej charakter,

Bywa oczywiście, że matka lub ojciec zadaje pytanie po polsku, a dziecko, rozumiejąc doskonale o co chodzi, używa w odpowiedzi szwedzkiego. Nie sam język jednakże rozstrzyga kwestię patriotyzmu. Jest jeszcze muzyka, śpiew, taniec, poezja, a więc to, co na trwale zapada w młode serca. Barbara Rezler uczy z zapalem kujawiaków, mazurków i oberków twierdząc, że właśnie sztuka rozbudza w dzieciach ciekawość i tęsknotę za nieznana Ojczyzną. Próby i występy zespołu tanecznego cieszą się w Klubie autentycznym powodzeniem.

Uczciwość nakazuje wspomnieć, że patriotyzm szwedzkiej Polonii jest podwójny. Kiedy toczy na przykład pucharowy bój piłkarska drużyna z Goteborga albo kiedy na festiwalu Eurowizji śpiewają szwedzcy artyści, Polonia przeżywa to tak, jakby chodziło o reprezentantów znaną Wistę. Każdy sukces przyjmowany jest z dumą, porażki denerwują i złością. Polonia podkreśla przy każdej okazji, że Szwecja to niekwestionowany mistrz świata w wielu dziedzinach. Precyzja, technika, organizacja pracy, stal, volvo, ABBA, tenis stołowy i ziemny, hokej, jazz, schrony atomowe, komputery, Bergman, czystość, demokracja i tak dalej. Polska powinna brać ze Szwecji przykład, jest przecież tak blisko...

Zachwycacie się co krok szwedzkimi domkami, a przecież są one niewymyślne, proste i tanie, zrobione zazwyczaj z drzewa. Na czym polega ich urok? Ano, na odpowiednim doborze barw. Zamiast robić podejrzaną interesy, idźcie do pierwszego lepszego sklepu z farbami i przewieźcie je do Polski w bagażnikach samochodów, a potem spróbujcie wiasnoremalnie pomalować swój dom od zewnątrz, choćby na biało i czarno, albo na pogardzany kolor rudy. Jeśli włożycie w to trochę trudu i serca, no i upniecie we właściwy sposób firanki, wszyscy będą wam zazdrościć.

Dlaczego przyjeżdżający z kraju Polacy nie znają żadnych obcych języków? Zamiast zazdrościć tej umiejętności Szwedom, i to przede wszystkim młodym Szwedom, zapytajcie ich w jaki sposób do tego doszli. Wskażcie szkołę, ale nie tylko. Programy telewizyjne ułożone są tak, aby zdobyć w trakcie lekcji i lektoratów wiedzę ugruntować i rozszerzyć. Hiszpańskie, francuskie i angielskie filmy nigdy nie są dubbingowane i nigdy nie mają czytanej listy dialogowej przy wyciszonym do szmeru tekście oryginalnym. Ow tekst jest przecież najważniejszy, oddaje bowiem prawdziwy klimat obrazu i pozwala osłuchać się z obcą mową potoczną. Reszta, jak i w kinie, załatwiają umieszczone w dole ekranu podtytuły, jednakże telewizji, choćby tylko czytał broniąc się przed słuchaniem obcojęzycznych aktorów i prezydentów i tak bombardowany jest każdego dnia przez angielszczyznę w jej przeróżnych odmianach i aspektach.

Ktoś zapytał:

— Jak to się dzieje, panie redaktorze, że chłop szwedzki ma zęby?

Otóż w Szwecji wszyscy mają zęby, nawet zamieszkał tu Polacy i nawet zamieszkał tu polscy chłopci. Cud ten nie polega oczywiście na samej tylko profilaktyce, stosowanej od najmłodszych lat, ani na samych tylko, znakomitych zresztą pastach z fluorem, elmaxach i szczotkach. Każdemu w końcu wypadnie jakiś tam ząb, sprawa zaś w tym, aby iść do dentysty i wypełnić ów godny ubolewania ubytek.

Po zębach czas na inne porządki. Ciekawie! Polonia szwedzka sprzeciwia się z całych sił brudowi w polskiej literaturze i kinematografii.

Grupa Polaków w Halmstad i Goteborgu przeczytała „Noc saksofonów” oraz obejrzała film Zbigniewa Kuźmińskiego „Co dzień bliżej nieba” zrealizowany na podstawie mojej powieści. Obydwa utwory, aczkolwiek przyjęte z zainteresowaniem, spotkały się z ostrą krytyką. Zarzut główny to eksponowane tu ubóstwo, nuda, bezwyściowości, ułomność ludzkich charakterów i cwaniactwo.

Siyszałem:

— Czy naprawdę nie możecie pokazać innych stron życia? Książki książkami, nie czyta się ich w Szwecji z entuzjazmem, ale kiedy tutaj szta telewizja emituje jakiś film polski, z góry zaczynamy się wstydzic, bo wiadomo, że będzie to smutne i tragiczne, okraszone na dodatek wyjątką nędzą. Do diabła! Dlaczego musimy za was świecić oczami? Dlaczego nie pokazujecie ludzi sukcesu? Dlaczego nie widać w tle polskiego bogactwa, którego wcale wam nie brakuje? Macie przecież piękne miasta, przyzwoite hotele, luksusowe restauracje i teatry oraz dzielnice willowe, jakich nie powstydziliby się nawet Szwedzi. Chcielibyśmy, żebyście udowodnili od czasu do czasu zagranicznemu widowni, że Polska jest cywilizowanym krajem, a nie barbarzyńską republiką, która nie zna nola i widelca.

Nasuwa się tylko jeden kontrargument. Otóż wielu filmowców i pisarzy szwedzkich, mających ambicję poruszać sprawy bulwersujące i trudne, też siłą rzeczy przedstawia swój kraj z nie najlepszej strony. Tło utworów jest ciemne: narkomania, patologia seksualna, plynący z osamotnienia alkoholizm, okrucieństwo rodziców wobec dzieci i odwrotnie, niezdrowa miłość ojców do córek i matek do synów, rasizm i coś tam jeszcze.

Szwecja jest tak sterylna, że rzuca na kolana. Mieszkający w Halmstad Polak, łódzianin, przystanął w pewnej chwili, kiedyśmy spacerowali do pustych i cichych uliczek, i zaczął zbierać z pobocza jezdni okrucy szkła. Wyglądało to na demonstrację, więc powiedziałem:

— Nie wyglupiaj się.

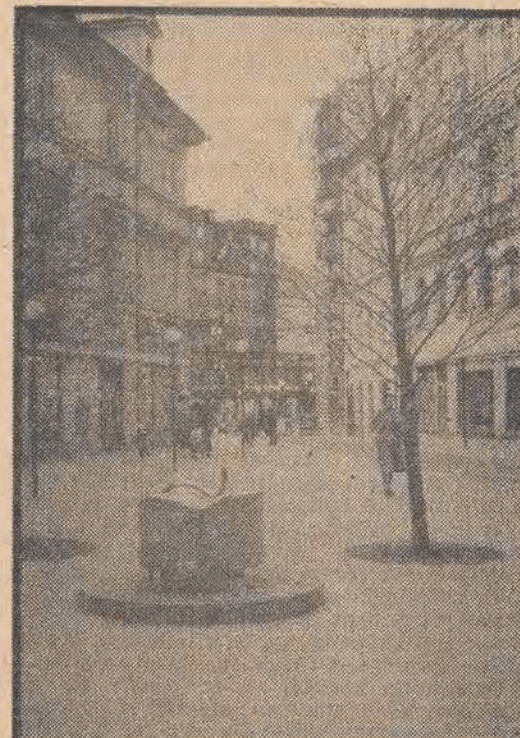
— Daj spokój — mruknął — Ludzie jeżdżą wtedy na rowerach. Moja córka też nieraz jeździ.

Nie widać niedopałków papierosów, zużytych zapalek. Ale kiedy w drodze powrotnej znalazłem się na dworcu kolejowym w Malmö, gdzie czekałem na pociąg do Ystad, zobaczyłem obrazki zdolne zbulwersować każdego. Watahy brudnej młodzieży, znarkotyzowane kobiety, pijani mężczyźni, biedacy szperający w koszach na śmieci. Ręka o krogulczych szponach wydobyla z popielniczki ogarek papierosa. Gdyby zrobić reportaż filmowy, nie byłby on z pewnością reprezentatywny dla kraju, świadczyłby jednak, że i Szwecja ma swoje problemy.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Praha

TOMASZ ZARZYCKI



Serce Skandynawii

(Korespondencja z Goteborga)

opon mózgowych. I przestań marudzić, żeby wezwać pogotowie! Jak gorączka nie popuści, wrzucimy cię do wanny z zimną wodą, ewentualnie zawiniemy cię w mokre prześcieradło. Polak, piszący skądinąd te słowa, skamiał nieśmiało:

- Lekarzy!
- Nie.
- Antybiotyki!
- W żadnym wypadku.
- Dajcie chociaż w takim razie troszkę ciepłej herbaty z cytryną.
- Po co?
- Żeby wypocić gorączkę.
- Zwiariowałeś?

Tylko chłód może cię uratować, przyjacielu. Podejrzewając, iż wkrótce temperatura opadnie, a członki ulegną pośmiertnemu zeszywnieniu, Polak uciekł cichaczem na dworzec. Na promie Ystad — Szwedzi spotkał znanego łódzkiego lekarza. Mężczyzna ów, tegi i jowialny, przyrzekł się bacznie choremu i nim wręczył mu ze swojej podręcznej apteczki penicylinę, powiedział:

— Zapamiętaj pan! To nieprawda, że zdrowie jest wszystkim. Ale to prawda, że bez zdrowia wszystko jest niczym.

Szwecja jest krajem gościnnym. Podobno chodzi o to, żeby zapewnić narodowi dopływ świeżej krwi i podnieść nieco przyrost naturalny, w każdym razie holubi się tutaj różni Murzynów, Arabów, Latynosów i emigrantów z Europy. Nie wszyscy Szwedzi cieszą się z tego. Cudzoziemcy kradną i rozrabiają, a ich wdzięczność wobec rządu Królestwa wygasa raptem.

Spotkasz w Szwecji stronnictwa i ugrupowania przeciwne napływowi obcokrajowców i zwalczające ich przy każdej okazji. Jeśli jest na przykład włamanie do mieszkania albo do piwnicy w blokach, część opinii pomawia o to momentalnie gości, szczególnie Turków i Jugosłowian, ci zaś twierdzą, że mamy do czynienia z bezczelną prowokacją, wyreżyserowaną starannie przez Szwedów.

Polacy dorobili się w Skandynawii reputacji średniej. Są i tacy, którzy dochodzą do stanowisk i zaszczytów, ale nie brak również leniuchów i cwaniaków, których w Ojczyźnie przesładowano rzekomo za przekonania polityczne. Działają zatem w bezpiecznym szwedzkim podziemi. Raz na miesiąc zwołują jakiś wiec protestacyjny, wrzasać coś na pustym placu wobec zdeorientowanych przechodniów i wracając do stołu, żeby jeść darmowy szwedzki chleb.

Trzydziestoletni osobnik, pijany przykładowie we wtorek o dziewiętej rano, mówi z ręką na sercu:

— Moje hobby to odpoczynek.

Inny dodaje:

wymaga się od zatrudnionych czystej kossuli pogodnego usposobienia i uśmiechu.

Rząd szwedzki walczy z alkoholem, ogranicza jego spożycie w restauracjach i kawiarniach, sprzedaje bealkoholowe piwo a także bealkoholowe imitacje wódek, win i likierów. Mawia się iż ten, kto wchodzi do monopolowego sklepu, a jest ich, nawet w dużych miastach, bardzo mało, trafia do policyjnego komputera, który rejestruje skrupulatnie każdą zakupioną flaszkę. Toteż ludzie ustawiający się w długiej kolejce po wódkę mają na twarzy wyraz zawstydzenia i strachu.

Nie podceńcie się Polacy, że macie w swoich skandynawskich sąsiadach godnego konkurenta do picia. W Szwecji mimo wszystko pije się dużo mniej, a to z tego prostego powodu, że aby utrzymać się na nie przynoszącym wstydu poziomie społecznym i zachować pracę, każdy człowiek musi wykazać trzeźwość ciała i umysłu.

3.

Byłem zaproszony przez Polski Związek Kulturalny w Goteborgu, którego prezesem jest pan Józef Malocco, przystojny i miły mężczyzna po pięćdziesiątce. Stawiałem się tam nie bez pewnej tremy w przeświadczeniu, że bywalcy Klubu zaczną atakować reżimowego autora z Polski, spotkanie przebiegało jednak w serdecznej atmosferze.

W niedużej sali siedziało przy stolikach kilkadziesiąt osób — młodych i starych, były także dzieci mające rozpocząć za chwilę lekcję tańca pod kierunkiem pani Barbary Rezler, skądinąd aktorki, polonistki i nauczycielki, żony znanego muzyka jazzowego, Wacława Saszy Rezlera.

Polonia goeteborska, ta w każdym razie, którą poznałem w Klubie, prezentowała się imponująco. Wszyscy byli powyżej strefy średniej, i to nawet wedle kryteriów szwedzkich. Mieli na sobie dobre ubrania, a przed wejściem czekały dobre samochody. W głowie też mieli do brze. Z troską i sentymentem wypytawali o stary kraj. Nikt nie zionął nienawiścią, nikt nie okazał niechęci. Dowiedziałem się, że Klub jest w przyjaznych stosunkach z konsulatami — konsul bywa na spotkaniach z jego członkami w każdą ostatnią sobotę miesiąca; załatwia sprawy paszportowo-wizowe, udostępnia głośne polskie filmy i nowości wydawnicze.

Wśród członków Klubu spotkać można inteligencję i robotników. Ludzie są ze sobą zwykle po imieniu, nie dzielą ich bariery kondycji społecznej i stanu posiadania. Szwecja udzieliła im stosownej lekcji demokracji. Mówi się wyjątkowo po polsku. Dzieci z małżeństw mieszanych, szwedzko-polskich, narodzone często poza granicami kraju, także zachowały kontakt z językiem ojczystym. Uczą się go indywidualnie w szkołach i na lekcjach prywatnych. Dobrą okazją po temu są również spotkania w Klubie.



Zdjęcia: Christer Johansson

Prawda jest bardziej niezwykła niż fikcja — powiedziałam, odkładając codzienny brukowiec.

Nie była to, być może, zbyt oryginalna uwaga, i chyba zirykowała nieco mego przyjaciela. Przechylając na bok swą jajorową głowę, ostrożnie strzepnął ze starannie odprasowanych spodni wyimaginowany pyłek, i powiedział:

— Cóż za głęboka myśl! Jesteś prawdziwym filozofem, Hastings!

Nie okazując żadnego zdenerwowania z powodu tego nieuzasadnionego szyderstwa, stuknąłem palcem w odrzuconą plachtę papieru.

— Czytałeś dzisiejszą gazetę?

— Owszem. A kiedy skończyłem, równie szybko złożyłem ją na nowo. Nie cisnąłem jej na podłogę, tak jak ty, który zawsze wykazujesz potażowanie godny brak porządku i systematyczności.

Oto co jest najbardziej nieznośnego u Poirota — Porządek i Systematyczność to jego bogowie. Czasem posuwa się on nawet do stwierdzenia, że to im właśnie zawdzięcza wszystkie swoje sukcesy.

— A zatem widziałeś wiadomość o zamordowaniu tego impresaria, Henry Reedburna? To właśnie ona skłoniła mnie do poczynienia tej uwagi. Prawda jest nie tylko dziwniejsza niż fikcja — jest w niej także więcej dramatyzmu. Pomyśl tylko — porządna, całkiem przeciętna angielska rodzina Oglanderów. Ojciec, matka, syn, córka, jak tysiące innych rodzin w tym kraju. Mężczyźni codziennie dojeżdżają do miasta do pracy, kobiety zajmują się domem. Prowadzą monotonne, niczym niezakłócone życie. Wczorajszego wieczora Oglanderowie siedzieli w swoim schludnym saloniku w podmiejskim Daisymeade, Streatham, i grali w brydża. Nagle, najzupełniej niespodziewanie, z trzaskiem otwierają się oszklone drzwi, i do pokoju, sianając się na nogach, wchodzi młoda kobieta. Na jej szarej, satynowej sukience widnieje purpurowa plama. Dziewczynie udaje się wyjąkać tylko jedno słowo, „Morderstwo!”, po czym pada bez zmysłów na podłogę. Prawdopodobnie Oglanderowie widzieli w prasie jej zdjęcie, i rozpoznają w niej słynną tancerkę, Valerie Saintclair, która niedawno podobno szturmem Londyn!

— Czy to twój język, czy tego plotkarskiego dziennika? — zainteresował się Poirot.

— Plotkarskiemu dziennikowi zależało na jak najwyższej publikacji, więc zadowolili się tylko nagimi faktami; ale dramatyzm tej historii od razu zwrócił moją uwagę.

Poirot pokławił głową w zamyśleniu.

— Gdziekolwiek mamy do czynienia z naturą ludzką, tam spotykamy się z dramatem. Ale często należy go szukać gdzie indziej, niż mogłoby się pozornie wydawać, pamiętaj o tym. Muszę jednak przyznać, że mnie również interesuje ta sprawa, i niewykluczone, że będę miał z nią coś wspólnego.

— Naprawdę?

— Tak. Zadzwoń dziś do mnie pewien dzien telmen, aby uzgodnić termin mojego spotkania z Pauliem, księciem Maurani.

— A jaki to ma związek z tą historią?

— Nie czytałeś tych waszych angielskich gazet, żerujących na różnych skandalach. Można tam znaleźć wiele zabawnych bajeczek mówiących o tym, o czym wszystkie wróble ćwierkają na płocie. Spójrz tutaj.

Siedzieliśmy wzmrokiem jego krótki, gruby palec, przesuwający się po papierze, „co łączy zagranicznego księcia i sławną tancerkę? Czy pani Saintclair podobna się nowemu pierścionek z brylantem?”

— Ale wróćmy do twej tak dramatycznej opowieści — powiedział Poirot. — Skończyłeś na tym, jak Mademoiselle Saintclair padła zemdłona na dywan w salonie w Daisymeade. Wzruszyłem ramionami.

— Po tym, co powiedziała Mademoiselle, kiedy już przyszła do siebie, obaj Oglanderowie wybiegli z domu — jeden po lekarza, jako że panna Saintclair była w ciężkim szoku, a drugi na posterunek policji. Policjanci, wysłuchawszy Oglandera, udali się w jego towarzystwie do Mon Desir, wspaniałej willi Reedburna, znajdującej się w pobliżu Daisymeade. Tam znaleziono tego sławnego, choć nie cieszącego się zbyt pochlebną opinią człowieka, leżącego w swojej bibliotece z głową rozłupaną niczym skorupka jajka.

— Nie pozwalam rozwinąć ci skrzydeł, powiedział miękko Poirot. — Wybacz, proszę... ale oto i książka!

Nasz dostojny gość został zaanonсовany jako hrabia Feodor. Był to wysoki, zapalczywy, osobliwie wyglądający młodzieniec o lekko zarysowanym podbródku, słynnych ustach Maurenbergów, i ciemnych, ognistych oczach fanatyka.

— Monsieur Poirot?

Mój przyjaciel skłonił się.

— Monsieur, znalazłem się w straszliwej opresji, gorszej niż ułm wyraził: Poirot machnął ręką.

— Pojmuję pańskie zdenerwowanie. Mademoiselle Saintclair jest przyjaciółką bliską pańskiemu sercu, czyż nie tak?

— Pragnę uczynić ją moją żoną — odparł po prostu książę.

Poirot uniósł się na krześle. Jego oczy otworzyły się szeroko.

— Nie byłbym pierwszym w mojej rodzinie zawierającym morganatyczne małżeństwo. Mój brat Alexander także zbuntował się przeciw Cesarzowi. Żyjemy teraz w oświeconych czasach, wolnych od tych archaicznych, kastowych przesądów. Poza tym, Mademoiselle Saintclair jest mi w rzeczywistości równa urodzeniem. Słyszał pan może jakieś aluzje na temat jej pochodzenia?

— O znakomitych tancerkach krąży wiele romantycznych opowieści. Słyszałem na przykład, że panna Saintclair jest córką irlandzkiej posługaczki, ale inna historia mówi, że jej matka to wielka księżna rosyjska.

— Ta pierwsza opowieść jest oczywiście bzdurą, rzekł książę, ale druga jest prawdziwa. Valerie przysięgała dochować tajemnicy, jednak pozwoliła mi domyślić się prawdy. Zresztą jej zachowanie na tysiąc sposobów, mimowolnie zdradza arystokratyczne pochodzenie. Wierzę w dziedziczność, panie Poirot.

— Ja również wierzę w dziedziczność — rzekł zamyślony Poirot. — Widziałem w życiu niejedną niezwykłą historię z nią związaną. Moi qui vous parle... Ale do rzeczy, książę. Czego oczekuje pan ode mnie? Czego pan się obawia? Możemy mówić otwarcie, prawda? Czy jest coś, co łączy Mademoiselle Saintclair z tą zbrodnią? Ona oczywiście znała Reedburna?

— Tak jest. Wyznał jej miłosc.

— A ona?

— Nie miała mu nic do powiedzenia.

Poirot zmierzył księcia uważnym spojrzeniem.

— Czy miała jakiś powód, żeby się go obawiać?

Młody człowiek zawałał się. — Zaszło coś dziwnego. Zna pan wróżkę Zarę, jasnowidzącą?

— Nie.

— Jest cudowna. Powinien pan kiedyś zasięgnąć jej porady. Valerie i ja poszliśmy do niej w zeszłym tygodniu. Wróżyła nam z kart, i powiedziała Valerie, że zbierają się nad nią czarne chmury; potem odkryła ostatnią kartę — tak zwaną kartę wyjaśniającą. Był to król trefl. Wówczas Zare powiedziała do Valerie: — Strzeż się. Pewien człowiek ma cię w swojej mocy. Boisz się go — grozi ci z jego strony wielkie niebezpieczeństwo. Wiesz, kogo mam na myśli? Valerie zbladła jak papier. Skinęła głową i powiedziała: — Tak, tak, wiem. Zaraz potem wyszliśmy. Ostatnie słowa wróżki brzmiały: Mień się na baczność. Grozi ci niebezpieczeństwo! Wypytywałem Valerie, ale ona nie chciała mi nic powiedzieć, zapewniała mnie tylko, że wszystko jest w porządku. Jednak po tym, co stało się zeszłej nocy, nabrałem przekonania, że w królu trefliwym Valerie widziała Reedburna.

licja zakończyła niedawno ogiedziny, i ciało Reedburna zostało usunięte.

— Niedobrze — mruknąłem do Poirota. — Kto wie, czy nie zatarli jakichś śladów.

Mój mały przyjaciel uśmiechnął się. Ech — ech! Ile razy mam ci powtarzać, że śladów należy szukać we własnym wnętrzu? Rozwiązanie każdej zagadki leży tu, w szarych komórkach mózgowych.

— Myślę, że poza usunięciem ciała w pokoju niczego nie ruszano? — Poirot zwrócił się do lokaja.

— Nie, proszę pana. Pokój wygląda dokładnie tak jak wczoraj, gdy przybyła policja.

— A te zastony? Widzę, że można je zasunąć na całą szerokość nisz okiennej, podobnie jak w tamtym oknie z przeciwnej strony. Czy były wczoraj zasunięte?

— Tak, proszę pana. Zaslaniam okna każdego wieczora.

— A zatem to Reedburn je odsłonił?

— Przypuszczam, że tak, proszę pana.

— Czy wiedziałeś, że twój pan oczekiwał gościa wczorajszego wieczora?

— Pan nie mówił, proszę pana. Ale wydał polecenie, aby nie przeszkadzano mu po ko-

zterdziesiąt, udzielił nam wszelkich potrzebnych informacji. Martwy Reedburn leżał pod ogromnym wykuszowym oknem z głową tuż obok marmurowej ławeczki. Na ciele były dwie rany, jedna między oczami, druga, która okazała się śmiertelna, z tyłu głowy.

— Leżał na wznak?

— Tak. Oto ślad. Lekarz wskazał niewielką, ciemną plamę na podłodze.

— Czy rana z tyłu głowy nie mogła powstać na skutek uderzenia o podłogę podczas upadku?

— Wykluczone. Przedmiot, którym dokonano zabójstwa, wszedł stosunkowo głęboko w czaszkę.

Poirot patrzył w zadumie przed siebie. We framugach obu okien, przypominających właściwie szerokie, oszklone drzwi, stały ozdobne, marmurowe ławeczki. Ich rzeźbione poręcze miały kształt głowy lwa. Oczy Poirota zabłysły.

— A gdyby Reedburn upadł i uderzył się o tę wystającą głowę lwa i dopiero stamtąd zeszła rana na ziemię? Czy to nie mogło spowodować takiej rany?

— Mogło. Ale ką ułożenia ciała obala tę teorię. Zresztą na marmurze musiałyby pozostać jakieś ślady.

— A jeśli ktoś je usunął?

Lekarz wzruszył ramionami:

— To mało prawdopodobne. Upozorowanie wypadku na morderstwo nie przyniosłoby nikomu żadnej korzyści.

— Rzeczywiście — zgodził się Poirot — czy któreś z tych uderzeń mogło być zadane przez kobietę?

— Nie, moim zdaniem to niemożliwe. Myśl pan o Mademoiselle Saintclair?

— O nikim nie myślę dopóki nie nabędę pewności — łagodnie powiedział Poirot.

Jego uwagę pochłonięto teraz okno, a lekarz kontynuował swoje wyjaśnienia:

— Mademoiselle Saintclair uciekła właśnie wtedy, Daisymeade prześwietlone pomiędzy drzwiami. Większość domów znajduje się oczywiście z drugiej strony, przy głównej drodze, ale tak się składa, że Daisymeade to jedyny, choć nieco oddalony dom, jaki widać z tej strony.

— Dziękujemy za uprzejmość, doktorze — powiedział Poirot. — Chodź, Hastings, podążymy tropem Mademoiselle.

Poirot poprowadził mnie przez ogród, potem otworzył żelazną furtkę — mineliśmy niewielki trawnik i znaleźliśmy się w ogrodzie Daisymeade. Był to bezpretensjonalny domek, położony na obszarze mniej więcej pół akra. Poirot ruchem głowy wskazał niewielkie schodki, prowadzące w kierunku oszklonych drzwi, podobnych do tych, jakie znajdowały się w willi w Mon Desir.

— Mademoiselle Saintclair szła wtedy. Ponieważ jednak nam nie kieruje tak nagle potrzeba pomocy, będzie chyba lepiej, jeśli udamy się raczej do drzwi frontowych.

Otworzyła nam służąca, która wprowadziła nas do salonu i posłała poszukać pani Oglander. Pokój wydawał się niekiedy od wczoraj. W kominku był jeszcze popiół, a na środku pokoju stał stółik brydżowy, na którym leżał wyłożony „dziadek” i karty pozostałych graczy. Salon był nieco przeładowany pozornie efektownymi, lecz tandetnymi ozdobami, na ścianach zaś wisiały portrety rodzinne o nieporównanej wręcz brzydocie.

Poirot potraktował je z nieco większą wyrozumiałością niż ja, a nawet wyprostował kilka obrazów, wiszących cokolwiek krzywo. — La-fa-mille, to mocny węzeł, nieprawdaż? Sentymenty wypierają piękno.

Przytaknąłem, nie mogąc oderwać oczu od zbiorowego portretu przedstawiającego starszego pana z bokobrodami, jakąś panią z tapirowanymi włosami, oteplonego, przysadzistego chłopca, i dwie małe dziewczynki, zupełnie niepotrzebnie skropowane mnóstwem kolorowych kokardek. Wziąłem ten obraz za portret rodziny Oglanderów z dawnych lat, i przypatrywałem mu się z dużym zainteresowaniem.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła młoda kobieta, ubrana w płowy, sportowy żakiet i tweedową spódnicę. Miała ciemne, starannie uczesane włosy.

Kobieta spojrzała na nas pytająco i Poirot postąpił krok do przodu.

— Panna Oglander? Ogromnie mi przykro, że państwa niepokoję, zwłaszcza po tym wszystkim, co państwo przeszli. Ta cała historia musiała być niezwykle wstrząsająca.

— Wyprowadziła nas z równowagi, przyznała ostrożnie młoda osoba.

Pomyślałem sobie, że sztuka dramatyczna nie znalazłaby żadnego zrozumienia u panny Oglander, tak bardzo jej brak wyobraźni przerastał każdą tragedię. Jej dalsze słowa utwierdziły mnie jeszcze w tym mniemaniu:

— Przepraszam za nieporządek. Służba tak się głupio ekscytuje.

— To tutaj siedzieliście państwo wczoraj, nieś-ce pas?

— Tak, po kolacji usiedliśmy do brydża, kiedy...

— Przepraszam — jak długo graliśmy?

— Hm — panna Oglander zastanowiła się — trudno powiedzieć. Przypuszczam, że było około dziesiątej. Rozegraliśmy kilka robów.

— A pani, gdzie pani siedziała?

— Twarzą do okna. Grałam z mamą, i właśnie zgłosiłam jeden bez atutu. Nagle, zupełnie niespodziewanie otworzyły się oszklone drzwi i panna Saintclair, sianając się na nogach, weszła do pokoju.

— Rozpoznała ją pani?

— Jej twarz wydawała mi się znajoma.

— Ona jest jeszcze tutaj, prawda?

— Tak, ale nie chce nikogo widzieć. Jest wciąż pod wrażeniem tego nieszcześcia.

— Myślę, że mnie zechce przyjąć. Proszę jej powiedzieć, że jestem tu na usilną prośbę księcia Paula z Maurani.

Odniosłem wrażenie, że na wspomnienie nazwiska księcia król panna Oglander straciła na chwilę swój niewzruszony spokój. Mimo to wyszła z salonu, by spełnić naszą prośbę, nie czyniąc już żadnych dodatkowych uwag i niemal natychmiast wróciła mówiąc, że Mademoiselle Saintclair oczekuje nas w swym pokoju.

AGATHA CHRISTIE

Król trefl

ne'a, i że to on był tym człowiekiem, którego się obawiała.

Książę przerwał nagle. — Rozumie pan teraz, jak się zaniepokoiłem, kiedy ujrzałem dzisiejszą gazetę. Przypuśćmy, że Valerie w przystępie szaleństwa — nie, to niemożliwe!

Poirot powstał z miejsca i ciepło poklepał młodzieńca po ramieniu.

— Proszę się nie martwić. Niech pan zostawi to mnie.

— Pojedzie pan do Streatham? Sądzę, że ona jest jeszcze w Daisymeade. To musiał być dla niej straszny cios.

— Pojadę bez zwłoki.

— Zalaściłem wszystko w ambasadzie. Wszędzie zastanie pan otwarte drzwi.

— A zatem ruszamy w drogę — będziesz mi towarzyszył, Hastings? Au revoir, książę.

Mon Desir było wspaniałą, wygodną, nowoczesną i wyjątkowo piękną willą. Krótka alejka prowadziła do domu od strony głównej drogi, a na tyłach willi rozciągał się bajeczny kilkunakrowy ogród.

Kiedy tylko wymieniliśmy nazwisko księcia, lokaj, który otworzył drzwi, natychmiast zaprowadził nas na miejsce tragedii. Biblioteka była okazałym pokojem, biegnącym przez cały dom. Na dwóch przeciwnych ścianach znajdowały się okna — jedno z nich wychodziło na prowadzącą do domu alejkę, drugie na ogród. To właśnie pod tym oknem znaleziono zwłoki. Po-

laci. Widzi pan, tu są drzwi prowadzące z biblioteki na taras, znajdujący się z boku domu. Pan Reedburn mógł kogoś wpuścić właśnie wtedy.

— Czy często tak robił?

Lokaj kaszlnął dyskretnie:

— Sądzę, że tak, proszę pana.

Poirot podszedł do drzwi, które pokazał mu lokaj. Były otwarte, wyszedł więc na taras, łączący się z alejką po prawej stronie; z lewej strony taras kończył się czerwonym murem z cegiel.

— To są, proszę pana. Tam dalej w murze są drzwi, ale one zawsze były zamknięte o szóstej.

Poirot kiwnął głową i wrócił do biblioteki. Lokaj pospieszył za nim.

— Słyszałeś coś wczoraj wieczorem?

— Kilka minut przed dziewiątą słyszałem jakieś głosy w bibliotece, ale nie było w tym nic dziwnego, zwłaszcza że jeden głos należał do kobiety. Ale kiedy potem przeszliśmy do pokoju dla służby, po drugiej stronie domu, oczywiście nie już nie było słychać. A później, około jedenastej, przyjechała policja.

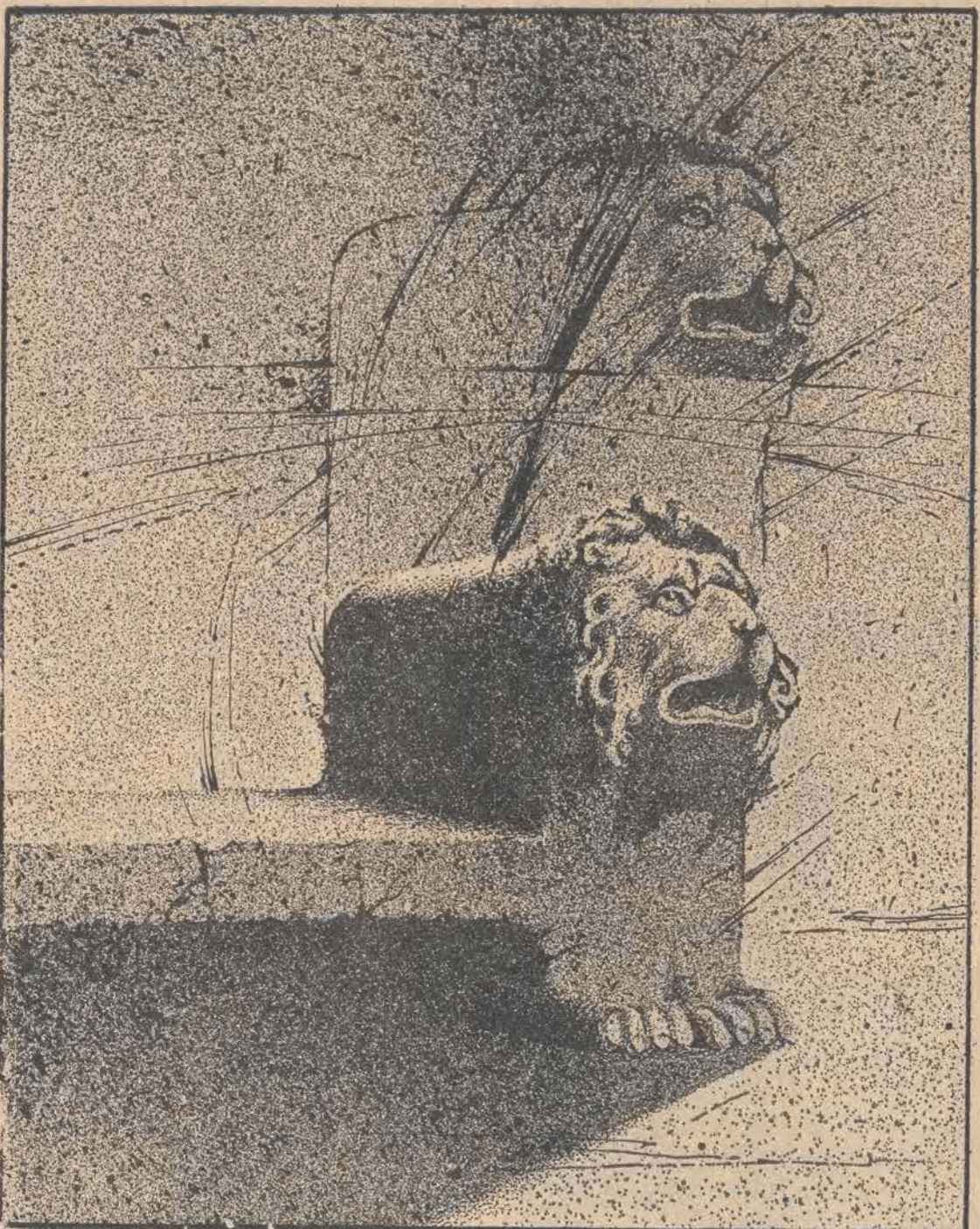
— Ile głosów słyszałeś?

— Nie umiem powiedzieć, proszę pana. Moją uwagę zwrócił tylko głos kobiety.

— Ach!

— Najmocniej przepraszam, proszę pana, ale doktor Ryan ciągle jest jeszcze w domu, więc jeśli chciałby pan z nim porozmawiać...

Skwapliwie skorzystaliśmy z tej propozycji, i już po chwili lekarz, pogodny mężczyzna około



Rys. Janusz Szymański-Glans

Przełożył:
MACIEJ ŚWIERKOCKI
C.D.N.

Tak się gra, jak przeciwnik pozwała

Po wygranym meczu z Portugalią wydawało się, że polska drużyna odnalazła się, że kryzys minął i Polacy poradzą sobie z Anglikami. Wiadomo było, że Anglicy grają o wszystko i muszą wygrać, albo wrócić do domu. O polskich piłkarzach pisano ciepło i z nadzieją. W „Głosie Robotniczym” ktoś wymyślił pełen optymizmu tytuł: „Złoty gol Włodzimierza Smolarka rozpoczął bramkowy serial Polaków”. Okazało się to tylko i jedynie niczym nie uzasadnionym życzeniem. W „Sztandarze Młodych” pisało o Włodzimierzu Smolarce jako o „Kochanym dziecku Piechniczki”. Optymiści mówili o wygranej, pesymiści — o remisie. Nikomu przez myśl nie przeszło, że może być niemały pogrom. Wypada zgodzić się z Dariuszem Dziekanowskim, który ze studia w Meksyku powiedział, że był to najgorszy mecz polskiej drużyny. Z tą jedyną poprawką, że poprzednie nie były lepsze.

Antoni Piechniczek postąpił zgodnie ze starą zasadą, konsekwentnie przestrzegając przez Kazimierza Górskiego, że zwycięskiej jedenastki nie zmienia się. Ale pod warunkiem, że jest to zwycięstwo dobrze dobrana jedenastka i jej zwycięstwa nie są przypadkowe. Nim jednak do takiej jedenastki się dojdzie, potrzeba włożyć w to wiele pracy. Wypada więc przypomnieć, że na sukces w Hiszpanii w 1982 roku złożyła się też praca Ryszarda Kuleszy, który przed Antonim Piechniczkiem prowadził polski zespół. No i może stosowny cytować z książki Kazimierza Górskiego „Z ławki trenera”.

„Po pierwsze — pisał Kazimierz Górski — nie należy bać się eksperymentowania zwłaszcza wobec braku wyraźnego postępu w grze zespołu. Stawiać trzeba nie na nazwiska, ale na aktualną formę poszczególnych zawodników. Po drugie — nie można budować formy zespołu tylko na teoretycznych wyliczeniach, ale nieustannie ją sprawdzać w grach kontrolnych. Po trzecie — należy zwracać także uwagę na takie czynniki, jak samopoczucie piłkarzy i ich stosunki rodzinne. Trzeba wytworzyć atmosferę wzajemnego zaufania między trenerem i zawodnikami, w której będzie stać ich na szczerość i zgłoszenie swojej niedyspozycji jeśli np. nie będą czuli się na siłach zagrać, zwłaszcza w meczach o wysoką stawkę. Po czwarte — dobry zespół nie może być wypadkową różnych dążeń i tendencji. Potrzebny mu jest jasno określony cel...”

Optymiści szaleli. Bogdan Łazuka śpiewał w telewizji: „Piechniczku, Piechniczku, co przywieziesz z Meksyku” wyrażając tym nadzieję, że będzie lepiej, będzie dobrze, będzie bardzo dobrze. Co prawda Bogdan Łazuka w „Szpilkach” naśmiewał się z Paragwaju, a Wojciech Gassowski z Maroka, ale Paragwaj i Maroko wyszły z grupy z 4 punktami, a Polska tylko z 3 i to dzięki zwycięstwu Maroka 3:1 nad Portugalią. Polacy też nieśli 3 bramki, ale stracone...

Nie pomogli czary. Nawet Kazimierz Górski przyszedł do studia telewizyjnego nie ogolony. I to też nie pomogło. Były piosenki o krowie, Wały Jagiellońskie śpiewały: „Mexico, Mexico, ile będzie krzyku, gdy Polska wygra w Meksyku. I popłynie 100 lat, gdy polska jedenastka strzelać będzie gola”. Popłynęły iły rozpacz. „Orły do boju” — wzywało 2 plus 1, ale orły skarżyły się, że są zmęczone i chcą już do domu. W zasadzie nie nie stało na przeszkodzie. Gdyby nie ci nieobliczalni Marokańczycy byłiby już w domu. Teraz będą się musieli męczyć z Brazylią. I wszystko przez Marokańczyków, których kiedyś szkolili Ryszard Kulesza. Widać dobrze wyszkolili. Trener Marokańczyków, Jose Faria zapowiada, że jego piłkarze pokażą zręcznym zawodnikom RFN, jak trzeba grać, aby nie wracać do domu. Ano, zobaczymy. W Meksyku 1986 wszystko jeszcze może się zdarzyć. Tylko jakoś nie mogę uwierzyć, że Polacy zostaną w Meksyku i że zagrają z Brazylią dobry mecz.

W to smutne widowisko odrobinę radości wniósł nieoczekiwany Kazimierz Górski, który wprawdzie nie widział dla Polski ratunku, mecz został rozstrzygnięty już na początku pierwszej połowy, ale sugerował, że trzeba bronić honoru i poprawić wynik. Przegrana 3:1 jest lepsza od 3:0, a 3:2 lepsze od 3:1. Grać trzeba do końca. Ale nasi piłkarze nie mieli ani serca, ani ochoty, ani formy, aby grać dalej i zmienić wynik. Pozostał taki, jak został ustalony na początku 3:0. Wynik kompromitujący była trzecia drużyna świata.

Świat dokładnie zapomniał już o meczu Polski z Anglią na stadionie Wembley, kiedy to Polska remisując wyeliminowała Anglię z dalszych rozgrywek i awansowała do eliminacji w RFN. Było to 13 lat temu i czas o tym dokładnie zapomnieć. Żyjmy teraźniejszością, a nie przeszłością. Naszej drużynie potrzeba dobrego przygotowania, umiejętności grania w nowoczesną piłkę nożną i serca do gry. Piłkarzom nie może być wszystko jedno: wygrać mecz czy przegrać...

Od dłuższego czasu krytykuje się Antoniego Piechniczka, że nie potrafi ustalić właściwego składu, że ciągle jest niezdeterminowany, że boi się zaryzykować. W meczu z Anglią też nie zaryzykował, nie wprowadził młodych zawodników, nieznanych przeciwnikowi. Anglicy zaryzykowali i — jak sam Antoni Piechniczek to przyznał — zagrali nieszlachetnie, wytracili naszą drużynę z uderzenia i obnażyli jej nieudolność. Ryszard Dyja nie wahał się tak tego nazwać przed kamerami meksykańskiej telewizji, a Antoni Piechniczek nie potrafił obronić się przed tym zarzutem. On wie zawsze zresztą lepiej i obraża się na krytykę, zamiast zastanowić się, czy krytykujący nie mają czasem racji. „Co robi Piechniczek nie wie nikt” — śpiewał kiedyś Bogdan Łazuka. Rzeczywiście nie wie nikt. Przed meczem z Anglią zapowiadał, że nie będzie gry na remis, że celem jest wyjście z grupy, a atak polskiej drużyny z Włodzimierzem Smolarciem i Zbigniewem Bonkiem stwarza zagrożenie dla każdej defensywy. Dla Anglików jakoś nie stworzyła zagrożenia ten atak. Polska jedenastka nie tylko nie stworzyła gola, ale wykazała, że jest bez formy, nieudolna, źle przygotowana. Antoni Piechniczek najpierw głosił, że kiedy zespół przegrywa, trener bierze winę na siebie, po przegranej z Anglią zmienił front i wszystko zwał na zespół. Również w wypowiedzi dla „Trybuny Ludu” trener całkowicie winą obarczył zespół, zarzucając piłkarzom, że zabrakło im energii do gry. „Co robi Piechniczek nie wie nikt”.

Po meczu z Anglią powiedział w meksykańskim studio, że nie ma co rwać szat, bo zespół wykonał plan i wyszedł z grupy. Zapomniał tylko dodać, że wyszedł dzięki nieocenionej pomocy piłkarzy marokańskich, nie było to więc wykonanie planu, a tylko szczęśliwy zbieg okoliczności. W meczu z Brazylią już nie ma co liczyć na szczęście i zbiegi okoliczności. Mecz trzeba wygrać albo wracać do domu. Boję się poważnie, że czeka naszych piłkarzy to drugie.

„Tak się gra — mawiał Kazimierz Górski — jak przeciwnik pozwała”. Anglicy pozwolili, tylko nasi nie potrafili. Szczególnie sprzyja na ogół silnym i dobrze przygotowanym.

BOGDA MADEJ

15.06.1986
PS. Na pięć minut przed końcem przegrywanego przez Polskę meczu z Brazylią 0:4 na boisko wszedł Władysław Zmuda, żeby zaliczyć czwarte mistrzostwa świata. W tym smutnym widowisku można było Zmudzie, drużynie i nam tego oszczędzić.
17.06.1986

B.M.



Felieton
pe-
symistyczny

Do zakopania jeden krok...

Szanowny Panie Redaktorze! W pierwszych słowach, jak zwykle, się przede wszystkim gorące pozdrowienia dla Pana i Szanownego Zespołu przedstawiając, iż nieco chaotycznie piszę, ale też już dobrze po północy, a Szkoci ostro atakują lewą flanką i w naszej cichaj salce telewizyjnej wreszcie nieczym w ulu.

— O żesz ty, dawaj mu zółtą kartkę! — ryknął na sędziego spokojny zazwyczaj kolega Lameta, gdy Szkot wykonawszy w powietrzu piękną półbeczkę ostatecznie leży na plecach. — Ale akcja, co?! Żeby to nasi tak...

— O, w akcjach to my jesteśmy najlepsi — wypalił siedzący z tyłu magister B. — Właśnie wszelakiego rodzaju akcje są naszą mocną stroną, my już nie umiemy żyć, pracować, wypoczywać normalnie, to znaczy spokojnie, bez gorączkowych przygotowań, buńczucznych okrzyków, ogólnonarodowego zrywu...

— Siedź na nim, siedź, nie odpuszczaj! — ordynator Łysol mruzczył coś niezrozumiałe pod nosem, bijąc się zaciśniętymi pięściami po udach. Wyrażnie kibicował tym od krasiastych spódnicek, podobnie jak siostra przełożona, która wodziła wzrokiem za facetem z numerem 9 na koszulce z takim uwielbieniem, jakby to był co najmniej sam „Zibi”.

— Poczynając od akcji wiesz, że pod tytułem ferie szkolne — magister przenosił wzrok z boiska na smukłe nogi siostry przełożonej — kiedy prześcigamy się w emulowaniu publikacji opowieściami ileż to maluchów wychowało na zimowiska (w domu pozostaje i tak większość), płynnie zrywamy się do walki, z powodzą, by następnie ochoczo przystąpić do kolejnej akcji: wiosennego porządkowania miasta i osiedli. Mamy akcję „Każdy kłosa na wagę...”, co jakiś czas zbieramy wszystkie makulaturę, z którą niekiedy nie wiadomo co zrobić, albo złom, albo kapsle od butelek. Mamy akcję buńczaczna i akcję racjonalnego wykorzystania energii elektrycznej...

— No nie! Wyrażnie złożył się go skosił! — sanitariusz Józio wraz z kilkoma kuracjuszami zajmowali krzesła przy bilardzie i wyrażnie kibicowali Niemcom. — Ja bym go z boiska! Co?! Tylko mu palcem pogroził, a Rummenigge nadal leży!

— Ależ polują na tę dziwkę! uważaj za prawej, tak, dobrze... — siostra Halinka przeżywała spotkanie bardzo mocno, nie zwracając zupełnie uwagi na odważnie rozchyłone poły swego służbowego uniformu. Z czym było jej szalenie do twarzy.

— Jak już o polowaniach mowa — magister jakoś nie dawał się zahipnotyzować tym z boiska ani ze studia — to opowiem panom przyszedł, jakka mnie ostatnio spotkała.

Akurat główny odgwiżdzał przerwy, więc mógł spokojnie się rozwinąć bez obawy o zlinchowanie. Czerwony z wrażeń Łysol poczęstował „klubowcami”. Zamieniliśmy się w słuch, bo w studio akurat mieli „przerwę na łączach poza granicami”.

— U kupła myśliwego byłem z wizytą, proszona zresztą — opowiadając zaciągnął się smakowicie rodzimym „gitanosem”. — Pokazuje mi Jurek trofea różne, co mu dwie ściany w gabinecie zajmują, poroża rozmaite, łeb dzika, antylopy, trochę płacwa też tam było. Patrz ja, a w samym rogu głowa kobitki się do mnie uśmiecha. — Cóż to takiego? — pytam kupła. — Ta w rogu? — Teściowa. — Już nie mogłem z nią wytrzymać... Ale jeszcze jeden szczegół zwrócił moją uwagę, więc walę dalej: — Jureczku, a z czego ona tak się cieszy? — Cześć, tak zadowolona? Wzruszył ramionami: — Do końca myślała, że będę jej zdjęcie robił...

— E, zmąślił pan tę historię pokiwał Łysol, choć

wszystkim nam się ta opowiadanie dosyć podobała.

— A ja tam wierzę, życie w ogóle jest jeszcze o wiele bardziej urozmaicone — wtrącił sanitariusz Józio, który z racji funkcji rzadko z nami biesiadował, no ale teraz ten Mundial. — U mnie na przykład, sąsiedzi z balkonu wywołali w administracji awanturę o wodę w garażach.

— Zalało im wozy czy... do paliwa się dostało? — przytomnie dopytywała się Halinka, która zupełnie niepotrzebnie zaczęła raptem zasłaniać swe wdzięki tym obszernym kitem.

— Nie nie zalało — machnął ręką Józio — oni płacą za wodę, której nie mają! W myśl jakiegoś dziennika urzędowego, który zawiera stosowne wytyczne w sprawie „ustalania przeciwnego zużycia wody dla odbiorców nie posiadających wodomierzy”, ci, którzy mają w garażu „punkt czerpalny” wody płacą za dwa metry sześciennego na samochodzie miesiecznicę...

— A jeśli nie mają tego, no punktu czerpalnego? — wtrącił jak zwykle niepotrzebnie.

— To obowiązują ich kolejny punkt: płacą za pół metra sześciennego... Pani w administracji dodała, że powinni płacić nawet ci posiadacze samochodów, którzy garażu nie mają, ale trochę trudno ich ponoc wytopić.

— Paronoja, paranoja... — podśmiewał radośnie kolega Lameta, pilnie jednak kontrolując, czy nie kończy się już przerwa. No i dobrze, że zerkał, bo nagle na ekranie pojawił się znany powszechnie i lubiany „liniowiec”, przypłynął dwa razy i zaczął coś nucić o pilce. Ale byliśmy szybsi, jak jeden mąż zerwaliśmy się z miejsc i zgodnym chórem zaintonowaliśmy na cześć faceta:

— Do zakopania jeden krok, jeden jedyny krok nic więcej.

STEFAN
ŻYCIOWY

2

Skaczące drzewa

Byłem niegdyś gorącym zwolennikiem literatury „SF” i starałem się czytać wszystko, co tylko wpadło w moje ręce. Ale po jakimś czasie lekko się znudziłem i zacząłem już przebiegać. Czytałem tylko określonych autorów lub to, co mi rekomendowano jako rzecz godną uwagi. Myślę, że jest to naturalne i nie mam z tego powodu żadnych „wyrzutów sumienia”. Literatura „SF” była bowiem dobra i zła, jak każda literatura. Dobrą trzeba poznać, złą odrzucać.

Wśród moich ulubionych autorów są Arkadij i Borys Strugacy. Właśnie nakładem Wydawnictwa Alfa ukazała się ich powieść pt. „Ślimak na zbroczu”. Jest to poszerzona wersja wydarzeń, które rozgrywały się w opowiadaniu „Las”. Niektórzy autorzy wymyślają cuda przyszłej techniki i to ich tak fascynuje, że zapominają o człowieku. Arkadij i Borys Strugacy przeciwnie. Ich jakby technika mniej obchodziła, mniej też ich obchodziło miejsce akcji, a przede wszystkim interesuje ich człowiek, którego umieszczają w fantastycznych warunkach, nieodczulonych, niepoznanych, nieodgadnionych. I przyglądają się, jak ten człowiek się zachowuje, jak sobie radzi, jakim mechanizmom podlega, co nim powoduje, czemu ulega, a czemu się opiera, czego się boi i co go napawa radością.

Trudno powiedzieć, gdzie się dzieje akcja „Ślimaka na zbroczu” i kiedy. Jest to mniej ważne. Ważny jest las, który nie

jest tylko i wyłącznie them i miejscem akcji, on w niej odgrywa też swoją rolę. Las jest wrogi człowiekowi, niesamowity, można powiedzieć czarodziejski. Są tam na przykład skaczące drzewa. Ale Arkadij i Borys Strugacy nie zajmują się wyłącznie opisywaniem dziwów tego lasu, oni wpuszczili człowieka do lasu i przyglądają się mu, jak on sobie w tym leśnym, w tym nieznanym świecie radzi. Czytelnik też się temu przygląda. Z zainteresowaniem.

Różne pomysły już stosowano w literaturze „SF”. Wysyłano ludzi na dalekie, nieznane planety, do innych układów słonecznych, zamknięto ich w rakietach, które wędrowały po bezmiarach kosmosu, stawiano w sytuacjach, jakie tylko fantazja może człowiekowi podsunąć. Jedne pomysły broniły się, inne szybko dewaluowały się, traciły swoje znaczenie, starzały się. Rzecz chyba w tym, że przy całej fantazji, pomysłowości i oryginalności człowiek nie potrafił się wyzwolić od swojego czasu, od swojej rzeczywistości. Można mu wymyślić nieodczulone tło, nieodczulone sprawy, ale jego reakcje, zachowanie będzie tylko i wyłącznie ziemskie. Oderwać człowieka od ziemi, to uśmiercić go.

W literaturze pełno jest papiarzowych bohaterów i wcale nie tylko w literaturze „SF”. W każdej złej literaturze, która nie trzyma się rzeczywistości i zajmuje się tym, jak być powinno, a nie tym, jak jest. Arkadij i Borys Strugacy opowiadanie „Las” wpisali w nową powieść, której bohaterem uczynili Pierca, człowieka, który chciał poznać las, a wpadł w tryby diwizyjnych mechanizmów. „Ślimak na zbroczu” przypomina trochę powieści Franca Kafki i „Proces” i „Zamek”. Pierca chce zostać i poznać las, ale coś się dzieje z nim bez niego, poddany został działaniu nieznanego mu mechanizmu, które decydują o jego losie, przyszłości i jego przegadach. Człowiek wpada niekiedy w taki splot przypadków, zdarzeń, że zaczyna mu się wydawać, że jakieś tajemnicze siły decydują o jego losie. Często nie zdaje sobie sprawy z tego, że sam stworzył te tajemnicze siły, wymyślił prawa i przepisy, które „usamodzielniały się” zaczęły zamiast służyć człowiekowi, działać przeciw niemu. O! choćby biurokracja. W „Ślimaku na zbroczu” też jest coś z tego.

Myślę, że ten kierunek literatury „SF” ma przed sobą dużą przyszłość. Trochę to przypomina baśnię, ale przecież w baśniach — mimo fascynującego tła — mówiło się słuchaczom prawdę o ludziach: jacy są a jacy być powinni. Co w ludzkich postawach jest pozytywne i powinno być nagrodzone, a co negatywne i powinno być ukarane. Można wymyślić i dziś najdziwniejsze tło ludzkiego działania, ale człowiek musi twarde stać oboma nogami na ziemi, jakby tej ziemi nie rozumieć, jakie by pod to pojęcie nie podłożył znaczenie. Gdy człowiek odrywa się od ziemi staje się papierowy, wszystkie krew z niego ucieka. W każdej literaturze.

ZENON
POROWATY

3

Dalej, czy ciągle od nowa?

Jak rozumieć rozwój, jak go kształtować? Czy jako proces przezwycięzania starego i powstawania nowego, czy jako sumę nowych zjawisk? Niby to samo, a przecież nie to samo. W tym pierwszym rozumieniu zawiera się kontynuacja, w tym drugim — nie. W tym pierwszym nowe zjawiska wynikają ze starych, pojawiają w miarę narastania zmian ilościowych i dają w wyniku tego zmiany

jakościowe, czyli nowe wyrastające ze starego. W tym drugim — zjawiska nowe występują obok siebie, niezależnie od tego, co zanika, albo jest nieznacznie świadomą działalnością człowieka, nie mają często związku z przeszłością.

Niedawno „Gazeta Olsztyńska” obchodziła swoje stulecie. Jest to niewątpliwie jedna z nielicznych najstarszych gazet w Polsce. „Dziennik Łódzki” jest też starą gazetą. Nosi dumnie podtytuł: „Najstarsza gazeta Łodzi”. Obie gazety miały oczywiście przerwy w wydawaniu, a przerwy te wynikały z takiego, a nie innego rozwoju naszej historii najnowszej. Mimo to należało szanować tradycję, tę właśnie długowieczność obu gazet, dowód kształtowania się polskiej prasy w niemieczonym Olsztynie i wielonarodowej Łodzi. Obie przecież powstały z potrzeby krzewienia i obrony polskości w czasach, gdy nie było państwa polskiego. A mimo to były próby zmiany nazwy tych gazet na inne. Na przykład „Dziennik Łódzki” przez jakiś czas nazywał się „Dziennikiem Popularnym”. Komu to przeszkadzało? Po co było przerywać tradycję?

Gdyby spojrzeć w przeszłość naszego piśmiennictwa centralnego, to zaskakujące może być tytułów. Była „Kufnica”, było „Odrodzenie”, była „Wies”, był „Przegląd Kulturalny”, „Nowa Kultura”, była wreszcie „Kultura”. Były i minęły. Czy był to proces przechodzenia starego w nowe, czy po prostu tworzenie nowego na miejsce niewygodnego starego? I czy to sumowanie tytułów było korzystne dla rozwoju naszego czasopiśmiennictwa? Wszystko wskazuje, że raczej nie. Cóż z tego, że znów mamy „Odrodzenie”, ale przecież jest to zupełnie inne „Odrodzenie”. Podobnie jest z „Kulturą”. Czymś nowym jest „Przegląd Tygodniowy”, choć tytułem nawiązuje do pisma, jakie ukazywało się pod koniec XIX wieku. Są to już dziś zupełnie inne czasopisma, które tylko tytułem nawiązują do przeszłości, mało zresztą współczesnemu czytelnikowi znane. Tylko nieliczne pisma — jak na przykład „Życie Literackie” — przetrwały różne burze i zakręty i wychodzą do dziś, choć też są to już inne pisma, ale utrzymujące związek ze swoją tradycją, przeszłością.

Zniszczyć coś, przerwać ciągłość jest bardzo łatwe. Wytarć jedną nierozważną decyzją. Odbudować jest o wiele trudniej, niekiedy wręcz niemożliwie. I dotyczy to nie tylko czasopiśmiennictwa. Klasycznym przykładem może tu być drobna wytwórczość.

W czasach, gdy megalomania nasza sięgała szczytu i popadała w przesadę tworząc wszystko wielkie, jedną decyzją przerwano istnienie drobnej wytwórczości. Dziś próbujemy ją odbudować i idzie to jak po grudzie albo jeszcze gorzej. Ukazała się nawet Uchwała Rady Państwa i Rady Ministrów z 19 maja 1986 roku, która stawia przed radami zadanie odbudowy i dalszego rozwijania drobnej wytwórczości. Ale sama uchwała niczego nie rozwiązuje. Muszą być ludzie zainteresowani rozwojem drobnej wytwórczości.

Jest przecież zupełnie zrozumiałe, że wielkie zakłady przemysłowe nie mogą i nie powinny na przykład produkować sznurów do żelazek, a nawet samych żelazek do prasowania. Wielki przemysł nie jest też od tego, żeby produkować deski do prasowania, latarki kieszonkowe, uszczelki różnego rodzaju, kubeczki jednorazowego użytku, szczyteczki do zębów i tysiące innych drobnych przedmiotów tak wszystkim potrzebnych. Od tego jest właśnie drobna wytwórczość. Jest, ale jej nie ma jeszcze w takim stopniu, aby mogła te drobiazgi produkować w wystarczającej ilości. Poza tym drobna wytwórczość jest też znakomitym kooperantem wielkiego przemysłu, któremu są również potrzebne różne drobiazgi, jak choćby te uszczelki, a który nie powinien zajmować się ich produkcją. Tak więc mamy świadomość tego, co trzeba, ale to dopiero początek...

Wniosek stąd prosić: zanim podejmie się decyzję o likwidacji czegokolwiek lepiej jest sto razy zastanowić się, niż raz podjąć nierozważną decyzję.

LUCJAN
BOGUSZ

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(5)

Karierę telewizyjną Vincent Sherwood zaczynał od stanowiska inspektora w stacji tv w Dutson afiliowanej przy North BS, która z kolei była filią sieci CBS. Długo, o wiele za długo, pracował na tym stanowisku, ale nie miał wyboru, nie miał perspektyw, więc powoli przywykł do myśli, że w ciągłym rozgardiaszu i pośpiechu cechującym ten zawód przeoczył życiową szansę. I gdyby nie laskawy uśmiech losu, do dzisiaj siedziałby w ciasnym kantorku inspektora, użerając się w zgrają elektrotechników, operatorów, mikserów i montażystów. Ale czy tego nie można powiedzieć także teraz, kiedy jest dyrektorem produkcji i ma do dyspozycji własnych inspektora? Czy nadal nie musi użerać się z tą zgrają? I, co gorsza, za każdą godzinę wszystkim tym ludziom tutaj, bez względu na to, czy pracują, czy leżą bykiem chłapiąc whisky, grając w karty i w ogóle lajdaczając się z nieróbstwa na potęgę — trzeba płacić. I, co jeszcze gorsze, cały ten sprzęt zwieszony w to miejsce, że agregaty prądowe, wozu transmisyjne, ciemnie, kamery i radiostacje — wszystko to, kiedy tak bezczynnie stoi pod gołym niebem, naraża wytwórnię na Bóg wie jakie straty. Straty, o których będzie się mówić na najbliższym posiedzeniu zarządu. A w każdym takim posiedzeniu uczestniczą przecież przedstawiciele North BS Herb Willerton — wiceprezes do spraw stacji afiliowanych.

Los uśmiechnął się do Vincenta Sherwooda ponad dwa lata temu, i gdyby nie respektować hipotezy, że wszelkie zjawiska są dziełem przypadku, gdyby darować sobie analizę kauzalną, wypadałoby stwierdzić, że Vincent ze stanowiska inspektora na stanowisko dyrektora produkcji wdrapał się po grzbiecie Giorbruna — uzdrowiciela z wyspy Quharfa. Pierwszy program z tym uzdrowicielem przyjeżdżał z żywym zainteresowaniem, następne spotkały się z aplauzem. Popularność kolejnych odcinków, rozchwytywanych przez inne stacje filialne CBS, skłoniła kierownictwo wytwórni telewizyjnej do przyjęcia koncepcji zrealizowania wieloepicznego serialu. Wymagało to jednak zwiększonych środków, zmiany organizacji pracy i zatrudnienia dodatkowych ludzi, przede wszystkim odpowiednich preteraktorów. Podjęto więc wstępne pertraktacje z paroma komentatorami pracującymi w zaprzyjaźnionych stacjach sieci CBS, a tymczasem dokonano przeglądu członków własnego personelu pod kątem ich umiejętności aktorskich. Dyrektor do spraw programowych wezwał Vincenta i zapytał go, „czy na dwa-trzy dni, zanim nie ściągną Mere'a albo Brodicka, nie zechciałby wesprzeć Neville'a Howarda, który już pada z nogi”. Vincent zechciał, wystąpił przed kamerami i w ciągu tych „dwu-trzech dni” chwycił wiatr w żagle. Nagle — i było to dla kierownictwa zaskoczeniem — stał się ulubieńcem publiczności. Po przewlekłych pertraktacjach do miasta przybył Brodick, przybył także sam Eugene Gant, ale nikomu nawet przez myśl nie przeszło, żeby jego zdjęcie teraz z wizji. Był znany i wielbiony w całym stanie i daleko poza granicami stanu. Zdjęcie go z wizji i umieszczenie na powrót w inspijencie samobójczej rezygnacji z kilku procent telewizyjnej spądków o kilka punktów noty za program i stracie kilku setek tysięcy dolarów, tych dolarów, które z licznych agencji reklamowych płynęły strugą nieprzerwaną i coraz szerszą, bo cena każdej minuty w programie o Giorbrunie rosła, rosła i rosła.

Do inspijencieckiego kantorka Vincent nie wrócił także później, kiedy tragiczna śmierć pierwszoplanowej postaci serialu zmusiła wytwórnię do zamknięcia kramiku z uzdro-

wicielem. Miasto Dutson nie miało już nie do zaoferowania szerszej widowni — nie, co pod względem atrakcyjności można by porównać z Giorbrunem. To samo dałoby się powiedzieć o wytwórni telewizyjnej w tym mieście, która jednak miała Vincenta Sherwooda.

Po śmierci Giorbruna popularność Vincenta bez wątpienia zmalała, ale widzowie nadal chętnie go oglądali, a prowadzone przez niego programy powtarzane były przez North BS i uzyskiwały wysokie noty. Szóstodniowy cykl intelektualno-rozrywkowych widowisk dyskusyjnych, który on opracował i wyreżyserował i prawie samodzielnie, rozpowszechniony został nawet w ogólnokrajowej sieci CBS. W tej sytuacji kierownictwo telewizyjnej wytwórni w Dutson powierzyło mu stanowisko dyrektora produkcji (mimo że Vincent przekroczył już czterdziestkę, tę magiczną barierę wieku, poza którą dalsza droga do kariery jest — w najlepszym razie — możliwym wpełzaniem ze szczebla na szczebel) i cierpliwie w obawie, że jakiś konkurencyjna stacja skaperuje go kontrakt na fantastycznych warunkach. Vincent także cierpiał w obawie — że nikt tego nie uczyni. Po objęciu stanowiska dyrektora produkcji nie zrezygnował z roli prezentera i zawsze potrafił przykuć uwagę widzów, umiejętnie łącząc w komentarzach tragizm, sensację, komizm i sarkazm. Był na fali, ale jednocześnie wiedział, że jest to ostatnie rozdanie kart i albo rozbije bank, albo spłucze się do portek. Dlatego chociaż już przedtem zagrywał — jak mu się zdawało — nazbyt ostro i ryzykownie, niekoniecznie konsultując swoje pomysły z Lottą Esther, kierującą działem programowym i niekoniecznie respektując jej zalecenia, teraz podwoił stawkę. Absolutnie sam napisał konспект i przystąpił do realizacji telewizyjnych programów repertaryjnych pod wspólnym tytułem: „Vincent Sherwood zaprasza na katalizm miesięca”.

Pilotujący odcinek i dwa następne retransmitowała większość stacji afiliowanych co pozwalało mówić o sukcesie. W tym czasie odbyło się w hotelu „Senatorskim” spotkanie zarządu z akcjonariuszami. W przerwie do Vincenta podszedł Herb Willerton i uprzejmym tonem zagadnął, czy jest on już umówiony z kimś na lunch, bo jeśli nie, mogliby zjeść go razem, rzecz jasna na koszt firmy. „Gdziekolwiek, byle z dala od tej hałastury. Gdzieś, gdzie nie trzeba rozmawiać ze sobą przez megafon”.

Vincent był już umówiony — z Pat Partanen. Miał z tą dziewczyną zjeść także kolację i spędzić noc w jej łóżku. Ale kiedy usłyszał propozycję wysuniętą uprzejmym tonem przez przedstawiciela North BS i wiceprezesa do spraw stacji afiliowanych w jednej osobie, wspomnienie nieprzebranych wdzięków Pat Partanen straciło swoją siłę oddziaływania. Z Herbem Willertonem Vincent mógł nie tylko pójść na lunch, mógł dla niego zachować ustalony na ten dzień i noc program — wprowadzając jedynie korektę w obsadzie.

„Oczywiście, panie Willerton — odrzekł równie uprzejmie, z fatalnie skrywanym entuzjazmem. — Zwykle przy takich okazjach umawiamy się na lunch całą paczką, niezobowiązująco. Znam jedną przytulną chińską restaurację. Po niedaleko stąd. Z przyjemnością zabiorę tam pana, panie Willerton”.

„Och, po co tak oficjalnie, Vincent. Jestem Herb”.

„Dobrze, Herb. Znajomi mówią mi po prostu Vince”.

Zenowało go własne podniecenie, ale nic nie mógł przeciw temu zarządzić, więc tylko — skracając w ulicę z miejscami do parkowania — odepchnął się, że przed zebraniem nie wypili podwójnej whisky, poprzestając na tej słabej mieszance wody z i z paroma kro-

plami czegoś tam jeszcze: byłby teraz spokojniejszy. Przy barze zresztą, zanim szef rali znalazł dla nich wolny stolik, nadrobił to zamiedbanie.

Akcentów nadających tej chińskiej restauracji charakter dalekowschodni było akurat tyle, żeby klientów zwabić i nie odstraszyć. U wejścia wisiał hieroglificzny szyld, który — jeśli wierzyć zamieszczonemu niżej tłumaczeniu — głosił: „Potrawy makrobiotyczne — In oraz Jang zapraszają — pomożemy ci odzyskać równowagę duchową i fizyczną”; wewnątrz, wokół ścian i pod sufitem pionoły papierowe lampy; między stolikami wznosiły się ustawione w przypadkowe konfiguracje przenośne parawany z grubego pergaminu, a wysokie oparcia krzesel, framugi drzwi, półki, ramy obrazów i fragmenty boazerii zdobiły drewniane daszki o nastrożach lekko podgiętych ku górze, jak w buddyjskich świątyniach. Gości obsługiwały młode pseudo-Azjatki uczesane na modłę japońskich gejsz i przyobleczone w kimono toczące od dołu aż po pepek. Jedynym autentycznym Chinczykiem był w całym tym interesie sam restaurator. Nie jest zupełnie jasne, co rozumiał on poprzez nazwę „potrawy makrobiotyczne”, krzepiący był jednak fakt, że do narodowych specjalistów kulinarnych jego kraju — jak to wynikało z menu — należały hamburgery i krwiste befsztyki z pieczonymi ziemniakami. Oprócz whisky i innych tradycyjnych chińskich trunków podawano tu orientalne saki (wytworzone na wyspach karaibskich), którego nikt z gości nie zamawiał. Odnosiło się to także do Vincenta Sherwooda i Herba Willertona. Oba pozostali przy whisky.

„Pokażesz mi, jak się robi dobry reportaż telewizyjny, Vince. Nasi ludzie przedczerpaliby z tego zdumienia, oglądając twoje programy”.

Vincent promieniał. Promieniał takownie i powściągliwie, bo wreszcie zdołał zapanować nad swoim podnieceniem i ukryć je pod maską skromnej powagi.

„Nie mówię o tym taslemcu z uzdrowicielem — ciągnął Herb. — To temat sarograj i wystarczyła do niego staranna

reżyserka, zgrabny montaż. Mówię o twoich widowiskach dyskusyjnych. Po pierwszych odcinkach nasi ludzie zaczęli pytać: kto to jest ten Vincent Sherwood? Skąd oni go wytrzasnęli tam, w Dutson?”

No, a on przełknął ten komentarz gładko i popił go łykiem whisky.

„Niemale zasługi miał w tym nasz dział programowy” — zaprzeczył słabo i bez złośliwej intencji.

Ale Herb Willerton, obywatel świata napomknął, niedomówień, dwuznaczności, intrygi i aluzji, po swojemu zgruntuował jego odpowiedź i dotarł do jej drugiego dna.

„Lotta Esther — nazwał rzecz po imieniu. — Słyszałem, że dośzło między wami do nieporozumień na tle założeń artystycznych tych widowisk”.

„No... — zaczął Vincent i efektywnie zawiesił głos pozwalając, żeby Herb sam dopowiedział sobie resztę, którą jemu kazala przemilczeć wrodzona delikatność.

„Podobał mi się styl, w jaki zażegnawsz ten konflikt, Vince. Nieustępliwość, łagodna perswazja, minimalne kompromisy... tak właśnie należy postępować z kobietami. I chociaż Lotta, o ile wiem, palcem nie kiwnęła, żeby ci pomóc, przestała przynajmniej trąwać grządkę w twoim ogródku, prawda? Nawet użyczyła własnego nazwiska do czołówek twoich widowisk dyskusyjnych”.

Wiceprezes North BS usmiechnął się porozumiewawczo. Vincent odpowiedział mu grzecznym uśmiechem, po czym zgasił ten uśmiech wzrotem Herba, który znał talerza pod jej przerwany wątek znowu tonem uprzejmym i poważnym: „Chodzi o twoją przyszłość, Vince. W ostatnim okresie ugruntuowałaś swoją pozycję, owszem. Ale nie daj się zwieść gratulacjom i poklepywaniom. Lotta Esther uważa, że jej stanowisko jest zagrożone i tylko czeka, aż się pokłnisz, żeby to wykorzystać przeciwko tobie. Może podstawi ci nogę. Na razie siedzi przyczajona i liczy, że się przewieszysz na tych reportażowych programach o katalizmach”.

„Dziękuję za ostrzeżenie, Herb”.

„Powinieneś mieć ją na oku i nie pozwalać jej wtrącać się do tego, co robisz”.

„Jestem od niej zależny. Mój dział podlega jej działowi”.

„Wiem. Nie oznacza to jednak wcale, że ona ma prawo blokować inicjatywy, które przynioszą zyski”.

„Jej córka w tamtym tygodniu wyszła za mąż za młodego LeBoyda z CBS”.

„O tym wiem także. To oczywiście ułomni wypływy Loty w waszej wytwórni. Ale nawet LeBoyd i jego syn nie są na tyle głupi, żeby z powodu czyjejś urażonej ambicji posyłać w odstawkę faceta, który w ubiegłym roku zarobił dla korporacji pięć milionów dolarów. Poza tym wytwórnia musiałaby spłacić twój kontrakt i wypłacić ci odszkodowanie. Nikt z CBS nie udzielił jej pomocy, bo jeśli ci się powiedzie i notowania twoich programów utrzymają tendencję wzrostową, to za miesiąc lub dwa połowa przemysłu będzie nam jada z ręki. Lotta e tym wie, więc nie wystąpi przeciwko tobie otwarcie. Ale ona jest niebezpieczna. Kiedy zaczyna się kogoś bać, staje się nieobliczalna. A ona się ciebie boi”.

„A ja boję się jej”.

„Ja też jej się boję. Mimo to nie możemy dopuścić, żeby ona swoimi intrygami naraziła korporację na straty. Dlatego widzę tylko jedno wyjście”.

Ojcowisko opiekuncy wiceprezes North BS wepchnął do ust kęs kurczaka i przez chwilę żuł go z namaszczeniem, zastopiony w myślach. Vincent odłożył sztućce. Powoli przełknął miętą chrząstkę i zamarł w oczekiwaniu, wpatrując się w swój talerz, by nie ponaglić wzrokiem Herba Willertona, który objawił się przed nim w postaci władze i zagadkowej, mogącej wyrokować o jego losie.

„Niebawem w North BS nastąpi reorganizacja — oznajmił Herb wając słowa. — Redaktor naczelny do spraw programowych odchodzi od nas na zasłużony odpoczynek i będziemy potrzebowali kogoś na jego miejsce. Kogoś... chwileczkę, Vince — płynnym ruchem wysunął przed siebie rękę uzbioroną w nóż z drobinami mięsa na ostrzu, jakby zamierzał powstrzymać szarżującego następnika, choć Vincent pod wpływem napięcia tylko wychylił się do przodu, nie odrywając tylko od krzesła. — Chwileczkę, żebyś mnie dobrze zrozumiał. To, o czym mówię, ma charakter poufny. Takie luźne rozważania”.

„Jasne, Herb” — przytaknął Vincent gorliwie, bo oto w tej władze i zagadkowej postaci ujrzał już Mojżesza, który gestem nakazuje rozstąpić się wzburzonym wodom Morza Czerwonego.

„Chcę, żebyś objął to stanowisko i na najbliższym posiedzeniu rady nadzorczej zgłosił swoją kandydaturę. Ale musisz mi pomóc. Musisz mi dostarczyć dostatecznie przekonujących argumentów”.

„Postaram się, Herb”.

„Był ten uzdrowiciel, to prawda. Był ten cykl intelektualno-rozrywkowych widowisk dyskusyjnych, smakowicie przyrządzony i elegancko podany. Były te trzy odcinki katastroficzne, które naszych szefów przyprawiły o szybkie bicie serca i uzyskały ocenę, o jakiej nikomu w North BS nie śniło się od lat. Mogę cię zapewnić, że czwarty odcinek oglądać będzie przynajmniej sześćdziesiąt procent widzów, co da mu lokatę w pierwszej dziesiątce najpopularniejszych programów. To ma swoją wymowę, owszem, swój ciężar gatunkowy. Ale na posiedzeniu rady nadzorczej trzeba wykazać, że nie były to jedyne wartości, które przyniosły sukces. Że jest on utalentowanym menażerem, pracowitym scenarzystą, wszechstronnym aktorem i licho wie, czym na dodatek i że jego inwencja jest niewyczerpana. Dlatego musisz utrzymać swoje programy na wysokim poziomie. Zmontować no-

we wystrzałowe odcinki, teby miał w ręku mocne atuty”.

„Przyrzekam ci to, Herb” — powiedział Vincent z zapalem. A teraz stał na pagórku, obok kamery zwróconej teleskopem na dzielnicę Belgravia, bilski rozpacz, i patrzył na domki tam poniżej zrujnowane w sposób beznadziejnie mało spektakularny.

Na domiar złego poprzedni, czwarty odcinek „Katalizmu miesięca” okazał się goniącem. Tak to czasem bywa, w mordę, kiedy się polega na niesprawdzonych pogłoskach, kiedy przesadna pogoda za sensacją, za tym, żeby ubiec konkurentów, bierze górę nad zdrowym rozsądkiem. Wystarczy jakaś mgłna wiadomość podana przez prowincjonalną rozgłośnię radiową, która efektywnym fałszem spikera doniesie o lawinie zmiatającej z powierzchni ziemi Marysville czy Oroville w stanie Kalifornia i o tysiącach ofiarach, by człowiek tracił głowę i do szczerbiny durnia, brał dupę w troki i gnał na łeb na szyję do Doliny Sacramento, wlokąc za sobą cały ten sprzęt drogiocenny i niewiarygodnie kosztowny w eksploatacji, i wszystkich tych ludzi płatnych według takich stawek, jakby to były gwiazdy pierwszej wielkości wspaniałomyślnie wyrażające zgodę na występ w telewizyjnej reklamówce. No i co go czeka w tym Marysville czy Oroville? Tłum rozgąszczonych gapiów i paru notabli, nadejść i przekrzykujących się wzajemnie. — Ano tak, panie redaktorze, zeszła ta lawina i narobiła szkód co niemiara. Ano, na farmie wdowy po wieloletnim Dudleyu Briggsie zerwała ze czterysta jardów ogrodzenia. Tak, tak, i zabiła Dine, tę medalistkę i dwa cielaki po Couperle i trochę owiec. Ano tak, Jacobowi Mac-Plantie zniszczyła sześć akrów plantacji oliwek. Och tak, i jeszcze tę studnię za Winogronowym Przesmykiem, taka dobra studnia głębinowa i już po niej, z pompy została kupa ziomu, taka dobra pompa, Alf Respy przywiózł ją ciężarówką z Napa. Ano, widział pan, redaktorze, ten gład na rogatkach naszego Marysville, czy Oroville, trzysta cennarów jak obszył, wtoczył się aż na rogatki, o mało kogoś nie przejechał, tak, tak. — I gdzie tu dramaty? Gdzie te domy zmiecione z powierzchni ziemi, gdzie te tysiączne ofiary? Gdzie szczytki budynków porozwalane po okolicy, gdzie żywcem pogrzebani, gdzie miazga kamieni, kości, drewna, dykty, mięsa, metalu, jelit i przewodów? Banał i nuda, nuda i banał, dziesięciosekundowa wstawka do dziennika, nie więcej. A on się uparł, żeby z tej nędzy skleić pełny odcinek reportażowego programu. „Vincent Sherwood zaprasza na katalizm miesięca”. Śmiechu warte. Ale czy tego nie można powiedzieć także o odcinku, który on przygotował właśnie teraz? Przecież to lokalne trzęsienie ziemi tutaj, „z hipocentrum na północny zachód od Jeziora Walkera”, to jawne kpiny.

Z reżyserskiej ciężarówce do latywały strzępy relacji komentatora programu „W obliczu inwazji kosmitów”, przy otwartych drzwiach terowozu wozu łączności któryś z kamerzystów przez radiotelefon umawiał się z dziewczyną na dzisiejszy wieczór, powietrze stygło i przesycał je zapach zmęczonej ziemi, a cienie na trawie rosły w kierunku wschodnim”.

Dzień dobiegał końca.

Tak jak moja kariera, pomyślał Vincent z gorczy. Potem wznosił oczy ku niebu i wyszeptał:

— Boże, dobry Panie Boże, potrafiń ty solidnie jeszcze bodaj raz.

C.D.N.

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Sten zgrzeszyna”.



Rys. Janusz Szymański-Glanc